





1709
**DOKĄD IDZIESZ,
PANIE?**

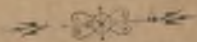
OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Z CZASÓW

PRZEŚLADOWANIA CHRZEŚCIJAN
ZA PANOWANIA NERONA

PODŁUG

HENRYKA SIENKIEWICZA.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1907.

wszystko, co m.

*Jest to cnota nad
cnotami
nie powiniemas cudzo-
mierzami*



52375

884-3

Johann Depta

THURZE

Post Ratiborhammer.

Johann Depta

THURZE

Post Ratiborhammer.

ZBIORY ŚLĄSKIE

1884

Akc. D.N. 603172



W czasie, w którym zaczyna się to opo-
wiadanie, t. j. w kilkadziesiąt lat po
ukrzyżowaniu Pana Jezusa, państwo rzymskie
było u szczytu potęgi, a na tronie zasiadał
cezarsza — imieniem Neron.

Neron był siedemnastoletnim młodzieńcem,
kiedy oddano w jego ręce władzę nad tem
olbrzymiem państwem. A władza cezarsza rzym-
skiego była niczem nieograniczona; był on pa-
nem nie tylko ziemi i bogactw, ale panem ży-
cia i śmierci swoich poddanych. Rzymianie
z dawien dawna przyzwyczajeni byli do tego,
że władcy ich karali śmiercią najłżejsze prze-
winienia; że nawet tych, co nic nie zawinili,
ale z jakichkolwiek powodów im zawadzali,
kazali jawnie albo potajemnie mordować. Ale
kiedy Neron, niedługo po swoim wstąpieniu
na tron, kazał zgładzić ze świata matkę za
to, że do rządów mieszać mu się chciała —
potem żonę, a potem dawnego nauczyciela
swego, najgorszy nawet na to się wzdrzgnęli
i uznali, że Neron w okrucieństwie przeszedł
wszystko, co umysł ludzki wymyślić może.

Po tych zbrodniach wszystko, co popełniał, wydawało im się już nie tak złem i nie tak okrutnem. I drżeli przed nim ze strachu nie tylko poddani wogóle, ale i przyjaciele najbliżsi.

Umiął on grać na lutni, śpiewać i wiersze pisać. Dumnym był z tego bardzo i nieustannie przed wszystkimi się popisywał, a niska dusza jego łaknęła pochlebstw i pochwał bez miary. Dość było za mało uważnie słuchać, gdy grał, śpiewał albo wiersze swoje czytał, żeby na karę śmierci zasłużyć.

Rzymu Neron nie lubił, bo mówił, że tu ludność nie poznaje się na jego muzyce, i rad wyjeżdżał z całym dworem do innych krain państwa swojego, gdzie więcej mu pochlebiać umiano.

W rządach wyręczali go urzędnicy, którzy, w niepewności o życie własne, wszystkie sprawy załatwiali nie według prawa i sprawiedliwości, ale tak, by nie zasłużyć na gniew srogiego Cezara. Życie swoje stosowali całkiem do jego życia. Z nim wyprawiali nieustannie uczty i zabawy; z nim i dla niego dopuszczali się najokrutniejszych i najniesprawiedliwszych czynów.

Oprócz możnych, wojska, którego państwo rzymskie miało ilość ogromną, a które ślepo słuchało cezara i wodzów, oprócz całego zastępu, choć biedniejszych ale wolnych ludzi,

były w państwie i masy t. zw. niewolników, t. j. ludzi zabranych w wojnach albo kupionych w innych krajach, którzy byli własnością swoich panów i służyć im musieli. Niewolnik taki nie był w oczach pana swego człowiekiem, ale rzeczą, z którą wolno mu było zrobić, co mu się podoba, nawet życia pozbawić bezkarnie. Niewolnicy ci byli także poganami, więc byli nieszczęśliwi bardzo, bo w tych biedach swoich nie mieli i tej pociechy, że po tem życiu ciężkiem czeka ich nagroda i radość wieczna; że Bóg z Nieba wysokiego patrzy na ich strapienia i wszystkie je policzy.

Na tym to zepsutym pogańskim gruncie, w tem mieście zbytków, okrucieństwa i niedoli, zaczął w ciszy i ukryciu Piotr św. głosić słowo Boże. Ten stary rybak najłatwiejszy miał przystęp do ubogich i uciemnionych, do całego zastępu robotników i niewolników. A kiedy im mówił, że Bóg prawdziwy, to nie ten kamienny albo drewniany posązek, któremu dotąd cześć oddawali, ale Duch wszechpotężny i miłosierny, ale Ojciec, który ludzi jak dzieci swoje miłuje; że koniec tego marnego życia na ziemi, to nie kres istnienia człowieka, ale po niem nastąpić ma życie inne w wiecznej szczęśliwości i chwale — to garnęli się do niego wszyscy ubodzy i uciśnieni i poczynali całym sercem kochać i tego Boga

miłościwego i tego starca, który takie prawy im głosił.

I szerzyła się coraz bardziej nauka Chrystusa, a swoją świętością i czystością pociągała coraz szersze koła i brała serca ludzkie, nietylko już biedne i cierpiące, ale wszystkie, na których dnie choć jedna szlachetniejsza tlała iskierka. Za Nerona byli już chrześcijanie nietylko między niewolnikami, ale i w wojsku, i między możnymi i nawet na samym dworze Cezara. Tylko on o nich nie wiedział.

Poganie nienawidzili chrześcijan za ich życie bogobojne i cnotliwe, za ich miłość Boga i bliźniego, a nie mogąc zrozumieć prawd Wiary świętej, posądzali ich o wyznawanie zabobonu ciemnego i prześladowali.

Chrześcijanie musieli się ukrywać, na modlitwy zbierali się za miastem na starych cmentarzach i w ogrodach, dokąd też przychodził św. Piotr; tam ich nauczał, chrzczył i innych Sakramentów świętych udzielał. Te wszystkie nowonawrócone dusze stanowiły jakby jedną rodzinę, połączoną miłością Boga, bliźniego i cnoty, a nienawiścią grzechu i tajemnicą wobec pogan.

I.

Miedzy możnymi był wówczas w Rzymie chrześcijański dom Aulusów. Dwoje ich było,

ludzie już starsi, mieli tylko synka jednego i wychowankę, sierotę, córkę walecznego króla obcego narodu Ligiów, którą pod opiekę dzieckiem jeszcze wzięli, w zasadach świętej Wiary skromnie i pobożnie wychowali i nie mając córki rodzonej, jak własne dziecko pokochali.

Ligia, bo tak ją nazywano, była to dziewczyna niezwykła. Dobra, jak anioł, opiekunom swoim całym sercem odpłacała miłość i starania, któremi ją otaczali, w małym ich synku widziała brata, a w nich rodziców prawdziwych. Dla smutnych i ubogich łitościwa i miłosierna, umiała każdemu złę niedoli obetrzeć, pocieszyć i wspomódz. Była błogosławieństwem Bożem, jasnym promieniem w życiu tych, którzy ją otaczali. A że prócz tego i śliczne to było stworzenie, więc nie dziwne, że i starzy Aulusowie i domownicy wszyscy całym sercem do niej byli przywiązani. Ale ta właśnie uroda Ligii stała się dla nich przyczyną wielkich niepokojów i nieszczęść.

Poznał ją młody Rzymianin, nazwiskiem Winiciusz, i tak sobie upodobał, że koniecznie za żonę pojąć ją zapragnął. Ligia była chrześcijanką, Winiciusz poganinem; więc choć jej był miłym ten młody żołnierz, żoną jego zostać nie mogła i nie chciała.

Ale pogańscy Rzymianie nie rozumieli tego, żeby ktokolwiek woli ich mógł się opierać;

nie chciał zrozumieć tego i Winiciusz, i szukał tylko sposobu jakiego, którymby opór Ligii mógł pokonać.

Sposób taki wskazał Winiciuszowi krewny jego Petroniusz.

Ligia była zakładniczka, to znaczy dana Rzymianom przez obcy naród na pewność, że naród ten na państwo rzymskie napadać nie będzie. Jako zakładniczka, powinna być pod opieką samego Cezara, a choć dotąd nie była, teraz Cezar ma prawo Aulusom ją odebrać i Winiciuszowi oddać. Trzeba było tylko poprosić Nerona, żeby chciał wdać się w tę sprawę; a że Petroniusz był jego przyjacielem, więc łatwo mógł to zrobić.

Jakoż w kilka dni potem, przed domem Aulusów pojawił się setnik cesarski na czele kilkunastu żołnierzy.

Czasy były niepewne i straszne. Posłańcy tego rodzaju byli zarazem najczęściej zwiastunami śmierci. To też z chwilą, gdy setnik zapukał do drzwi Aulusów, przerażenie zapawało w całym domu. Rodzina wnet otoczyła starego wodza, nikt bowiem nie wątpił, że niebezpieczeństwo przedewszystkiem nad nim zawisło. Żona jego, Pomponia, chwyciła go, jakby zatrzymać chciała, a zsiniałe jej usta poruszały się szybko, wymawiając cicho wyrazy modlitwy; Ligia, z twarzą bladą jak

plótno, całowała jego rękę, a mały synek czepiał się ubrania. Z kurytarzy, z pokojów, leżących na piętze i przeznaczonych dla służby, poczęły się wysypywać roje niewolników i niewolnic.

Sam tylko stary wódz, przywykły od lat całych patrzeć śmierci prosto w oczy, pozostał spokojny i jedynie twarz jego stała się jakby z kamienia wykutą.

— Puść mnie, Pomponio — rzekł po chwili — jeśli mi nadszedł kres, będziemy mieli czas się pożegnać.

Usunął ją zlekka i wyszedł.

Aulus przeszedł do sieni, gdzie czekał na niego setnik. Był to stary żołnierz, dawny jego podwładny i towarzysz z minionych wojen.

— Witaj, wodzu — rzekł. Przynoszę ci rozkaz i pozdrowienie Cezara, a oto jest znak, że w jego imieniu przychodzę.

— Wdzięczny jestem Cezarowi za pozdrowienie, a rozkaz wykonam — odrzekł Aulus. — Witaj i mów, z jakim zleceniem przychodzisz.

— Aulu! — począł setnik — Cezar dowiedział się, że w domu twoim przebywa córka króla Ligiów, którą ów monarcha, jeszcze za życia poprzedniego Cezara, oddał w ręce Rzymian, jako pewność, że granice państwa nigdy nie zostaną przez Ligiów naruszone. Nero wdzię-

czny ci jest, o wodzu, za to, żeś jej przez lat tyle dawał gościnność u siebie, lecz, nie chcąc dłużej obarczać twego domu, jak również uważając, że dziewczyna, jako zakładniczka, powinna zostawać pod opieką samego Cezara, rozkazuje ci ją wydać w moje ręce.

Aulus był zanadto żołnierzem, by wobec rozkazu pozwolić sobie na żal, na marne słowa lub skargi. Jednakże zmarszczka nagłego gniewu i bólu zjawiała mu się na czole. Przez czas jakiś popatrzył na znak Cezara, wobec woli jego uczuł się bezsilnym i podniósłszy oczy na starego setnika, rzekł już spokojnie:

— Zaczekaj, zanim zakładniczka zostanie ci wydana.

I po tych słowach przeszedł na drugi koniec domu, gdzie cała rodzina czekała go w niepokoju i trwodze.

— Nikomu nie grozi śmierć, ani wygnanie — rzekł — a jednak poseł Cezara jest zwiastunem nieszczęścia. O ciebie chodzi, Ligio.

— O Ligie? — zawołała ze zdumieniem Pomponia.

— Tak jest! — odrzekł Aulus. I zwróciwszy się do dziewczyny, począł mówić:

— Ligio, byłaś chowana w naszym domu, jak własne nasze dziecko, i oboje z Pomponią miłujemy cię, jak córkę. Ale wiesz o tem, że nie jesteś naszą córką. Jesteś zakładniczką,

daną przez twój naród Rzymowi, i opieka nad tobą należy do Cezara. Otóż Cezar zabiera cię z naszego domu.

Wódz mówił spokojnie, ale jakimś dziwnym, niezwykłym głosem. Ligia słuchała słów jego, mrugając oczyma i jakby nie rozumiejąc o co chodzi, twarz Pomponii pokryła się bladością, a w drzwiach z kurytarza poczęły się znowu ukazywać przerażone twarze niewolnic.

— Wola Cezara musi być spełnioną — rzekł Aulus.

— Aulu! — zawołała Pomponia, obejmując ramionami dziewczynę, jakby chciała jej bronić — lepiejby dla niej było umrzeć.

Ligia zaś, tuląc się do jej piersi, powtarzała: „matko! matko!“ nie mogąc zdobyć się wśród łkań na inne słowa.

Na twarzy Aulusa znów odbił się gniew i ból.

— Gdybym był sam na świecie — rzekł ponuro — nie oddałbym jej żywej. Lecz nie mam prawa gubić ciebie i dziecka naszego, które może lepszych dożyje czasów... Udam się dziś jeszcze do Cezara i będę go błagać, by rozkaz odmienił. Czy mnie wysłucha — nie wiem. Tymczasem bądź zdrowa, Ligio — i wiedz o tem, że i ja i Pomponia, błogosławiliśmy zawsze dzień, w którym weszłaś do

naszego domu. — To rzekłszy, położył jej rękę na głowie, ale choć starał się zachować spokój, jednakże w chwili, gdy Ligia zwróciła ku niemu oczy, zalane łzami, a potem, chwycwszy jego rękę, zaczęła ją do ust przyciskać, w sercu jego zadrgał żal głęboki, ojcowski.

— Żegnaj, radości nasza i światło oczu naszych! — rzekł i prędko wyszedł, by nie pozwolić opanować się niegodnemu Rzymianina i wodza wzruszeniu.

Tymczasem Pomponia zaprowadziła Ligię w głąb domu i poczęła ją pocieszać, uspakajając, dodawać otuchy.

— Dom Cezara jest jaskinią hańby, zła i zbrodni — mówiła — ale my, Ligio, mamy obowiązek bronić się od zła i hańby, choćby te obronę życiem i męką przyszło przypłacić. Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa. Życie jest krótkie, a poza grobem jest zmartwychwstanie, gdzie nie włada już Neron, lecz Miłosierdzie, i zamiast bólu — jest radość, i zamiast łez — wesele.

A potem zaczęła mówić o sobie. I ona już dużo przecierpiała w życiu, lecz ból swój ofiaruje Bogu — i czeka — i ufa. A teraz, gdy nowy spotyka ją cios, gdy rozkaz okrutnika zabiera jej drogą głowę, ona ufa jeszcze, wierząc, że jest moc nad Neronową większą — i Miłosierdzie od jego złości silniejsze.

I przycisnęła silniej jeszcze główkę dziewczyny do piersi. Ta zaś osunęła się po chwili do jej kolan i ukrywając oczy w fałdach jej sukni, pozostała tak przez długi czas w milczeniu. Lecz gdy się wreszcie podniosła, na twarzy jej widać było już trochę spokoju.

— Żal mi ciebie, matko, i ojca i brata. Ale wiem, że opór nie przydałby się na nic, a zgubiłby was wszystkich. Natomiast przyrzekam ci, że słów twoich nie zapomnę nigdy w domu Cezara.

Raz jeszcze zarzuciła jej ramiona na szyję, a potem, gdy obie wyszły, poczęła się żegnać z wszystkimi: ze staruszką, który był jej nauczycielem, ze swoją dawną niańką i ze wszystkimi niewolnikami.

Jeden z nich, wysoki Ligijczyk, którego w domu zwano Ursusem, a który dawno już, razem z matką Ligii i z nią przybył do Rzymu, padł teraz do jej nóg, a następnie pochylił się do kolan Pomponii, mówiąc:

— O pani! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara.

— Nie naszym, ale Ligii jesteś sługą — odpowiedziała Pomponia — lecz czy cię puszcza do drzwi Cezara? i w jaki sposób potrafisz czuwać nad nią?

— Nie wiem, pani; wiem jeno, że w moich rękach kruszy się żelazo jak drzewo...

O pani! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara...



Aulus, który nadszedł na tę chwilę, dowiedziawszy się, o co chodzi, nie tylko nie sprzeciwił się chęci Ursusa, ale powiedział, że nawet nie mają prawa go zatrzymywać i że mogą dodać Ligii kilka jeszcze niewolnic do posługi.

Dla Ligii była w tem pewna pociecha, że będzie miała przy sobie znajome istoty, a że Pomponia wybrała jej tylko wyznawców nowej nauki, mogła więc być pewną wierności tej służby. Napisała też kilka słów Pomponia do jednej z mieszkanek pałacu Cezara, imieniem Akte, polecając Ligię jej opiece. Akte nie była chrześcijanką, ale czytywała już listy św. Pawła i wogóle mówiono o niej, że była dobrym duchem pałacu.

Godzina rozstania nadeszła. Oczy Pomponii i Ligii znów zapłynęły łzami; Aulus raz jeszcze położył dłoń na jej głowie, a po chwili żołnierze, przeprowadzeni krzykiem małego chłopczyny, który w obronie siostry wygrażał pięściami setnikowi, uprowadzili Ligię do domu Cezara.

A stary wódz wybrał się równocześnie do Cezara i do różnych możnych osób, aby wyprosić powrót Ligii. Wszystko jednak było na próżno. Wola Nerona była niezłomną. Sprzeciwiać się jej znaczyło życie narażać.

II.

Ligia tymczasem była już w pałacu pod opieką Akte i Ursusa. Kazano jej dnia tego być wieczorem na uczcie. Strach i niepewność przejmowały ją całą. Bała się Cezara, bała się ludzi, bała się uczt, o których sromocie słyszała od Aulusa, od Pomponii i ich przyjaciół.

Wiedziała, że w tym pałacu grozi jej zguba, ale postanowiła sobie bronić się od owej zraty. A że pewną była, iż teraz już Aulusowie za jej czyny odpowiadać nie będą, myślała, czy nie lepiej będzie stawić opór i nie iść na ucztę. Z jednej strony strach i niepokój głośno gadały w jej duszy, z drugiej rodziła się w niej chęć okazania odwagi, wytrwałości, narażenia się na mękę i śmierć i ciekawość ją brała, jak też ją ukarza? jaki rodzaj mąk dla niej obmyśla?

I tak wahała się jeszcze półdziecinna jej dusza na dwie strony. Ale Akte, dowiedziawszy się o tem, spojrziała na nią z takim zdumieniem, jakby dziewczyna mówiła w gorączce. Okazać opór woli cesarza? Narazić się od pierwszej chwili na jego gniew? Na to trzeba być chyba dzieckiem, które nie wie, co mówi.

— Tak jest — mówiła dalej — i ja czytałam listy św. Pawła, i ja wiem, że nad zie-

mia jest Bóg i jest Syn Boży, który zmar-twychwstał. Ale na ziemi jest Cezar... Pamiętaj o tem, Ligio! O Ligio! Nie drażnij Cezara. Gdy przyjdzie chwila stanowcza, gdy musisz wybierać między hańbą a śmiercią, postąpisz tak, jak ci twoja wiara nakazuje, ale teraz jeszcze nie szukaj dobro-wolnie zguby. A wreszcie znasz Petroniusza i Winicyusza, zobaczysz ich na uczcie i będziesz miała sposobność proszenia, by swoim wpływem wyjednali dla ciebie pozwolenie po-wrotu do domu.

Ligia, która nie wiedziała, że to właśnie wskutek namowy Petroniusza Cezar zabrał ją Aulusom, chwyciła się tej myśli, jak ostatniego ratunku.

— Masz słuszność, Akte — rzekła po chwili namysłu — pójdę z tobą.

*

*

*

Uczta miała się ku końcowi.

Ligia, patrząc na wszystko, co ją otaczało, myślała, czyli to nie ten sen straszny a ohydny? Ludzie to, czy zwierzęta — te postacie bez-przytomne już, a jeszcze pijące i krzyczące dokoła?... Winiciusz, którego widok z począt-ku napelnił ją radością, jako jedynej istoty znanej w tym tłumie i jedynej, na której po-moc rachować mogła, teraz, po pijanemu, wy-

znał jej, że nie Aulusom, ale jemu Cezar odda ją po uczcie, a jutro wieczorem przyśle po nią niewolników, którzy ją do domu jego zabiorą.

Ligię ogarnęła rozpacz. Nie widziała na razie sposobu ratunku dla siebie, ale jedna myśl oświała ją całą. — Uciekać, uciekać stąd jak najdalej, od tych uczt, od ludzi, od Winiciusza, który po pijanemu strasznym jej się wydawał.

Ze strachu i wstępu sił jej nie stało, by się poruszyć, gdy wtem olbrzymia postać Ursusa stanęła nad nią. Wziął ją na ręce jak dziecko i niepostrzeżony przez nikogo z tego pijanego tłumu wyniósł ze sali. Za nimi wyszła i Akte.

Po chwili, idąc kurytarzami, skęcili na galerię, wychodzącą na ogrody pałacowe, w których wierzchołki drzew rumieniły się już od zorzy porannej.

W tej części pałacu pusto było, a odgłosy muzyki i wrzaski biesiady coraz mniej dochodziły. Ligii wydawało się, że wyrwano ją z piekła i wyniesiono na jasny świat Boży. Było jednak coś poza tą ohydą salą. Było Niebo, i zorza, i światło i cisza. Dziewczyne chwycił nagły płacz i tuląc się do ramienia olbrzyma, poczęła powtarzać ze łkaniem:

— Do domu, Ursusie!... do domu, do Aulusów!...

— Pójdziemy — odrzekł Ursus.

Tymczasem znaleźli się w mieszkaniu Akte. Ligia przez długi czas nie mogła się uspokoić i przycisnąwszy rękoma skronie, powtarzała tylko jak dziecko:

— Do domu, do Aulusów! do domu!

Ursus był gotów. Przy bramach stoją wprawdzie żołnierze, ale on i tak przejdzie. Wyjdą razem z tłumem i pójdą prosto do domu. Zresztą, co mu tam! Jak królowna każe, tak być musi. Po to on tu jest, żeby ją ratował.

— Tak, Ursusie, wyjdziemy.

Lecz Akte musiała mieć rozum za oboje.

— Wyjdą! tak. Nikt ich nie zatrzyma. Ale z domu Cezara uciekać nie wolno. Kto to czyni, obraża go. Wyjdą, ale wieczorem setnik zanieś wyrok śmierci Aulusowi i Pomponii — a Ligię zabierze napowrót do pałacu i wtedy nie będzie już dla niej ratunku. Jeśli Aulusowie przyjmą ją pod swój dach, śmierć czeka ich napewno.

Ligii opadły ręce. Nie było rady.

Musiała wybierać między zgubą Aulusów a własną. Idąc na ucztę, miała nadzieję, że Winiciusz i Petroniusz wyproszą ją u Cezara i oddadzą Aulusom, teraz wiedziała, że oni właśnie namówili Cezara, by ją zabrał z domu. Nie było rady. Chyba cud mógł ją ocalić z tej przepaści. Cud i potęga Boża.

— Akte — rzekła z rozpaczą — czy słyszałaś, co mówił Winiciusz, że mu Cezar mnie darował i że dziś wieczór przyśle po mnie niewolników i zabierze mnie do swego domu?

— Słyszałam — rzekła Akte — i myślę, że niema dla ciebie innej rady.

— Nigdy! — zawołała Ligia z wybuchem. — Nie zostanę ani tu, ani u Winiciusza. Nigdy!

I Ligia obsunęła się na kolana, by błagać Boga o pomoc i ratunek. Ursus ukląkł po chwili także i oboje poczęli się modlić.

Akte po raz pierwszy w życiu widziała taką modlitwę i nie mogła oczu oderwać od Ligii. W jej pobladłej twarzy, w oczach i rękach wzniesionych ku Niebu znać było jakieś nadziemskie uniesienie i ufność. I Akte, której przed chwilą wydało się, że niema dla Ligii ratunku, teraz poczęła wierzyć, że może stać się coś nadzwyczajnego, że przyjdzie jakiś ratunek, tak potężny, że i sam Cezar oprzeć mu się nie zdoła. Słyszała już o wielu cudach między chrześcijanami — i myślała teraz, że widocznie wszystko to prawda, kiedy Ligia tak się modli.

Ligia zaś podniosła się wreszcie z twarzy rozjaśnioną nadzieją. Ursus podniósł się także i patrzył w swą panią, czekając jej słów.

A oczy jej zaszły mgłą i po chwili dwie wielkie łzy poczęły się toczyć z wolna po jej twarzy.

— Niech Bóg błogosławi Aulusom — rzekła. — Nie wolno mi ściągać zguby na nich, więc nie zobaczę ich już nigdy.

Potem zwróciła się do Ursusa i poczęła mu mówić, że on jeden pozostaje jej teraz na świecie i on może ją uratować. Uciekać trzeba, ale nie z domu Cezara, ani Winiciusza, lecz z drogi. Winiciusz przyśle po nią niewolników i ci ją zabiorą, ale Ursus zwoła sobie na pomoc chrześcijan i odbije ją. Ursusowi nie oprze się nikt — a potem on ją ukryje i wprowadzi daleko — daleko, choćby do tych krain, skąd oni tu przybyli, gdzie tylko same lasy i bory — a o Rzymie i Cezarze tam nikt nawet nie słyszał.

Otucha wstąpiła w nią na nowo, jakby ta nadzieja ratunku była już pewnością.

Nagle rzuciła się na szyję Akte i poczęła szeptać:

— Ty nas nie zdradzisz, Akte, nieprawda?

— Na cienie matki mojej nie zdradzę was — odpowiedziała Akte. — Proś tylko twego Boga, żeby Ursus zdołał cię ocalić.

Ale o tem Ursus nie wątpił ani na chwilę. Oto pójdzie zaraz, zbierze chrześcijan i będzie wieczorem czekał na drodze i odbije Ligię,

choćby ją nie prowadzili niewolnicy, ale żołnierze w żelaznej zbroi. Bo czy to żelazo takie mocne? Jak dobrze stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma.

Ale Ligia podniosła rękę do góry:

— Ursusie, „nie zabijaj“ — rzekła — Pan Bóg nie pozwala.

I Ursus zawstydział się, że zapomniał o tem przykazaniu Bożem. Onby przecież nie chciał zabijać, ale ją odebrać musi. Będzie się strzegł. Ale jakby się zdarzyło niechcący, to tak będzie pokutował, tak „Baranka Niewinnego“ przepraszał, że „Baranek“ musi mu przebaczyć. On by nie chciał przecież „Baranka“ obrażać, tylko, że ręce ma takie ciężkie.

I lekkie zakłopotanie odbiło się na jego twarzy, które chcąc ukryć, pokłonił się i wyszedł robić przygotowania do wieczornej wyprawy.

Ligia i Akte spędziły dzień ten w niepokoju i gorączkowem oczekiwaniu. Rozmowa ich przerywała się co chwila — co chwila nasłuchiwały, czy się kto nie zbliża.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy nagle, zasłona od sieni poruszyła się i wysoki, czarniawy człowiek zjawił się, jak duch.

Ligia poznała w nim odrazu niewolnika Winiciuszowego, który przychodził jeszcze do Aulusów.

Ten skłonił się nisko i rzekł:)

— Przynoszę pozdrowienie Ligii od Winiciusza, który ją czeka w domu swoim.

Usta dziewczyny pobielały zupełnie.

— Idę — rzekła. I zarzuciła na pożegnanie ręce na szyję Akte.

III.

Winiciusz tymczasem czekał Ligii w domu przybranym w zieleń i niecierpliwie wyglądał, czyli już nie przybywa. Lecz minęła godzina jedna i druga, lecz ani Ligii, ani też niewolników nie było. Chodził szybkimi krokami po sali i powtarzał:

— Już powinni być! Już powinni być!

Nagle w przedsionku dały się słyszeć kroki — do komnaty wpadli hurmem niewolnicy, a stanawszy szybko pod ścianą, podnieśli ręce w górę i poczęli powtarzać jęklowie:

— Aaaa!... aaa!...

Winiciusz skoczył ku nim.

— Gdzie Ligia?! — zawołał strasznym głosem.

Wtem Gulo, najstarszy z niewolników, który niegdyś wyniańczył go, wysunął się naprzód z pokrwawioną twarzą, wołając z pospiechem i żałością:

— Oto krew, panie... broniliśmy! Oto krew...

Lecz nie mógł skończyć, bo Winiciusz złapał ogromny srebrny lichtarz i jednym uderzeniem strzaskał nim głowę niewolnika.

— Rózeg! — krzyknął nieludzkim głosem.

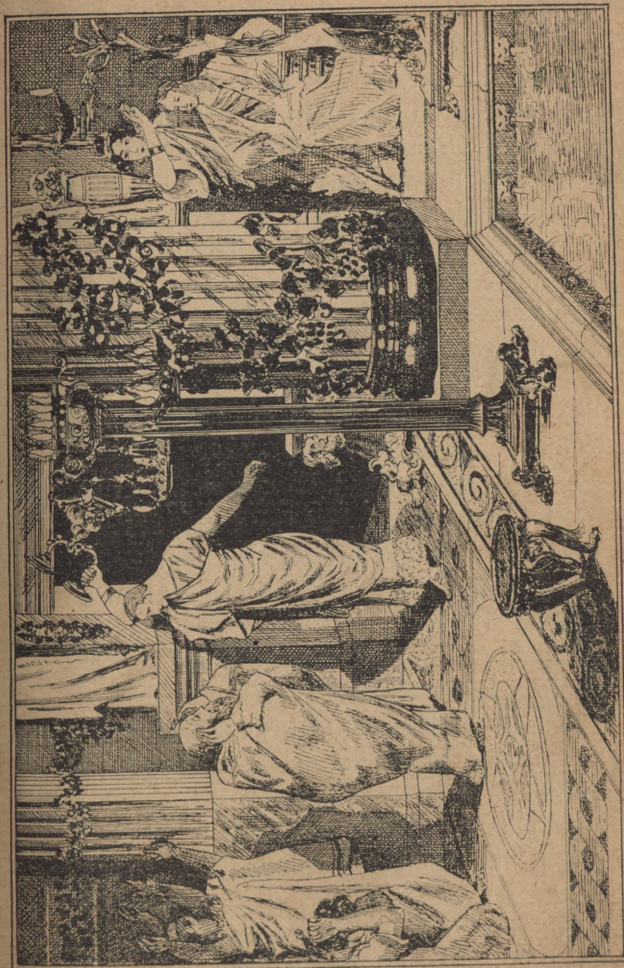
— Panie! ulituj się! — jęczeli niewolnicy.

I w całym domu, ubranym w zieleń i gotowym do uczty, rozległy się po chwili jęki i świst rózeg, który trwał prawie do rana.

Tej nocy Winiciusz nie kładł się wcale. Gdy jęki smaganych niewolników nie mogły uspokoić jego złości, zebrał gromadę innych sług i na ich czele, późna już nocą, wypadł na poszukiwanie Ligii. Lecz była to gonitwa bez celu, gdyż sam nie miał nadziei odnalezienia jej.

Do domu wrócił dopiero nad ranem, kiedy w mieście poczynął się ruch, rzucił się na ławę i zaczął bezładnie rozmyślać, jakim sposobem odnajdzie i zabierze Ligię. Wyrzec się jej na zawsze, stracić ją, nie zobaczyć jej więcej, wydało mu się niepodobieństwem i na samą myśl o tem ogarniała go rozpacz.

Samowolna natura młodego żołnierza pierwszy raz w życiu trafiła na opór, na inną niezłomną wolę i wprost nie mogła pojąć, by ktoś śmiał stawać w poprzek jego chęciom. Przez głowę przelatowały mu różne sposoby jedne od drugich szaleńsze. Wreszcie błysnęła mu myśl, że nikt inny Ligii nie odbił, tylko



Winiciusz złapał ogromny lichtarz i jednym uderzeniem strzaskał nim głowę niewolnika...

Aulus, że w najgorszym razie Aulus musi wiedzieć, gdzie ona się ukrywa.

I zerwał się, aby biedz do Aulusów. Jeśli mu jej nie oddadzą, jeśli nie ułękna się groźb, pójdzie do Cezara, oskarży starego wodza o nieposłuszeństwo i uzyska na niego wyrok śmierci — ale przedtem wydobędzie z nich wyznanie, gdzie jest Ligia. Tu mściwa i zawzięta jego dusza poczęła się cieszyć myślą o rozpacz Pomponii, gdy staremu Aulusowi setnik przyniesie wyrok śmierci. Był zaś pewny, że go uzyska.

Lecz nagle straszna myśl przyszła mu do głowy.

— A może to sam Cezar odbił Ligię?

Winiciuszowi pociemniało w oczach i krople potu pokryły mu czoło. W takim razie Ligia była stracona na zawsze. Można ją było wyrwać z każdych innych rąk — ale nie z takich.

I zamiast do Aulusów, zerwał się i pobiegł do pałacu Cezara.

Tam wbiegł prosto do mieszkania Akte i chwyciwszy ją za ręce, a patrząc prosto w oczy, jął powtarzać urywanym głosem:

— Gdzie jest Ligia?... Gdzie Ligia?...

— Chciałam się ciebie o to zapytać — odrzekła.

A on, jakkolwiek przyrzekł sobie, że wybada ją spokojnie, ścisnął dłońmi głowę i krzyknął:

— Niema jej! Porwano mi ją w drodze... Po chwili opamiętał się i zaczął mówić przez zaciśnięte zęby:

— Akte... jeśli ci życie mile, jeśli nie chcesz stać się przyczyną nieszczęść, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, odpowiedz mi prawdę: czy nie Cezar ją porwał!

— Cezar nie wychodził wczoraj wieczorem.

— Na pamięć matki twojej, powiedz, czy niema jej w pałacu?

— Na pamięć matki mojej, mówię ci, niema jej w pałacu.

Winiciusz odetchnął.

— A więc — rzekł, siadając na ławie i zaciskając pięści — porwali ją Aulusowie, i w takim razie biada im.

— Aulus był tu dziś rano dowiedzieć się, co stało się z Ligią. Oni także nie wiedzieli o niczem

Winiciusz zamilkł. Po chwili Akte rzekła:

— Powiedzieć ci tylko mogę, że stało się to, czego chciała sama Ligia.

— Tyś wiedziała, że ona chce uciec! — wybuchnął Winiciusz.

— Wiedziałam tylko, że nie chciała iść do domu twojego.

Wtem zasłona, dzieląca się od izby, odchylila się i nagle Winiciusz ujrzał przed sobą postać Pomponii.

Widocznie i ona dowiedziała się już o zniknięciu Ligii i przychodziła do Akte po wiadomości.

Lecz spostrzegłszy Winiciusza, zwróciła ku niemu swą bladą, zalaną łzami twarz i rzekła:

— Niech ci Bóg przebaczy krzywdę, jaką zrobiłeś nam i Ligii.

A on stał z czołem spuszczone, z poczućciem nieszczęścia i winy, nie rozumiejąc, jaki Bóg miał i mógł mu przebaczyć i dla czego Pomponia mówiła o przebaczeniu, zamiast mówić o zemście.

I wreszcie wyszedł z głową bezradną, pełną ciężkich myśli, ogromnej troski i zdumienia.

Wprost z pałacu Cezara Winiciusz udał się do Petroniusza. Ten, czując się do pewnego stopnia winnym temu, co się stało, rozpoczął też już poszukiwania na swoją rękę. To też zobaczywszy Winiciusza, rzekł mu zaraz:

— Przy wszystkich bramach miasta kazałem pilnować moim niewolnikom, dawszy im dokładny opis dziewczyny i tego olbrzyma, który ją wyniósł z uczty u Cezara, bo niema wątpliwości, że to on ją odbił.

— Ursus przecież nie pokonałby sam jeden dwudziestu moich niewolników.

— Sam jeden... nie; ale mógł ich pokonać przy pomocy choćby też dwudziestu ludzi.

— A cóż to mogą być za ludzie? — rzekł Winiciusz. — Niewolnicy nie walczyliby przeciwko niewolnikom. Oni wszyscy w Rzymie wzajemnie się wspierają.

— Jej spółwyznawcy — odpowiedział Petroniusz.

— Jacy? jakież ona czci bóstwo? — zawołał Winiciusz. — Powinienbym wiedzieć o tem lepiej od ciebie.

— Pewną jest rzeczą, że Pomponia wychowała Ligię w czci dla tego Bóstwa, które sama wyznaje. Jakie zaś wyznaje — nie wiem. Jedna jest rzecz pewna, że nikt nie widział jej w którejkolwiek z naszych świątyń pogańskich. Oskarżono ją nawet, że jest chrześcijanką, ale to rzecz niepodobna. O chrześcijaninach mówią, że czczą ośłą głowę, że nienawidzą ludzi i że dopuszczają się najohydniejszych zbrodni — a cnota Pomponii jest znaną. Gdyby też nienawidziła ludzi, nie obchodziłaby się z niewolnikami tak łagodnie, jak ona się obchodzi.

— Ta wiara każe przebaczać — rzekł Winiciusz. — Spotkałem u Akte Pomponię, która powiedziała mi: „Niech Bóg daruje ci krzywdę, jaką wyrządziłeś Ligii i nam.“

— Widzisz więc — rzekł Petroniusz. — I mnie Pomponia wspominała o jakimś Bogu, który ma być jeden, wszechmocny i miłosierny;

jeżeli zaś Bóg ten jest tak dobry, to musi mieć więcej wyznawców, niż Pomponię, Ligię i Ursusa — i ci to pomogli mu porwać ją.

* * *

Wiść o zniknięciu Ligii rozniosła się niebawem między wszystkimi domownikami Petroniusza, a przez nich i po całym Rzymie. Nie było tajem nikomu, że Winiciusz za odnalezienie dziewczyny dałby sowitą nagrodę, to też znaleźli się i tacy, którzy po tę nagrodę zapragnęli rękę wyciągnąć. Jakoż w parę dni po opisanych wypadkach jeden z niewolników zawiadomił Petroniusza, że zna człowieka, który potrafi Ligię odnaleźć.

— A!... — rzekł Petroniusz. — Co to za człowiek? Niechże przyjdzie tu zaraz.

I równocześnie posłał po Winiciusza.

Nie czekali długo, za chwilę bowiem niewolnik wprowadził postać małą, wstrętną, w której było coś obrzydliwego i śmiesznego zarazem.

Przybyły skłonił się nisko, a Petroniusz, odpowiadając ruchem ręki na jego ukłon, zapytał:

— Kto jesteś?

— Jestem Grekiem, a nazywam się Chilon Chilonides, panie.

— Czy wiesz dokładnie, czego się podejmiesz? — spytał niecierpliwie Winiciusz.



Jestem Grekiem, a nazywam się Chilon Chilonides, panie...

— Gdy domownicy w dwóch wielkich domach nie mówią o niczem innem, a za nimi powtarza wiadomość połowa Rzymu — nie trudno wiedzieć — odpowiedział Chilon. — Wczoraj wieczorem odbito dziewicę, wychowaną w domu Aulusów, imieniem Ligia, która twoi niewolnicy, panie, przeprowadzali z domu Cezara. Ja zaś podejmuję się znaleźć ją w mieście, lub za miastem.

Petroniuszowi podobała się jasność odpowiedzi i pomyślał, że ten człowiek może odnaleźć Ligię.

— Dobrze — rzekł Winiciusz — a jakie masz do tego środki?

Chilo uśmiechnął się chytrze.

— Środki — ty masz panie: ja mam tylko rozum.

Winiciusz zmarszczył się i rzekł:

— Nędzarzu, jeśli mnie zwodzisz dla zysku, każę cię zabić pod kijami.

— Nie jestem chciwym na zysk, panie, a szczególnie na taki, jaki obiecujesz.

— Czy byłeś już używany do podobnych posług? — spytał Petroniusz.

— Staralem się zawsze, panie, wiedzieć wszystko i służyć nowinami tym, którzy ich pragną.

— I którzy za nie płacą — dodał Petroniusz.

Winiciusz rad był, pomyślał bowiem, że człowiek ten dla pieniędzy zrobi wszystko; że podobnie jak pies gończy, raz puszczony na trop, póty nie ustanie, póki nie odnajdzie kryjówki.

— Dobrze — rzekł. — Czy potrzebujesz wskazówek?

— Potrzebuję broni — odrzekł Chilon. I nadstawiając jedną dłoń, drugą począł robić ruch, naśladujący liczenie pieniędzy.

Winiciusz rzucił mu woreczek pełen złota. Grek chwycił go w powietrzu i zaczął mówić:

— Panie, wiem już więcej, niż się spodziewasz. Nie przyszedłem tu z próżnemi rękoma. Wiem, że dziewicy nie porwali Aulusowie, bo mówiłem z ich niewolnikami; wiem, że niema jej w pałacu Cezara, wiem, że ułatwił jej ucieczkę sługa, z tego samego co i ona kraju. Nie mógł on znaleźć pomocy u niewolników, bo niewolnicy, którzy się wszyscy razem trzymają, nie pomagaliby mu przeciw twoim. Mogli mu pomódz tylko spółwyznawcy.

— Słuchaj, Winiciuszu — przerwał Petroniusz — czym ci tego samego słowo w słowo nie mówił?

— Ligia i jej sługi — mówił dalej Chilon — czcza niezawodnie to samo Bóstwo, co szlachetna Pomponia. Gdybym mógł wiedzieć, jakie to Bóstwo i jak się zowią jego wy-

znawcy, poszedłbym do nich, stałbym się najpobożniejszym między wyznawcami i zyskał ich ufność. Czy nie widziałeś, panie, żadnych posążków, żadnych ofiar na Pomponii albo na Ligii? Czy nie widziałeś, aby kreśliły między sobą jakie znaki, im tylko wiadome.

— Znaki? Czekaj! Tak! Widziałem raz, jak Ligia kreśliła na piasku rybę.

— Rybę? Aa!... Czy zrobiła to raz, czy kilka razy?

— Raz jeden tylko.

— Jesteś panie pewien, że nakreśliła rybę?

— Tak jest! — odparł zaciekawiony Winiciusz. — Czy wiesz, co to znaczy?

— Czy ja wiem, panie! — zawołał Chilon. I skłoniwszy się na znak pożegnania, wyszedł prędko.

— Cóż powiesz o tym człowieku? — spytał Winiciusza Petroniusz.

— Powiem, że on odnajdzie Ligię — zawołał z radością Winiciusz — ale powiem także, że gdyby było państwo łotrów, on mógłby zostać królem między nimi.

* * *

Chilon znikł. Dzień za dniem upływał, lecz ani jego, ani wieści żadnej od niego nie było. Winiciusz już się niecierpliwił i przypuszczał, że chytry Grek, wyłudziwszy

od niego nieco złota, więcej o szukaniu nie myślał.

Wszedł właśnie do Petroniusza, by się dowiedzieć, czy on co nowego nie wie, gdy niewolnik dał znać, że Chilon czeka w przedsionku.

Petroniusz kazał go wpuścić natychmiast, Winiciusz zaś spytał z udanym spokojem:

— Co przynosisz? ... Mów!

— Za pierwszym razem przyniosłem ci, panie, nadzieję, a teraz przynoszę pewność, że dziewczica zostanie odnaleziona.

— To znaczy, żeś jej nie odnalazł dotąd?

— Tak, panie. Ale odnalazł, co oznacza znak, który ci uczyniła, wiem, kto są ludzie, którzy ją odbili — i wiem, między jakiego bóstwa wyznawcami szukać jej należy.

Winiciusz chciał się zerwać z krzesła, lecz Petroniusz położył mu rękę na ramieniu i zwróciwszy się do Chilona, zawołał:

— Mów dalej!

— Czy jesteś zupełnie pewny, panie, że dziewczica nakreśliła ci rybę na piasku?

— Tak jest! — wybuchnął Winiciusz.

— A zatem jest chrześcijanką i odbili ją chrześcijanie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Słuchaj, Chilonie — rzekł wreszcie Petroniusz. — Krewny mój przeznaczył ci za odszukanie dziewczyny znaczną ilość pieniędzy.

także nie mniej znaczną ilość chłosty, jeśli go zechcesz oszukiwać.

— Dziewica jest chrześcijanką, panie — zawołał Grek. — Ryba jest znakiem, po którym oni między sobą się poznają. Ligia, kreśląc rybę na piasku, chciała się przekonać, czy szlachetny Winiciusz nie jest czasem chrześcijaninem, bo gdyby nim był, poznałby, co ryba znaczy.

— Winiciuszu — spytał Petroniusz — czy się nie mylisz i czy rzeczywiście Ligia nakreśliła ci rybę?

— Ależ to oszaleć można! — zawołał z uniesieniem młody człowiek. — Gdyby mi nakreśliła ptaka, powiedziałbym, że ptaka.

— A więc jest chrześcijanką! — powtórzył Chilon.

— To znaczy — rzekł Petroniusz — że Pomponia i Ligia zatruwają wodę w studniach, mordują dzieci, złapane na ulicy i oddają się rozpucie! Głupstwo! Ty, Winiciuszu, znasz przecież dość na to Aulusa, Pomponie i Ligię, żeby powiedzieć: potwarz i głupstwo! Jeśli ryba jest godłem chrześcijan, czemu zaprzeczyć rzeczywiście trudno, to widocznie chrześcijanie nie są tacy, za jakich my ich mamy.

— Istotnie, panie — rzekł Chilon. — Przed trzema laty, w drodze przyłączył się do mnie pewien człowiek z żoną i dziećmi,

nazwiskiem Glaukos. Mówiono o nim, że jest chrześcijaninem, a pomimo to był dobrym i cnotliwym człowiekiem.

— Ale powiedz nam — zawołał nagle Petroniusz — jakim sposobem dowiedziałeś się, że ryba jest znakiem chrześcijan?

— Posłuchajcie mnie cierpliwie — odrzekł Chilon. — Od chwili, w której od was wyszedłem, na nogach porobiły mi się rany od ciągłego biegania. Zachodziłem do winiarni, by rozmawiać z ludźmi, do piekarzy, rzeźników, do sprzedających oliwę i do rybaków. Przebiegłem wszystkie ulice i zaułki; byłem w kryjówkach niewolników, byłem w pralniach, suszarniach, na cmentarzach, a wiecie poco? Oto, aby kreślić wszędzie rybę, patrzeć ludziom w oczy i słuchać, co na ów znak powiedzą. Długi czas nie nie mogłem dostrzedz, aż raz spostrzegłem starego niewolnika przy studni, który brał wiadrami wodę i płakał. Zbliżywszy się do niego, spytałem, czemu płacze? Na to, gdyśmy siedli, odpowiedział mi, że zbierał całe życie grosz do grosza, żeby wykupić ukochanego syna z niewoli, ale jego właściciel, gdy zobaczył pieniądze, zabrał mu je, a syna zatrzymał nadal w niewoli. „I tak płaczę — mówił stary — bo choć powtarzam: dziej się wola Boska, nie mogę, biedny grzesznik, leż powstrzymać.“ Wówczas ja, umo-

czywszy palec w wiadrze, nakreśliłem mu rybę, on zaś rzekł: „I moja nadzieja w Chrystusie.“ A ja na to: Poznałeś mię po znaku? — On rzekł! „Tak jest i pokój niech będzie z tobą“. Wtedy poczałem go ciągnąć za język i pocziwina wygadał wszystko. A ja zacząłem znów narzekać, że przyszedłem tu dopiero przed kilku dniami, że nie znam nikogo z braci, nie wiem, gdzie się zbierają, by modlić się razem. Wtedy rzekł mi, bym przyszedł w nocy nad rzekę, a on mnie z braćmi zapozna, ci zaś poprowadzą mnie do domów modlitwy i do starszych gminy chrześcijańskiej.

* * *

Od tej rozmowy Chilon zachodził od czasu do czasu zdawać sprawę ze swoich poszukiwań, ale nic pewnego jeszcze nie miał.

Winiciusz w oczekiwaniu i niepokoju tracił cierpliwość i zdrowie. Stał się też panem niewyrozumiałym i okrutnym.

Niewolnicy zbliżali się do niego z drżeniem, a gdy kary spadały na nich bez żadnego powodu, zarówno niemiłosierne, jak niesprawiedliwe, zaczęli go nienawidzić.

On zaś, czując to swoje osamotnienie, mścił się na nich tem bardziej. Hamował się teraz z jednym tylko Chilonem, z obawy, żeby nie zaprzestał poszukiwań, ten zaś,

zmiarkowawszy to, począł wynajdywać różne trudności i coraz więcej wyłudzać od niego pieniędzy.

Po długich dniach oczekiwania przyszedł wreszcie z twarzą tak smutną, że Winiciusz zbladł na jego widok i skoczywszy ku niemu, zaledwie mógł zapytać:

— Niema jej między chrześcijanami?

— Owszem, panie — odpowiedział Chi-

lon — ale znalazłem między nimi i Glauka.

— O czem mówisz i co to za jeden?

— To ten starzec, panie, o którym wspominałem, że spotkałem go w drodze. Morderca jakiś pchnął go nożem, handlarze niewolników zabrali jego żonę i dzieci, a ja broniłem go tak, że w obronie straciłem te oto dwa palce u ręki.

Winiciusz, który nie mógł pojąć, o co chodzi, zrozumiał tylko, że ten Glaukos stanowi jakąś przeszkodę w odnalezieniu Ligii, więc potłumił gniew i rzekł:

— Jeśliś go bronił, to powinien ci być wdzięcznym i pomagać

— Ach! panie, czy nie wiesz, jak to ludzie umieją być wdzięczni? W dodatku ten starzec przez wiek i zmartwienia ma umysł przyćmiony i z tego powodu nietylko nie jest mi wdzięczny, ale, jak dowiedziałem się od jednego z chrześcijan, oskarża mnie, że się

zmówił z rozbójnikami i że to ja powodem jestem jego nieszczęść.

— Jestem pewny, łotrze, że tak było, jak on mówi! — rzekł Winiciusz. — ale co mnie to obchodzi! Mów, coś widział w domu modlitwy.

— Ciebie nie obchodzi, panie, ale mnie obchodzi właśnie tyle, co własna moja skóra, bo któż mi zaręczy, że ten starzec nie zechce się na mnie pomścić okrutnie? Wolę się wyrzec nagrody, jaką mi obiecałeś, niż narażać życie.

Lecz Winiciusz zbliżył się ku niemu z twarzą złowroga i począł mówić stłumionym głosem:

— A kto ci powiedział, że z ręki Glauka prędzej cię śmierć spotka, niż z mojej? Kto ci powiedział, że cię zaraz nie zakopię w moim ogrodzie?

— Chilon, który był tchórzem, spojrzał na Winiciusza i w mgnieniu oka poznał, że może zginać bez ratunku.

— Będę jej szukał i znajdę ją — zawołał pospiesznie. — Lecz póki Glaukos żyje, jakże mi jej szukać, gdy każdej chwili mogę go napotkać, a jak napotkam, zginę i wraz ze mną przepadną moje poszukiwania.

Winiciusz poznał, że Chilo, obok rzeczywistego strachu, dąży i do wyłudzenia znów

od niego pieniędzy. Obiecał, że mu je da, pod warunkiem, że go więcej nudzić Glaukos nie będzie, a natomiast opowie, gdzie przez ten czas był, co widział, co odkrył?

Lecz Chilo niewiele nowego mógł mu powiedzieć. Był w dwóch jeszcze domach modlitwy, ale Ligii nigdzie nie widział

Chrześcijanie — mówił — uważają go za swego. Dowiedział się też od nich, że jeden wielki ich prawodawca, imieniem Paweł, jest w Rzymie uwięziony i postanowił się z nim poznać. Ale najbardziej ucieszyła go wiadomość, że najwyższy kapłan całej sekty, który był uczniem Chrystusa i któremu ten powierzył był zarząd chrześcijan całego świata, ma także lada chwila przybyć do Rzymu. Wszyscy chrześcijanie zechcą go naturalnie widzieć i słuchać jego nauk. Nastąpią jakieś wielkie zebrania, na których i on, Chilo, będzie obecny, a co więcej, ponieważ w tłumie ukryć się łatwo, wprowadzi Winiciusza. Wówczas odnajdą Ligię napewno.

Tu Chilo począł opowiadać jeszcze z pewnem zdziwieniem, że nie spostrzegł nigdy, żeby chrześcijanie oddawali się rozpuście, zatrawali studnie, nienawidzili ludzi, albo karmili się mięsem dzieci. Nie, tego nie widział. Nauka ich, o ile mu wiadomo, do żadnych zbrodni nie zachęca, owszem, każe urazy darować.

Winiciusz słuchał z radością, bowiem miło mu było słyszeć, że nauka, którą wyznaje Ligia, nie jest złą i brudną.

Kilka dni upłynęło znów, bez żadnej nowej wieści. Winiciusz siedział zadumany w swojej komnacie, gdy wtem ktoś cicho uchylił zasłony i głos znany powiedział:

— Panie, widziałem Ursusa i mówiłem z nim.

— I wiesz, gdzie się ukryli? — zawołał Winiciusz.

— Nie, panie — odrzekł Chilo. — Gdybym go się o to był spytał, mógłbym obudzić podejrzenie olbrzyma i albo dostać uderzenie pięścią, po którym jużbym do ciebie, panie, przyjść nie mógł, albo dla dziewicy poszukanoby tej jeszcze nocy innej kryjówki. Dość mi jest wiedzieć, że Ligia jest w Rzymie i że tej nocy będzie napewno w Ostranium.

— W Ostranium? gdzie to jest? — przerwał Winiciusz.

— To jest stary cmentarz, za bramą nomenańską, gdzie oni zbierają się na modlitwy. Dziś, panie, przyjechał ten Biskup, o którym ci mówiłem, i w nocy będzie chrzczył i nauczał na tym cmentarzu. Sam Ursus mówił mi, że wszyscy, co do jednej duszy, zgromadzą się dziś w Ostranium, każdy bowiem chce widzieć i słyszeć tego, który był pierwszym uczniem Chrystusa i którego oni zo-

wią Wysłannikiem. Ligia będzie też tam pewno pod opieką innych kobiet i Ursusa.

Tu Chilon począł Winiciusza namawiać, żeby nie porywał Ligii z Ostranium, ale tylko, idąc za nią, dowiedział się, gdzie mieszka, a potem z domu porwać ją będzie łatwo.

Lecz gorąca natura Winiciusza o żadnej zwłoce słyszeć już nie chciała. Że jednak niewolników nie można było brać ze sobą, z obawy, żeby poznanymi nie byli, a iść we dwóch było rzeczywiście niebezpiecznie, posłał Winiciusz po sławnego rzymskiego siłacza Krotona, żeby ten w wycieczce im towarzyszył.

IV.

Niebawem nadszedł Kroton. Chilon postarał się o znaki, za którymi jedynie do Ostranium puszczano, a że mrok już się czynił na świecie, poczęli się zbierać. Wzięli płaszcze z kapturami, latarki, a nadto krótkie zakrzywione noże i wyszli, spiesząc, by do odległej bramy miasta dojść przed jej zamknięciem.

Niezdługo znaleźli się za miastem. Tymczasem ściemniło się już zupełnie, że zaś księżyc jeszcze nie wszedł, więc drogę dość trudno przyszyłoby im znaleźć, gdyby nie to, że wskazywali ją sami chrześcijanie.

Jakoż na prawo, na lewo widać było ciemne postacie, zdążające ostrożnie ku piaskzystym wadłom. Niektórzy z tych ludzi nieśli latarki, osłaniając je jednak płaszczami, inni, znający lepiej drogę, szli po ciemku. W miarę, jak poruszali się naprzód, naokół migąło coraz więcej latarek i więcej szło osób.

Niektóre z nich śpiewały przyciszonymi głosami pieśni, które Winiciuszowi wydawały się jakby pełne tęsknoty. Chwilami ucho jego chwytalo urywane słowa pieśni, jak na przykład: „Wstań, który śpisz“, albo: „Powstań z martwych;“ czasem znów Imię Chrystusa powtarzało się w ustach mężczyzn i kobiet. Niektóre, przechodzące blisko, mówiły: „pokój z wami“ — lub: „chwała Chrystusowi“, a Winiciusza ogarniał niepokój, bo zdawało mu się, że słyszy głos Ligii.

Teraz weszli w wązkie wadół, zamknięty z boku jakby dwoma okopami. Księżyc tymczasem wychylił się z za chmur — i na końcu wąwozu ujrzeni mur, pokryty obficie srebrzącymi się w świetle miesiąca bluszczami. Było to Ostranum.

Przy bramie odbierano znaki. Po chwili Winiciusz i jego towarzysze znaleźli się w miejscu dość obszernem, otoczonym ze wszystkich stron murem. Pośrodku były tu grobowce, a w środku nich widać było wej-

ście do podziemia. Widocznem jednak było, że większa liczba osób nie mogłaby się tam pomieścić, Winiciusz więc domyślił się łatwo, że obrządek będzie się odbywał pod gołem Niebem na dziedzińcu, gdzie wkrótce zgromadził się tłum bardzo liczny. Jak okiem dojrzeć, latarka migotała przy latarce, wielu zaś z przybyłych nie miało wcale światła. Z wyjątkiem kilku głów, które się odkryły, wszyscy, z obawy zdrajców, czy też chłodu, pozostali zakapturzeni, i Winiciusz z trwogą pomyślał, że jeśli tak pozostaną do końca, to w tym tłumie, przy mdłym świetle, nie podobna mu będzie Ligii rozpoznać.

Lecz nagle zapalono kilka smolnych pochodni, które ułożono w mały stos. Stało się jaśniej. Tłum począł po chwili śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniejsz, jakiś dziwny hymn. Winiciusz nigdy w życiu nie słyszał podobnej pieśni. Ta sama tęsknota, która już uderzyła go w śpiewach, nuconych półgłosem przez pojedynczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się i teraz, tylko daleko wyraźniej i usilniej, a wkońcu stała się tak przejmującą i ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórze, wadóły i okolica. Zdawać się przytem mogło, że jest w tem jakieś wołanie pomocy, jakaś pokorna prośba o ratunek w za-

blakaniu i ciemności. Głowy, podniesione ku górze, zdawały się widzieć kogoś, hen, wysoko, a ręce wzywać Go, by zstąpił. Gdy pieśń scichła, nastąpiła jakby chwila oczekiwania, tak przejmująca, że i Winiciusz i jego towarzysze mimowoli spoglądali ku gwiazdom, jakby w obawie, że stanie się coś niezwykłego, że ktoś na prawdę zstąpi. Winiciusz widział mnóstwo przeróżnych świątyń i słyszał mnóstwo pieśni, tu jednak dopiero po raz pierwszy ujrzał ludzi, wzywających Boga pieśnią tak z pod serca, z takiej prawdziwej za Nim tęsknoty, jaką mogą mieć dzieci za ojcem lub matką. Trzeba było być ślepym, by nie dostrzedz, że ci ludzie nie tylko czcili swego Boga, ale Go z całej duszy kochali. W Rzymie, jeżeli kto oddawał jeszcze cześć bogom, to dla zjednania sobie ich pomocy, lub ze strachu, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, żeby ich kochać. Jakkolwiek też młodzieniec miał myśl zajętą Ligią, a uwagę wypatrywaniem jej wśród tłumów, nie mógł jednak nie widzieć tych rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, które się koło niego działy. Tymczasem dorzucono kilka pochodni na ognisko, które oblało czerwonym światłem cmentarz i przyćmiło blask latarek, a w tej samej chwili z podziemia wyszedł starzec, przybrany w płaszcz z kapturem, ale z odkrytą



Starzec zaś podniósł do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnał zgromadzonych, którzy tym razem padli na kolana . . .

głową i wstąpił na kamień, leżący w pobliżu stosu.

Tłum zakołysał się na jego widok. Głosy obok Winiciusza poczęły szeptać: „Piotr! Piotr!“ Niektórzy poklekali, inni wyciągali ku niemu ręce. Nastąpiła cisza tak głęboka, że słysząc było każdy opadający z pochodni węgielek, oddalony turkot kół na drodze i szmer wiatru w kilku drzewach, rosnących obok cmentarza.

Chilon pochylił się ku Winiciuszowi i rzekł:

— To ten! pierwszy uczeń Chrystusa, rybak!

Starzec zaś podniósł do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnał zgromadzonych, którzy tym razem padli na kolana. Towarzysze Winiciusza i on sam, nie chcąc się zdradzić, poszli za przykładem innych.

I ten rybak wydał się Winiciuszowi jakby prostym, wiekowym i niezmiernie czcigodnym świadkiem, który przychodzi z daleka, by opowiedzieć jakąś prawdę, której dotyczył, w którą uwierzył, jak wierzy się w rzeczywistość, i ukochał właśnie dlatego, że uwierzył. Była też w jego twarzy taka siła przekonania, jaką posiada prawda sama. I Winiciusz, który nie chciał się poddać jej urokowi, poddał się jednakże jakiejś gorączkowej ciekawości, co też wypłynie z ust tego towa-

rzysza Chrystusa — i jaką jest ta nauka, którą wyznają Ligia i Pomponia.

Tymczasem Piotr począł mówić i mówił z początku jak ojciec, który upomina dzieci i uczy je, jak mają żyć. Nakazywał im, by wyrzekli się zbytków i rozkoszy, miłowali zaś ubóstwo, czystość obyczajów, prawdę; by znosili cierpliwie krzywdy i prześladowania, słuchali przełożonych i władzy, wystrzegali się zdrady, obłudy i obmówiska, a wkońcu, żeby dawali przykład i jedni drugim między sobą i nawet poganom. Mówił dalej do tych zasłuchanych ludzi, że mają być dobrzy, cisi, sprawiedliwi, ubodzy i czyści, nie dlatego, by za życia mieć spokój, ale by po śmierci żyć wiecznie w Chrystusie, w takim weselu, w takiej chwale, rozkwicie i radości, jakich nikt na ziemi nigdy nie dostąpił; że cnotę i prawdę należy miłować dla nich samych, albowiem najwyższem, przedwiecznem dobrem i przedwieczną cnotą jest Bóg, kto więc je miłuje, ten miłuje Boga i przez to sam staje się Jego umiłowaniem dzieckiem.

Winiciusz nie rozumiał tego dobrze, wiedział jednak już dawniej, że wedle chrześcijan ten Bóg jest jeden i wszechmocny; gdy więc teraz usłyszał jeszcze, że jest On nieskończonym dobrem i nieskończoną prawdą, mimowoli pomyślał, że wobec takiego Boga, ich pogań-

szy bogowie są nieskończenie mali i nie znaczący. Ale największe zdumienie ogarnęło młodego człowieka, gdy starzec zaczął nauczać, że Bóg jest również najwyższą miłością, kto więc kocha ludzi, ten spełnia najwyższe Jego przykazanie. Lecz niedość jest kochać ludzi ze swego narodu, albowiem Bóg-człowiek za wszystkich krew przelał — i między poganami znalazł już Swoich wybranych, i niedość jest kochać tych, którzy nam dobrze czynią, albowiem Chrystus przebaczył i żydom, którzy Go wydali na śmierć i żołnierzom rzymskim, którzy Go do Krzyża przybili, należy więc tym, którzy krzywdy nam czynią, nie tylko przebaczać, ale kochać ich i płacić im dobrem za złe; i niedość kochać dobrych, ale trzeba kochać i złych, gdyż tylko miłością można z nich złość wypłenić.

Winiciusz, słuchając, ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: Co to za Bóg? co to za nauka? i co to za lud? Wszystko, co słyszał, nie mieściło się wprost w jego głowie. Czuł, że gdyby na przykład chciał pójść za tę naukę, musiałby się rozstać ze swoim myśleniem, zwyczajami, naturą, a wypełnić się jakimś zgoła innym życiem i całkowicie nową duszą.

Nauka, która mu kazała przebaczać nieprzyjaciółom, płacić im dobrem za złe i kochać ich, wydała mu się szaloną. Odrzucał ją

w duszy, a jednocześnie czuł, że rozchodzi się od niej, jak od łąki pełnej kwiatów, jakiś zapach rozkoszny, którym, gdy ktoś raz odechnął, musi zapomnieć o wszystkim innym i tylko do tej łąki tęsknić. I nagle ujrzał jasno jedną rzecz: że jeśli Ligia jest na cmentarzu, jeśli wyznaje tę naukę, słucha i czuje, to przenigdy nie zostanie jego żoną, póki on nie zostanie chrześcijaninem.

Przyłożono nieznacznie kilka pochodni na ogień, wiatr przestał szumieć w gałęziach drzew, płomień wznosił się równo, ku skrzającym się na wypogodzonym Niebie gwiazdom, starzec zaś, wspomniawszy o śmierci Chrystusa, począł już tylko o Nim mówić. Wszyscy zatrzymali dech w piersiach — i cisza zrobiła się jeszcze większa, niż przedtem, taka, że słyszeć można było prawie bicie serca.

Ten człowiek widział! i opowiadał, jako ten, któremu każda chwila tak wyrwała się w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi. Mówił więc, jak wróciwszy od Krzyża, przesiedzieli z Janem dwa dni i dwie noce w wieczniku, nie śpiąc, nie jedząc, w znękanu, w żalu, w trwodze, w zwątpieniu, głowy trzymając w rękach i rozmyślając, że On umarł. Oj! ach! jak było ciężko! Już wstał dzień trzeci i świt pobielił mury, a oni obaj z Janem siedzieli tak pod ścianą bez rady

i nadziei. Aż ledwo weszło słońce, wpadła Marya z Magdali bez tchu i z krzykiem: „Wzieli Pana!“ Oni zaś, posłyszawszy, zerwali się i poczęli biedz na miejsce. Lecz Jan, człek młodszy, przybiegł pierwszy, obaczył grób pusty i nie śmiał wejść. Dopiero, gdy było ich troje u wejścia, on który im to mówi, wszedł, ujrzał na kamieniu giezło i zawijacze, ale ciała nie znalazł.

Więc spadł na nich strach, bo myśleli, że porwali Chrystusa kapłani żydowscy, i obaj wrócili do domu w większem jeszcze udręczeniu. Potem nadeszli wszyscy uczniowie i podnosili lament, to wszyscy razem, by ich łatwiej usłyszał Pan Zastępów, to kolejno. Zamarł w nich duch, bo się spodziewali, że Mistrz miał odkupić lud, a oto był trzeci dzień, jak umarł, a On nie zmartwychwstał. Więc nie rozumieli, dlaczego Ojciec opuścił Syna i woleliby nie oglądać dnia tego i pomrzeć, tak ciężkie było to brzemie.

Wspomnienie tych strasznych chwil jeszcze teraz wycisnęło dwie łzy z oczu starca, które widać było dobrze przy blasku ognia, ściekające po siwej brodzie. Stara, obnażona z włosów głowa, poczęła mu się trząść i głos zamarł mu w piersi.

Winiciusz rzekł w duchu: „Ten człowiek mówi prawdę i płacze nad nią!“ A słucha-

czów o prostych sercach żal chwycił także za gardła. Słyszeli już nieraz o Mece Chrystusa i wiadomo im było, że radość nastąpi po smutku, ale że to opowiadał Apostoł, który widział, więc pod wrażeniem załamywali ręce, łkając, lub bili się w piersi.

Lecz z wolna uspokoił się, bo chęć dal-
szego słuchania przemogła. Starzec przymknął oczy, jakby chcąc lepiej widzieć w duszy rzeczy odległe i mówił dalej:

„Gdy tak czynili lament, wpadła znów Marya z Magdali, wołając, że widziała Pana! Nie mogąc Go, dla wielkiego blasku, rozeznąć, myślała, że ogrodnik, a On rzekł: „Maryo!“ — wówczas krzyknęła: „Panie!“ i padła Mu do nóg. On zaś kazał jej iść do uczniów, a potem znikł. Ale oni, uczniowie, nie wierzyli jej, a gdy płakała z radości, jedni przyganiiali jej, inni myśleli, że żal pomieszał jej zmysły, bo mówiła także, że w grobie widziała Aniołów, oni zaś przybieżawszy raz wtóry, widzieli grób pusty. Potem wieczorem przyszedł Kleofas, który chodził z innymi do Emaus, i wrócili co żywo, mówiąc: „Prawdziwie zmartwychwstał Pan.“ I poczęli się zbierać przy drzwiach zamkniętych, dla bojaźni żydów. Wtem On stanął między nimi, choć nie skrzypiały drzwi, a gdy struchleli, rzekł im: „Pokój z wami...“

„I widziałem go, jako widzieli wszyscy, a On był jako światłość i jako szczęśliwość serc naszych, bośmy uwierzyli, że zmartwychwstał — i że morza wyschną, góry się w proch obróca, a Jego chwała nie przeminie...”

„A po ośmiu dniach Tomasz wkładał palce w Jego rany i dotykał boku Jego, a potem padł Mu do nóg i wołał: „Pan mój i Bóg mój.” A On mu powiedział: „Iżes Mnie ujrzał, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.” I te słowa słyszeliśmy i oczy nasze patrzyły na Niego, albowiem był między nami.”

Winiciusz słuchał i działo się w nim coś dziwnego. Nie mógł uwierzyć w to, co starzec mówił, a czuł, że potrzebaby chyba być ślepym i zaprzeć się własnego rozumu, by myśleć, że ten człowiek, który mówił: „widziałem” — kłamał. Było coś w jego twarzy, w jego łzach, w jego całej postaci i w szczegółach zdarzeń, które opowiadał, co nakazywało mu wierzyć. Winiciuszowi zdawało się chwilami, że śni. Lecz dokoła widział uciszony tłum; niedaleko paliły się pochodnie, a obok na kamieniu stał człowiek stary, blizki grobu, który, dając świadectwo prawdzie, powtarzał: „Widziałem.”

I opowiedział im wszystko dalej aż do Wniebowstąpienia. Chwilami wypoczywał, bo

mówił bardzo szczegółowo, ale czuć było, że każdy najmniejszy szczegół tak wyrył się w jego pamięci, jak na kamieniu.

Tych, którzy go słuchali, ogarnęło szczęście. Pozrzucali z głów kaptury, by słyszeć lepiej i by nie uronić żadnego z tych słów, które były dla nich bez ceny. Zdawało im się, że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei, że chodzą razem z uczniami po tamtejszych gajach i nad wodami, gdzie ich Pan Jezus nauczał, że ten cmentarz zmienia się w Tyberyackie jezioro, a na brzegu stoi Chrystus, tak jak stał wtedy, kiedy Jan, patrząc z łódki, rzekł: „Pan jest” — a Piotr rzucił się w wodę, by prędzej przypaść do nóg umiłowanych. W twarzach znać było zachwyt, zapomnienie życia i niezmierną miłość. A gdy Piotr począł mówić, jak w chwili Wniebowstąpienia obłoki zaczęły zaszuwać stopy Zbawiciela i zasłaniać Go i zakrywać przed oczami Apostołów — wszystkie głowy podniosły się mimowoli ku Niebu i nastąpiła chwila jakby oczekiwania, jakby owi ludzie mieli nadzieję dojrzeć Go jeszcze, lub jakby się spodziewali, że zstąpi znów z pól niebieskich, by zobaczyć, jak stary Apostoł pasie powierzone mu owce — i błogosławić jego i stado.

I dla tych ludzi nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było

pogan — był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, Niebo — świat cały.

W odległych domach koguty poczęły pisać, oznajmując północ. W tej chwili Chilon pociągnął Winiciusza za róg płaszcza i szepnął:

— Panie, tam, niedaleko starca, widzę Ursusa, a przy nim jakąś dziewczę.

Winiciusz spojrział we wskazaną stronę i ujrzał Ligie. Radość ogromna owładnęła nim całym, zapomniał o wszystkim, co go otaczało, i widział tylko ją jedną. A ona stała w pełnym świetle, więc mógł patrzeć na nią, ile sam chciał. Kaptur zesunął się jej z głowy, usta miała nieco otwarte, oczy wzniezione ku Apostołowi, twarz zasluchaną i zachwyconą. W płaszczu z ciemnej wełny, ubrana była jak uboga dziewczyna, a pomimo tego wydała mu się piękniejszą, niż w swoich dawnych, bogatych szatach.

Chrześcijanie tymczasem zaczęli się modlić i śpiewać. Zabrzmiął hymn radosny, a potem wielki Apostoł począł chrzczyć tych, których przedstawiano jako gotowych do przyjęcia Chrztu świętego.

Winiciuszowi zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. Chciał teraz iść jak najprędzej za Ligią i pochwycić ją w drodze, albo w jej mieszkaniu.

Wreszcie niektórzy poczęli opuszczać cmentarz. Chilo wówczas szepnął:

— Wyjdźmy, panie, przed bramę, bo nie zdjęliśmy kapturów i ludzie patrzą na nas.

Tak było rzeczywiście. Gdy podczas słów Apostoła wszyscy odrzucali kaptury, ażeby lepiej słyszeć, oni nie zrobili tego. Rada Chilona była dobra. Stojąc przy bramie, mogli uważać na wszystkich wychodzących. Ursusa zaś nie trudno było rozpoznać po wzroście i postawie.

— Pójdziemy za nimi — rzekł Chilon — zobaczymy, do którego domu wchodzi, jutro zaś, a raczej dziś jeszcze, otoczysz, panie, wszystkie wejścia do domu niewolnikami i zabierzesz ją.

— Nie! — rzekł Winiciusz.

— Co chcesz uczynić, panie?

— Wejdziemy za nią do domu i porwiemy ją natychmiast; przecież podjąłeś się tego, Krotonie?

— Tak jest — odpowiedział siłacz — i oddaję ci się, panie, jako niewolnik, jeśli nie złamię krzyża temu olbrzymowi, który jej pilnuje.

Lecz Chilon zaczął odradzać i zaklinać ich na wszystko, żeby tego nie robili.

— Biorąc ją we dwóch — mówił — sami narażają się na śmierć — i, co więcej,

moga ją wypuścić z rąk, a wtedy ona skryje się w innym miejscu, albo ucieknie z Rzymu. Dlaczego nie działać na pewno i poco narażać siebie na zgubę?

Winiciusz czuł, że Chilon ma słuszność i byłby może usłuchał jego rad, gdyby nie Kroton, któremu chodziło o nagrodę.

— Nie mówię, żeby dziewczę porywać teraz — odezwał się on — bo mogliby nam rzucać pod nogi kamienie, ale gdy raz będzie w domu, porwę ci ją i zaniosę, dokąd chcesz.

Winiciusz ucieszył się, słuchając tych słów i z rozradowaną twarzą rzekł:

— Tak się więc stanie.

Musieli jednak czekać jeszcze długo i kury poczęły pisać na przedświt, nim ujrzeni wychodzącego z bramy Ursusa, a z nim Ligię. Towarzyszyło im kilka innych osób. Winiciuszowi zdawało się, że poznaje między nimi Wielkiego Apostoła; obok niego szedł drugi starzec, znacznie niższy wzrostem, dwie niemłode kobiety i dziecko, które świeciło latarnią. Za tą garstką szedł tłum, liczący ze dwieście osób. Winiciusz, Chilon i Kroton pomieszaali się z tym tłumem.

— Tak, panie — rzekł Chilon — twoja dziewczica znajduje się pod mozną opieką. To on z nią jest, Wielki Apostoł, bo patrz, jak ludzie klękają przed nim.

Ludzie rzeczywiście klękali, ale Winiciusz nie patrzył na nich. Nie tracąc ani na chwilę Ligii z oczu, myślał ciągle o jej porwaniu. Czuł, że krok, na który się ważył, był zuchwały, ale wiedział dobrze, że zuchwale napady zwykle kończą się powodzeniem.

Droga była dość długa, więc chwilami myślał o tem wszystkim, co się stało, i teraz rozumiał, dlaczego się tak stało, dlaczego Ligia od niego uciekła. Zrozumiał, że ta nowa nauka wszczepia w duszę coś nieznanego całemu światu pogańskiemu i że Ligia, choćby go nawet kochała, żadnej ze swoich prawd chrześcijańskich dla niego nie odstąpi. I ze zdumieniem pytał się: Co to jest? I nie umiał sobie jasno odpowiedzieć, przez głowę przelatywały mu tylko obrazy cmentarza, zebranego tłumu i Ligii, zasluchanej całą duszą w słowa starca, opowiadającego o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Boga-Człowieka, który odkupił świat i obiecał mu szczęście — poza grobem.

Słońce było już blizkie wschodu, gdy gromadka, w której była Ligia, rozdzieliła się. Apostoł, stara kobieta i dziecko udali się wzdłuż rzeki, starzec zaś niższego wzrostu, Ursus i Ligia wsunęli się w wąskie przejście i uszedłszy ze sto kroków, weszli do sieni niewielkiego domu.

Chilon, który szedł o jakie pięćdziesiąt kroków za Winiciuszem i Krotonem, stanął zaraz jak wryty i przycisnąwszy się do muru, począł na nich psykać, aby do niego wrócili.

Oni zaś uczynili to, bo trzeba było się naradzić.

— Ja pójde pierwszy — rzekł Kroton.

— Pójdiesz za mną — rzekł rozkazującym głosem Winiciusz.

I po chwili zniknęli obaj w ciemnej sieni.

Chilon skoczył do rogu najbliższej uliczki i zaczął wyglądać z za węgła, czekając, co się stanie

V.

Winiciusz z Krotonem przez długą, podobną do kurytarza sień, dostali się na wąskie, zabudowane z czterech stron podwórko ze studnią na środku.

Godzina była wczesna i na podwórku nie było żywej duszy. Widocznie w całym domu spalili jeszcze wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy wrócili z Ostranum.

— Co uczynimy, panie? — zapytał Kroton.

— Czekajmy, może się kto zjawi — rzekł Winiciusz — nie trzeba, by nas widziano na podwórzu.

Wtem, z pod jednej z zasłon, zamykających mieszkania, wyszedł człowiek z sitem w ręku i zbliżył się do studni.

Winiciusz, na pierwsze wejrzenie, poznał Ursusa.

— To on! — szepnął do Krotona.

— Czy mam zaraz połamać mu kości?

Ursus nie zobaczył ich, bo stali w mroku sieni i począł spokojnie oplukiwać w wodzie jarzyny, które miał w sicie.

Widocznem było, że po całej nocy, spędzonej na cmentarzu, chciał z nich przygotować śniadanie. Po chwili, skończywszy robotę, wziął sito i znikł wraz z niem za zasłoną. Winiciusz i Kroton ruszyli za nim, myśląc, że wpadną wprost do mieszkania Ligii.

Wieć zdziwili się ogromnie, gdy spostrzegli, że zasłona oddzielała od podwórza nie mieszkanie, ale drugi ciemny kurytarz, na którego końcu widać było ogródek i mały domek.

Ursus wchodził już prawie do domku, gdy usłyszał kroki, więc przystanął, a zobaczywszy dwóch ludzi, postawił sito i zawrócił ku nim.

— A czego to szukacie? — spytał.

— Ciebie! — odpowiedział Winiciusz.

Potem, zwróciwszy się do Krotona, zawołał prędkim, cichym głosem:

— Zabij!

Kroton rzucił się jak tygrys i w jednej chwili, zanim Ursus zdołał się opamiętać, lub rozpoznać nieprzyjaciół, chwycił go w swoje żelazne ramiona.

Lecz Winiciusz zbyt był pewien jego nadludzkiej siły, by czekać na koniec walki. Wierząc, że pominawszy ich, skoczył ku drzwiom domku, pchnął je i znalazł się w ciemnej nieco izbie, rozświetlonej jednak przez ogień, palący się na kominie. Blask tego płomienia padał wprost na twarz Ligii. Drugą osobą, siedzącą przy ognisku, był ów starzec, który towarzyszył dziewczynie i Ursusowi w drodze z Ostranum.

Winiciusz wpadł tak nagle, że zanim Ligi mogła go rozpoznać, chwycił ją w pół i uniósłszy w górę, rzucił się znów ku drzwiom. Starzec zastąpił mu je, ale on jednym ramieniem przycisnąwszy dziewczynę do piersi, odrzucił go drugą wolną ręką. Kapturek spadł mu z głowy i wówczas na widok tej znanej sobie a straszliwej w tej chwili twarzy, krew ścieła się w żyłach Ligii z przestachu. Chciała wołać o pomoc i nie mogła. Chciała uchwycić się za ramę drzwi, by dać opór, lecz palce jej zsunęły się po kamieniu. I byłaby straciła przytomność, gdyby nie okropny obraz, który ujrzała, gdy Winiciusz wypadł z nią do ogrodu.

Oto Ursus trzymał w ramionach jakiegoś człowieka, przegiętego w tył, z przechyloną głową i z ustami we krwi. Ujrzawszy ich, raz jeszcze uderzył pięścią w tę głowę i w je-



A potem usłyszał, jakby przez sen, okrzyk Ligii: „Nie zabijaj!”

dnej chwili skoczył jak rozjuszony zwierz ku Winiciuszowi.

— Śmierć! — pomyślał młody żołnierz.

A potem usłyszał, jakby przez sen, okrzyk Ligii: „Nie zabijaj!“ — następnie czuł, że coś, jakby piorun, rozwiązało mu ręce, któremi ją obejmował, wreszcie ziemia zakreśliła się z nim i światło dnia zgasło w jego oczach...

Tymczasem Chilon ukryty za węglem domu, czekał, co się stanie, albowiem ciekawość walczyła w nim ze strachem. Czekał dość długo. Wtem coś mignęło mu się z daleka.

Zdawało mu się, że coś wychyliło się z sieni — więc, przycisnąwszy się do muru, począł patrzeć, tamując dech w piersiach.

I nie mylił się, z sieni bowiem wysunęła się do wpół jakaś głowa i poczęła się rozglądać dokoła.

Po chwili jednak znikła.

— To Winiciusz albo Krotón — pomyślał Chilon. — Ale jeśli porwali dziewczę, dlaczego ona nie krzyczy i dlaczego oni wyglądają na ulicę?...

I nagle resztki włosów zjeżyły mu się na głowie.

We drzwiach pokazał się Ursus z przewieszonym przez ramię ciałem Krotóna i rozejrzawszy się raz jeszcze, począł z nim biedz pustą ulicą ku rzece.

Chilon przycisnął się do muru, ile tylko mógł.

— Zginałem, jeżeli mnie zobaczy! — pomyślał.

Lecz Ursus przeleciał prędko koło niego i zniknął za drugim domem. Chilon, nie czekając dłużej, zaczął uciekać w przeciwną stronę, ile mu sił starczyło, dzwoniąc zębami ze strachu.

— Jeśli wracając, zobaczy mnie z daleka, to dogna i zabije — mówił sobie.

I ten Ursus, który zabił Krotóna, wydawał mu się w tej chwili jakąś nadzwyczajną istotą. Przelatywało mu także przez głowę, że Krotóna mógł zabić Bóg chrześcijan — i włosy zjeżyły mu się znów na głowie na myśl, że zadarł z taką potęgą.

Przeleciawszy dopiero kilka ulic, uspokoił się trochę, a że zabrakło mu już tchu w piersiach, usiadł na progu domu i począł rogiem płaszcza obcierać pokryte potem czoło.

Strach opuścił go trochę, natomiast wzrosła jeszcze ciekawość, co mogło stać się z Winiciuszem.

— Jeśli ten smok ligijski nie rozdarł go w pierwszym zapędzie, tedy jest żywy.

— Ale czy go nie rozdarł...

I postanowił wieczorem pójść na zwiady, teraz zaś czuł się tak zmęczonym, że ledwie doszedł do domu, rzucił się na posłanie i zasnął w jednej chwili.

Zbudził się dopiero wieczorem, a raczej zbudziła go niewolnica, wzywając go, by wstał, albowiem ktoś szuka go i chce się z nim widzieć w pilnej sprawie.

Czuyny Chilon oprzytomniał w jednej chwili, zarzucił prędko płaszcz z kapturem i ostrożnie wyrzwał.

Wyrzwał — i zmartwiał — bo przez drzwi zobaczył olbrzymią postać Ursusa.

Na ten widok uczuł, że nogi i głowa jego robią się zimne jak lód, a serce przestaje bić w pierśsiach. Czas jakiś nie mógł przemówić, wreszcie, zwracając się do niewolnicy, wyjęczał:

— Syro! niema mnie... nie znam... tego... dobrego człowieka...

— Powiedziałam mu już, że jesteś i że śpisz, panie — odrzekła dziewczyna — on zaś żądał, by cię obudzić...

Lecz Ursus, jakby zniecierpliwiony czekaniem, zbliżył się do drzwi i schyliwszy się, wsadził do wnętrza głowę.

— Chilonie! — rzekł

— Pokój tobie! pokój, pokój! — odpowiedział Chilon. — O najlepszy z chrześcijan! Tak, jestem Chilonem, ale to omyłka. Nie znam cię.

— Chilonie! — powtórzył Ursus — pan twój, Winiciusz, wzywa cię, abyś do niego poszedł razem ze mną...

Winiciusza zbudził dotkliwy ból. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. W głowie czuł szum i oczy jego były zakryte jakby mgłą. Stopniowo jednak wracała mu przytomność i wreszcie dojrzał trzech schylonych nad sobą ludzi. Dwóch rozpoznał: jeden był Ursus, drugi — ten starzec, którego obalił, porywając Ligię. Trzeci, zupełnie obcy, trzymał jego lewą rękę i dotykając jej wzdłuż od łokcia aż do ramienia, zadawał mu właśnie ból tak straszny, że Winiciusz, myśląc, iż w ten sposób mszcza się nad nim, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zabijcie mnie!

Lecz oni nie zdawali się uważać na jego słowa, jakby nie słyszeli ich. Ursus, ze swoją zmartwioną, a zarazem groźną twarzą, trzymał pęki białych szmat, podartych na długie pasy, starzec zaś mówił do człowieka, który opatrywał rękę Winiciusza:

— Glauku, jest-żeś pewny, że ta rana w głowie nie jest śmiertelna?

— Tak jest, cny Kryspie — odpowiedział Glaukus — opatrywałem już wiele ran i znam się na tem. Rana w głowie jest lekka. Gdy ten człowiek (tu wskazał na Ursusa) odebrał młodzieńcowi dziewczynę i pchnął go na mur, ten widocznie padając, zasłonił się ręką, którą wybił i złamał, ale przez to ocalił głowę i życie.

To rzekłszy, począł nastawiać ramię Winiciuszowi, który mimo, że Kryspus skrapiał mu twarz wodą, mdlał ciągle z bólu. Było to zresztę dla niego bardzo szczęśliwie, bo tym sposobem nie czuł nastawiania ręki.

Po skończonej operacji obudził się znowu i zobaczył nad sobą Ligię.

Stała tuż przy jego łóżku i trzymała miedziane wiaderko z wodą, którą Glaukus maczał od czasu do czasu jego głowę. Winiciusz patrzył i oczom nie wierzył — i po długiej dopiero chwili zdołał wyszeptać:

— Ligio!

Ona zwróciła na niego oczy pełne smutku.

— Pokój z tobą! — odrzekła z cicha.

I stała nad nim z twarzą pełną litości i żalu.

— Ligio! — rzekł — nie pozwoliłaś mnie zabić...

A ona odpowiedziała ze słodyczą.

— Niech Bóg wróci ci zdrowie.

Dla Winiciusza, który miał poczucie i tych krzywd, które jej dawniej wyrządził i tej, którą chciał wyrządzić teraz, była w jej słowach wprost nadludzka dobroć. To też, jak wpraw. osłabł z bólu, tak teraz osłabł ze wzruszenia.

Tymczasem Glaukus skończył obmywać ranę w jego głowie i przyłożył do niej masę

gojącą. Ursus zabrał z rąk Ligii naczynie z wodą, ona zaś wzięwszy przygotowaną na stole czarę z wodą, pomieszaną z winem, przyłożyła ją do ust rannego. Winiciusz wypił chciwie, poczem doznał ogromnej ulgi. Po skończonym opatrunku ból prawie minął. Wróciła mu zupełna przytomność.

— Daj mi pić jeszcze — rzekł.

Ligia odeszła z próżną czarą do drugiej izby, natomiast Kryspus, po krótkich słowach, powiedzianych do Glauka, zbliżył się do łóżka.

— Winiciuszu — rzekł — Bóg nie pozwolił ci popełnić złego uczynku, ale zachował cię przy życiu, byś opamiętał się w duszy. Ten, wobec którego człowiek jest tylko prochem, podał cię bezbronnego w ręce nasze, lecz Chrystus, w którego wierzymy, kazał nam miłować nawet nieprzyjaciół. Więc opatrzyliśmy twoje rany i będziemy się modlić, aby Bóg wrócił ci zdrowie, ale dłużej nad tobą czuwać nie możemy. Zostań więc w spokoju i pomyśl, czyli godziłoby ci się prześladować dłużej Ligię, którą pozbawiłeś opiekunów, dachu — i nas, którzyśmy ci dobrem za złe odpłacili?

— Chcecie mnie opuścić? — spytał Winiciusz.

— Chcemy opuścić dom ten, w którym może nas dosięgnąć prześladowanie policyi. Towarzysz twój został zabity, ty zaś, który

jesteś możliwy między swymi, leżysz ranny. Nie z naszej to winy się stało, ale na nas musiałby spaść gniew prawa.

— Prześladowania się nie bójcie — rzekł Winiciusz. — Ja was osłonię.

Kryspus nie chciał mu odpowiedzieć, że nie chodzi im tylko o policyę, ale że nie mając zaufania i do niego także, chcą zabezpieczyć Ligię przed dalszym jego pościgiem.

— Panie — rzekł — prawa twoja ręka jest zdrowa; napisz do sług, aby przyszedli po ciebie dziś wieczór i odnieśli cię do twego domu, gdzie będzie ci wygodniej, niż wśród naszego ubóstwa. My tu mieszkamy u biednej wdowy, która wkrótce nadejdzie z synem swoim, i ten odniesie twój list. My zaś musimy wszyscy szukać innego schronienia.

Winiciusz pokiwał głową. Zrozumiał bowiem, że chcą go rozłączyć z Ligią i że gdy straci ją teraz, to może nigdy w życiu już jej nie zobaczy. Rozumiał również, że cokolwiekby powiedział tym ludziom, choćby im przysiągł, że wróci Ligię Aulusom, oni mają prawo mu nie wierzyć i nie uwierzyć. A że pragnął całą siłą przejednać i Ligię i tych jej opiekunów, a na razie nie mógł znaleźć na to żadnego sposobu, przeto chciał zyskać na czasie.

Więc zebrawszy myśli, rzekł:

— Posłuchajcie mnie, chrześcijanie. Wczoraj byłem razem z wami w Ostranium i słuchałem waszej nauki, ale choćbym jej nie znał, wasze uczynki przekonałyby mnie, że jesteście ludzie uczciwi i dobrzy. Powiedzcie owej wdowie, która zamieszkuje ten dom, aby została w nim, wy zostańcie także i mnie pozwólcie zostać. Niech ten człowiek (tu zwrócił wzrok na Glauka), który jest lekarzem, powie, czy można mnie dziś przenosić. Jestem chory i mam złamaną rękę, która musi choć kilka dni leżeć nieruchomo — i dlatego powiadam wam, że się stąd nie ruszę, chyba mnie przemocą wyniesiecie.

Tu przerwał, Kryspus zaś rzekł:

— Nikt, panie, nie użyje przeciwko tobie przemocy, my tylko uniesiemy stąd głowy nasze.

Na to nieprzywykły do oporu młody człowiek, zmarszczył brwi, lecz wnet się pohamował i rzekł:

— O Krotona, którego zabił Ursus, nikt się nie zapyta; dziś miał z Rzymu wyjechać, wszyscy więc będą myśleli, że wyjechał. Gdyśmy weszli z Krotonem do tego domu, nie widział nas nikt, prócz jednego Greka, który był z nami w Ostranium. Powiem wam, gdzie mieszka, sprowadźcie mi go, ja zaś nakazę mu milczenie, bo jest to człowiek przeze mnie płatny. Do domu mego napiszę list, żem

także wyjechał. Gdyby Grek już dał znać policyi, powiem jej, że Krotóna sam zabił i że to on mi złamał rękę. Tak uczynię, na pamięć ojca i matki mojej! a więc możecie tu zostać bezpiecznie. Sprowadźcie mi tylko prędko Greka, który zwie się Chilon.

— Więc Glaukus zostanie przy tobie, panie — rzekł Kryspus — i wraz z wdową będzie miał pieczę nad tobą.

Winiciusz zmarszczył brwi jeszcze silniej.

— Uważ, stary człowieku, co powiem — rzekł — winienem ci wdzięczność i wydajesz mi się dobrym i uczciwym, ale nie mówisz mi tego, co masz na dnie duszy. Ty się boisz, bym nie kazał zabrać Ligii! Czy tak nie jest?

— Tak jest — odrzekł z pewną surowością Kryspus.

— Więc uważ, że z Chilonem będę rozmawiał przy was i że przy was napiszę list do domu, iżem wyjechał — i że innych posłańców, jak wy, później nie znajdę... Rozważ to sam i nie drażnij mnie dłużej.

I pobladł z gniewu i osłabienia. Po chwili zaczął znów mówić w uniesieniu:

— Żaliś ty myślał, że ja się zaprę, że chcę zostać dlatego, żeby ją widzieć? Głupi-by odgadł, choćbym się zaparł. Ale przemocą nie będę jej więcej brał... Tobie zaś powiem co innego. Jeśli ona tu nie zostanie,

to zdrową ręką pozrywam wiązania z ramienia i niech śmierć moja spadnie na ciebie i na twoich braci.

Ligia jednak, która z drugiej izby słyszała całą rozmowę i która była pewną, że Winiciusz spełni to, co zapowiada, zlekła się jego słów. Nie chciała za nic jego śmierci. Raniomy i bezbronny budził w niej tylko litość, nie strach.

Od czasu ucieczki, żyjąc wśród ludzi rozmyślających tylko o ofiarach, poświęceniach i miłosierdziu bez granic, myślała o Winiciuszu po całych dniach i nieraz prosiła Boga o taką chwilę, w której, idąc za natchnieniem nauki, mogłaby mu wypłacić się dobrem za złe, miłosierdziem za prześladowanie, przekonać go, zdobyć dla Chrystusa i zbawić. A teraz zdawało jej się właśnie, że taka chwila nadeszła i że modlitwy jej zostały wysłuchane.

Zbliżyła się więc do Kryspusa z twarzą rozjaśnioną i zaczęła mówić tak, jakby przez nią mówił głos jakiś inny:

— Kryspie, niech on zostanie między nami i my pozostaniemy z nim, dopóki Chrystus go nie uzdrowi.

A starzec, przywykły szukać we wszystkim technień Bożych, widząc jej uniesienie, pomyślał zaraz, że mówi przez nią moc wyższa i uląkwszy się w sercu, pochylił siwą głowę.

— Niech się tak stanie, jak mówisz — rzekł.

Winiciusza ogarnęła radość, lecz z osłabienia mówić nawet nie mógł.

Po chwili dopiero zażądał znów, by sprowadzono mu Chilona.

Kryspus zgodził się na to i postanowiono wysłać Ursusa.

VI.

Niebawem weszli obaj. W izbie było ciemnawo, wieczór był chmurny, zimowy, a płomień kilku kaganków niezupełnie rozpraszal mrok. Winiciusz raczej domyślił się, niż poznał w zakapturzonym człowieku Chilona, ten zaś ujrawszy łożę w rogu izby i na niem Winiciusza, ruszył, nie patrząc na innych, wprost ku niemu.

— O panie, czemuś nie słuchał rad moich! — zawołał, składając ręce.

— Milcz — rzekł Winiciusz — i słuchaj.

Tu począł patrzeć bystro w oczy Chilona i mówić zwolna, a dobitnie, jakby chciał, by każde słowo jego rozumiane było jako rozkaz i zostało raz na zawsze w pamięci Chilonowej:

— Kroton rzucił się na mnie, by mnie zamordować i ograbić, rozumiesz! Wówczas

zabiłem go, ci zaś ludzie opatrzyli mi rany, jakie otrzymałem w walce z nim.

Chilon odrazu zrozumiał, że jeśli Winiciusz tak mówi, to chce, żeby wierzone w to, co mówi, więc nie okazawszy ni powątpiewania, ni zdziwienia, podniósł oczy w górę i zawołał:

— Łotr to był wierutny, panie. Wszak-żem cię ostrzegał, byś mu nie ufał.

Lecz Winiciusz spojrział na niego badawczo i spytał:

— Co robiłeś dziś?

— Jakto? Czym ci, panie, nie powiedział, że składałem ofiary za twoje zdrowie?

— I nic więcej?

— I wybierałem właśnie odwiedzić cię, gdy tamten dobry człowiek nadszedł i powiedział, że mnie wzywasz.

— Oto jest tabliczka. Pójdiesz z nią do mego domu i tam ją oddasz. Napisano na niej, że wyjechałem do Benewentu. Od siebie powiesz służbie, że zrobiłem to dziś rano.

Tu powtórzył z naciskiem:

— Wyjechałem do Benewentu — rozumiesz?

— Wyjechałeś, panie, rano: zęgałem cię przecie sam przy bramie miasta i od czasu twego wyjazdu taka mnie ogarnia tęsknota. że jeśli twoja wspaniałomyślność jej nie utuli, to zapłacę się na śmierć.

Winiciusz, choć chory i przywykły do chciwości Greka, nie mógł jednak wstrzymać śmiechu. Rad był przytem, że Chilon go tak rozumiał, więc rzekł:

Zatem dopiszę, żeby ci złotem łyzy obtarto. Daj mi kaganek.

Chilon, uspokojony już zupełnie, wstał i uczyniwszy kilka kroków w stronę komina, zdjął jeden z palących się na murku kaganków.

Lecz gdy kaptur zsunął się przy tej czynności z jego głowy i światło padło wprost na jego twarz, Glaukus zerwał się z ławy i zbliżywszy się szybko, stanął przed nim.

— Nie poznajesz mnie? — spytał.

I w głosie jego było coś tak strasznego, że dreszcz przebiegł wszystkich obecnych.

Chilon podniósł kaganek i upuścił go prawie w tej chwili na ziemię, poczem zgiał się we dwoje i począł jęczeć:

— Nie jestem... nie jestem... nie ja... litości...

Glaukus zaś zwrócił się w stronę siedzących i rzekł:

— Oto jest człowiek, który zaprzedał i zgubił mnie i moją rodzinę.

Historia jego była znana i wszystkim chrześcijanom i Winiciuszowi, który dlatego tylko nie domyślił się, że lekarz był tym samym człowiekiem, którego tak się bał spotkać

Chilon, że mdlejąc ustawicznie z bólu przy opatrunku, nazwiska jego nie usłyszał.

— Litości! — jęczał Chilon — oddam wam.

— Panie! — zawołał, zwracając głowę do Winiciusza — ratuj mnie! tobien zaufał, wstaw się za mną... Twój list... odniosę. Panie! panie...

Lecz Winiciusz, który najobojętniej ze wszystkich patrzył na to, co zaszło, raz dlatego, że wiedział, iż Chilon zdolny był do każdego łotrostwa, a powtórę, że serce jego nie znało, co litość, rzekł:

— Zakopcie go w ogrodzie: list poniesie kto inny.

Chilonowi zdawało się, że słowa te są ostatecznym wyrokiem.

— Na waszego Boga! litości! — wołał — jestem chrześcijaninem! A jeśli mi nie wierzycie, ochrzczycie mnie jeszcze raz, jeszcze dwa, jeszcze dziesięć razy! Glauku, to pomyłka! pozwólcie mi mówić! uczynicie mnie niewolnikiem... Nie zabijajcie mnie! litości!...

I głos jego, dławiony strachem, słabł coraz bardziej, gdy wtem za stołem podniósł się Apostoł Piotr; przez moment chwiał swą białą głową i oczy miał zamknięte, ale następnie otworzył je i rzekł wśród ciszy:

— A oto powiedział nam Zbawiciel! „Jeśliby brat twój zgrzeszył przeciw tobie, stro-

fuj go; a jeśliby żałował, odpuść mu. A jeśliby siedmkroć na dzień zgrzeszył przeciw tobie i siedmkroć na dzień nawrócił się k'tobie, mówiąc: Żal ci mi! — odpuść mu.

Poczem zapadła cisza jeszcze większa.

Glaukus stał długi czas z twarzą zakrytą rekoma, wreszcie odjął je i rzekł:

— Chilonie, niech ci tak Bóg odpuści krzywdy moje, jak ja ci je w Imię Chrystusa odpuszczam.

A ten upadł na ziemię i wsparty na niej rekoma, spoglądał, skąd śmierć przyjdzie. Oczom i uszom jeszcze nie wierzył i nie śmiał spodziewać się przebaczenia.

Lecz zwolna wracała mu przytomność, tylko zsiniałe wargi trzęsły mu się jeszcze ze strachu. Tymczasem Apostoł rzekł:

— Odejdź w spokoju!

Chilon powstał, lecz nie mógł jeszcze przemówić, we wzroku jego widać było tylko zdumienie i niedowierzanie. Jakkolwiek zmiarkował już, że mu przebaczone, chciał jednak jak najprędzej uciec z pośród tych niepojętych ludzi, których dobroć przerażała go prawie równie, jak przerażałoby okrucieństwo. Więc, stanawszy przed Wniciuszem, zaczął mówić przerywanym głosem:

— Daj, panie, list, daj list!

I porwawszy tabliczkę, wypadł za drzwi.

W ogródku, gdy ogarnęła go ciemność, strach zjeżył mu znów włosy na głowie, był bowiem pewny, że Ursus wypadnie za nim i zabije go wśród nocy. Byłby uciekał ze wszystkich sił, ale nogi uginały się pod nim; po chwili uczyniły się zupełnie bezwładne, albowiem Ursus rzeczywiście stanął przy nim.

Chilon upadł twarzą na ziemię i począł jęczeć:

— Ursusie... w Imię Chrystusa...

Lecz ten rzekł:

— Nie obawiaj się, Apostoł kazał mi cię wyprowadzić za bramę, abys nie zbłądził w ciemności, a jeśli ci sił brak, to odprowadzę cię do domu.

Chilon podniósł twarz.

— Co mówisz? co? Nie zabijesz mnie?

— Nie! nie zabiję ciebie.

— Pomóż mi wstać — rzekł Chilon. — Nie zabijesz mnie, co? Wyprowadź mnie na ulicę, a dalej sam pójdę.

— Pokój z tobą — rzekł Ursus.

— I z tobą, i z tobą — odpowiedział Chilon.

I po odejściu Ursusa odetchnął pełną piersią. Po chwili ruszył szybko ku domowi.

Lecz uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rzekł:

— Czemu jednak oni mnie nie zabili?

I pomimo, że dawno już obcował z chrześcijanami, pomimo wszystkiego, co słyszał w Ostranium, nie umiał znaleźć na to pytanie odpowiedzi...

Winiciusz również nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co zaszło i na dnie duszy prawie nie mniej zdumiony był od Chilona. Bo że z nim samym ludzie ci obeszli się tak, jak się obeszli, myślał, że zrobili to trochę dlatego, że tak im nakazywała nauka, która wyznawali, bardziej dlatego, że wstawiała się za nim Ligia i że bali się robić krzywdy takiemu możnemu panu. Ale ich postąpienie z Chilonem przechodziło wprost jego pojęcia. I jemu też ciągle nasuwało się na myśl pytanie, dlaczego oni nie zabili Greka? Mogli przecież zrobić to bezkarnie. Ursus byłby go zakopał w ogrodzie, albo wyniósł noca do rzeki i nikt nie byłby się o niego zapytał. I jedną znajdował tylko na to pytanie odpowiedź. Oto oni nie zabijali przez jakąś dobroć, tak wielką, że podobnej nie było dotąd na świecie i przez miłość do ludzi bezgraniczną, która nakazywała zapominać o sobie, o swoich krzywdach, o swoim szczęściu i swej niedoli — i żyć dla innych. Jaka zapłatę mieli ci ludzie za to odebrać. Winiciusz słyszał w Ostranium, ale nie mieściło mu się to w głowie. I uderzyła go jeszcze jedna rzecz. Oto

po wyjściu Chilona jakaś głęboka radość rozjaśniła wszystkie twarze. Apostoł zbliżył się do Glauka i położywszy dłoń na jego głowie, rzekł:

— Chrystus w tobie zwyciężył!

Ów zaś wzniosł oczy ku górze, takie ufne i takie pełne wesela, jakby spadło na niego jakieś wielkie, a niespodziewane szczęście.

Po chwili Ligia zbliżyła się do Winiciusza i podała mu znów pić. A on spojrzał na nią pytającym wzrokiem i niepewnym głosem rzekł:

— To i ty mi przebaczyłaś, Ligio?

— My chrześcijanie. Nam nie wolno chować w sercu gniewu — odrzekła łagodnie i zwolna odeszła.

Winiciusza poczęło znów ogarniać silniejsze osłabienie. Noc już zrobiła się zupełna, a wraz z nią przyszła silniejsza gorączka. Wpadł w pół-sen niespokojny, z którego obudził się dopiero po kilku godzinach.

Po krótkiej chwili otrzeźwiał zupełnie i począł patrzeć przed siebie. Ognisko na wysokim trzonie żarzyło się już słabiej, ale rzucało jeszcze blask dość żywy, oni zaś siedzieli wszyscy przed ogniem, grzejąc się, ponieważ noc była dość chłodna, a izba dość zimna. W środku siedział Apostoł, u jego kolan Ligia, dalej Glaukus, Kryspus, wdowa, u której mieszkali i syn jej, młode pacholę o ślicznej twarzy i długich czarnych włosach.

Winiciusz począł nasłuchiwać, co Apostoł mówi, uszu jego doleciało znów Imię Chrystusa.

— Oni tem Imieniem tylko żyją! — pomyślał.

Starzec zaś opowiadał o pochwyceniu Pana Jezusa.

— Przyszła rota i słudzy kapłańscy, aby Go chwycili. Gdy Zbawiciel spytał ich, kogo szukają, odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego.“ Lecz gdy im rzekł: „Jam jest“ — padli na ziemię i nie śmieli na Niego podnieść ręki i aż dopiero po drugim pytaniu — chwycili Go.

Tu Apostoł przerwał i wyciągnawszy ręce do ognia, rzekł:

— Noc była chłodna, jak dziś, ale zawrzało we mnie serce, więc wydobyłem miecz, by Go bronić, i uciałem ucho słudze arcykapłana. I byłbym Go bronił więcej, niż żywota wiecznego, gdyby mi nie był rzekł: „Włóż twój miecz w pochwy. Żali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę?...“ Wówczas Go pojмали i związali...

To rzekłszy, przyłożył dłonie do czoła i umilkł. Lecz Ursus, nie mogąc wytrzymać, zerwał się, żelazem poprawił ogień na tronie, aż iskry sypnęły, poczem siadł i zawołał:

— A niechby się stało, co chciało, hej!...

Lecz nagle urwał, bo Ligia dała mu znak ręką, by nie przeszkadzał. Oddychał tylko głośno i znać było, że burzy się w duszy i że choć zawsze gotów całować stopy Apostoła, przecie tego jednego postępkę uznać w duszy nie może, bo gdyby, ot, przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był z Nim tej nocy, oj, poleciałyby wiory i z żołnierzy i ze sług kapłańskich... I aż oczy zasłyły mu łzami na samą myśl o tem, i z dusznej rozterki, bo z jednej strony pomyślał, że nie tylko samby bronił Zbawiciela, ale jeszcze skrzyknąłby Mu w pomoc Ligów, a z drugiej strony, że gdyby to uczynił, to okazałby nieposłuszeństwo Zbawicielowi i przeszkodził odkupieniu świata.

Po chwili Piotr począł opowiadać dalej, a Winiciusza ogarnął znów sen gorączkowy...

Gdy obudził się znowu, izba była już pusta, ujrzał tylko Ligię, która siedziała niedaleko jego łóża. Oczy miała zamknięte, nie można było wiedzieć, czy śpi, czy zatopiona jest w myślach, widać było tylko, że zmęczona musi być bardzo.

Winiciusza ogarnęła ogromna wdzięczność i żal, a myśl biedziła się, jakby jej tę wdzięczność okazać. Ona tymczasem otworzyła oczy i podeszła ku niemu.

Chwilę trwało milczenie, a potem on rzekł:

— Ligio! jam cię poprzednio nie znał i chciałem dojść do ciebie złą drogą. Ale teraz powiadam ci: wróć do Pomponii i bądź pewna, że nikt na ciebie ręki nie podniesie.

A jej twarz posmutniała nagle.

— Byłabym szczęśliwa — odrzekła — gdybym ją, choć z daleka widzieć mogła, ale wrócić do niej nie mogę.

— Dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Winiciusz.

— My, chrześcijanie, wiemy przez Akte, co się dzieje w pałacu cezara. Czyś ty nie słyszał, że Neron, wkrótce po mojej ucieczce, wezwał Aulusa i Pomponię — i myśląc, że mi pomogli, groził im swym gniewem? Szczęściem, Aulus mógł mu odrzec: „Wiesz, panie, że nigdy kłamstwo nie przeszło mi przez usta; otóż przysięgam ci, żeśmy jej nie pomagali do ucieczki i że, równie jak ty, nie wiemy, co się z nią stało.“ I Cezar uwierzył, a potem zapomniał — ja zaś z porady starszych, nigdy nie pisałam do matki, gdzie jestem, by zawsze śmiało mogła zaprzysiądź, że nic o mnie nie wie. Ty może tego nie rozumiesz, Winiciuszu, ale nam kłamać nie wolno, nawet gdyby o życie chodziło. Taka jest nasza nauka i do niej chcemy stosować uczynki nasze, więc nie widziałam Pomponii od czasu,

gdym opuściła jej dom, ja zaś zaledwie czasem dochodziły wieści, że żyje i żem bezpieczna.

Tu porwała ją tęsknota, bo oczy jej zasły łzami, lecz wkrótce uspokoiła się i rzekła:

— Wiem, że i Pomponia tęskni za mną, my jednak mamy swoje pociechy, których nie mają inni.

— Tak — rzekł Winiciusz — waszą pociechą Chrystus, ale ja tego nie rozumiem.

— Patrz na nas — rzekła znów Ligia — niema dla nas rozłączeń, niema boleści i cierpień, a jeśli przyjdą, to zmieniają się w radość. I śmierć sama, która dla was jest końcem życia, dla nas jest tylko jego początkiem i zmianą gorszego szczęścia na lepsze, mniej spokojnego na spokojniejsze i wieczyste. Zważ, jaką musi być nauka, która nakazuje nam miłosierdzie nawet względem nieprzyjaciół, broni kłamstwa, oczyszcza dusze nasze od złości i obiecuje po śmierci szczęście nieprzebrane.

— Słyszałem to w Ostranium i widziałem, jak postąpiliście ze mną i z Chilonem, a gdy o tem myślę, dotychczas zdaje mi się, że to sen i że ni uszom, ni oczom nie powinienem wierzyć. Lecz ty mi odpowiedz na inne pytanie: Jest-żeś szczęśliwą?

— Tak! — odrzekła Ligia. — Wyznając Chrystusa, nie mogę być nieszczęśliwą.

Winiciusz spojrział na nią, jakby to, co mówiła, przechodziło całkiem to, co on zrozumieć może.

— I nie chciałybyś wrócić do Pomponii?

— Chciałabym z całej duszy i wróć, jeśli taka będzie wola Boga.

— Więc ci mówię: wróć, a ja ci przysięgnę, że nie podniosę na ciebie ręki.

Ligia zamyśliła się przez chwilę, poczem odrzekła:

— Nie. Nie mogę blizkich moich podać na niebezpieczeństwo. Cezar nie lubi rodu Aulusów. Gdybym wróciła i Neron dowiedziałby się o tem przez swoich niewolników, wówczas skarałby Aulusów, albo odebrałby mnie im znowu.

— Tak — rzekł, marszcząc brwi, Winiciusz — toby być mogło. Zrobiłby to, choćby dlatego, żeby okazać, że jego woli musi się stać zadosyć. Prawda jest, że on tylko zapomniał o tobie, albo nie chciał myśleć, bo to nie jemu, ale mnie stała się krzywda. Lecz może... zabrawszy cię Aulusom... oddałby mnie... a ja oddałbym cię Pomponii.

Lecz ona zapytała ze smutkiem:

— Winiciuszu, czy chciałybyś mnie widzieć znów w pałacu Cezara?

On zaś zacisnął zęby i rzekł:

— Nie. Masz słuszość. Mówiłem jak głupiec! Nie!...

I nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść bez dna. Był człowiekiem wielkiego znaczenia w Rzymie, panem potężnym, ale nad wszystkimi potęgami świata, do którego należał, stał szaleniec Neron, którego ni woli, ni złości niepodobna było przewidzieć. Nie zważać na niego, nie bać się go mogli chyba tylko tacy ludzie, jak chrześcijanie, dla których cały ten świat, jego rozłąki, cierpienia i śmierć sama były niczem. Wszyscy inni musieli drżeć przed nim. I teraz oto nie mógł oddać Ligii Aulusom, z obawy, by okrutnik nie przypomniał sobie jej i nie zwrócił na nią swojego gniewu. Nie mógł też wziąć jej za żonę, bo naraziłby życie swoje i Ligii i Aulusów. Winiciusz pierwszy raz w życiu poczuł, że albo wszystko na świecie musi się zmienić, albo życie zrobi się zupełnie niemożliwem. Zrozumiał również, że w takich czasach jedni tylko chrześcijanie mogli być szczęśliwi. Lecz przedewszystkiem chwycił go żal, bo zrozumiał też, że to on tego złego narobił, on tak poplątał życie i siebie i Aulusom i Ligii, że teraz z tej plątaniny prawie wyjść nie można było...

*

*

*

Winiciusz zwolna wracał do zdrowia, przynajmniej o tyle, że nie miewał gorączki i nie

tracił przytomności. Dobrze mu było między tymi ludźmi, a dobrze szczególnie dlatego, że między nimi była Ligia. A ona pielęgnowała nie tylko jego ciało, ale i duszę. Myślała, że Bóg umyślnie tak zrządził, że Winiciusz wśród chrześcijan się znalazł, żeby poznał tę świętą naukę, pokochał ją i sam wyznawać począł. I zdawało jej się chwilami, że Bóg wysłuchuje jej serdeczne prośby, że dzikie i pogańskie serce Winiciusza zaczyna łagodnieć i tajeć pod zbawiennym wpływem. Ale przychodziły inne chwile, w których widziała jasno, że jeśli się zmienił, to tylko dla niej, a poza tem jednym uczuciem pozostało mu w piersi jego samolubne, wilcze serce, niezdolne odczuć nie tylko słodkiej chrześcijańskiej nauki — ale nawet wdzięczności.

I odchodziła wtedy pełna wewnętrznej troski i niepokoju, rzadziej pokazywała się we wspólnej izbie i rzadziej zbliżała się do jego łóżka. On, widząc to, zaczynał się bać, żeby Ligii czem nie zrazić i stawał się cierpliwszy, jakby sobie cierpliwość poprzysiągł. Gdy zaświeciły mu czasem oczy zniecierpliwieniem, dumą i pogardą, to znać było, że wszystkich sił używa, żeby się pohamować.

A Ligia rozumiała, ile go muszą kosztować takie nad sobą samym zwycięstwa i niebawem spostrzegła z przestrachem, że ten

walczący ze swoją dziką naturą poganin staje się jej coraz droższym. Jej się wydawało, że sama myśl o jakiegokolwiek innej miłości, niż miłość do Chrystusa, jest grzechem przeciwko Niemu i przeciw nauce, gdy więc spostrzegła, że na dnie jej duszy może się zbudzić takie ziemskie kochanie i to dla poganina, dla towarzysza neronowych zabaw i okrucieństw, chwyciła ją trwoga przed własną przyszłością i własnem sercem. Zrozumiała, że musi się bronić od tego uczucia, że pozostawać dłużej pod jednym dachem z Winiciuszem nie może.

Noc całą po owem postanowieniu spędziła bezsennie, we łzach i na modlitwie. Nazajutrz wyszła wcześniej i wywoławszy Kryspa do ogródka, powiedziała mu wszystko, błagając zarazem, żeby pozwolił jej porzucić dom wdowy, bo nie może w sercu przemódz miłości dla Winiciusza.

Kryspus, który był człowiekiem starym i surowym, zgodził się na zamiar opuszczenia domu wdowy, ale nie znalazł słów przebaczenia dla grzesznej, wedle jego rozumienia, miłości. Serce wezbrało mu oburzeniem, że owa Ligia, którą opiekował się od chwili jej ucieczki i którą utwierdził w wierze, mogła w duszy znaleźć miejsce na inną miłość, niż niebieską. Wierzył dotąd, że nigdzie w całym świecie nie było czystsze serce na chwałę

Chrystusa, więc doznany zawód nappełnił go zdumieniem i goryczą.

— Idź i błagaj Boga, by ci przebaczył winy — rzekł jej posępnie. — Uciekaj, póki zły duch, który cię oplatał, nie przywiedzie cię do zupełnego upadku i póki nie zaprzesz się Zbawiciela...

I nagle przestał mówić, albowiem spostrzegł, że nie byli sami. Przez liście krzewów dojrzał dwóch ludzi, z których jednym był Piotr Apostoł. Oni, usłyszawszy ostry głos Kryspa, zbliżyli się i siedli na kamiennej ławce. Towarzysz Piotra odsonił wówczas swą natchnioną twarz, w której Kryspus poznał Apostoła Pawła z Tarsu.

Ligia jednak, rzuciwszy się na kolana, objęła ramionami, jakby z rozpaczą, nogi Piotra i przytuliwszy swą znękaną główkę do fałd jego płaszcza, pozostała tak w milczeniu.

A Piotr rzekł:

— Pokój duszom waszym!

I widząc dziecko u swych nóg, zapytał co się stało? Wówczas Kryspus począł opowiadać wszystko, co mu wyznała Ligia, jej grzeszną miłość, jej chęć ucieczki i swój żal, że dusza, którą chciał ofiarować Chrystusowi czystą jak lza, zbrudziła się ziemskim uczuciem.

Ligia w czasie jego słów obejmowała coraz silniej nogi Apostoła, jakby chcąc przy



Ligia jednak, rzuciwszy się na kolana, objęła ramionami, jakby z rozpaczą, nogi Piotra i przytuliwszy swą znękaną główkę do fałd jego płaszcza, pozostała tak w milczeniu...

nich szukać ucieczki i wyżebrać choć trochę litości.

Apostoł zaś, wysłuchawszy do końca, położył swą zgrzybiałą rękę na jej głowie, poczem podniósł oczy na starego kapłana i rzekł:

— Kryspie, żaliś nie słyszał, że Mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłość między mężem a niewiastą?

Kryspowi ręce opadły i spojrzał ze zdumieniem na mówiącego, nie mogąc słowa przemówić.

A ów, pomilczawszy chwilę, spytał znowu:

— Kryspie, żali myślisz, że Chrystus, który dozwalał Maryi z Magdali leżeć u nóg Swoich i który przebaczył jawnogrzesznicy, odwróciłby się od tego dziecka, czystego jak lilie polne?

Ligia ze łkaniem przytuliła się jeszcze silniej do nóg Piotrowych, zrozumiałwszy, że nie próżno szukała u niego litości. Apostoł, podniósłszy jej łzami zalaną twarz, mówił do niej:

— Póki oczy tego, którego miłujesz, nie otworzą się na światło prawdy, póty go unikaj, aby nie przywiódł cię do grzechu, lecz módl się za niego i wiedz, że nie masz winy w miłości twojej. A iż chcesz się chronić pokusy, przeto ta zasługa policzona ci będzie. Nie martw się i nie płacz, albowiem powia-

dam ci, że łaska Zbawiciela nie opuściła cię i że modlitwy twoje zostaną wysłuchane, po smutkach zaś poczną się dni wesela.

To rzekłszy, położył obie dłonie na jej włosach i wzniosłszy w górę oczy, błogosławił jej. Z twarzy świeciła mu nadziemską dobroć.

A Kryspus począł się z pokorą usprawiedliwiać:

— Zgrzeszyłem przeciw miłosierdziu Bożemu — rzekł — alem myślał, że dopuszczając do serca miłość ziemską, zaparła się Chrystusa.

Piotr zaś odpowiedział:

— Po trzykroć się Go zaparłem, a jednak mi przebaczył i kazał paść baranki Swoje.

— I dlatego — kończył Kryspus — że Winiciusz jest poganinem, towarzyszem Nerona.

— Chrystus kruszył twardsze jeszcze serca — odrzekł Piotr.

Apostoł Paweł, który milczał dotąd, położył rękę do swej piersi i wskazując na siebie, rzekł:

— A jam jest, którym prześladował i porywał na śmierć sługi Chrystusa, a jednak przebaczył mi Pan i kazał naukę Swoją po wszystkiej opowiadać ziemi. Więc teraz, kiedy wezwał mnie Piotr, wejść do domu tego, aby otworzyć oczy tego nieszczęśliwego na światło

wiary i ugiąć tę dumną głowę poganina do nóg Chrystusowych.

I powstał. Kryspowi zaś ten mały zgarbiony człowiek wydał się tem, czem był, to jest olbrzymem, w którego mocy jest miliony serc, a nie jedno zdobyć dla Chrystusa.

VII.

Podczas choroby Winiciusza Neron z całym swoim dworem, a zatem i z Petroniuszem, wyjechał z Rzymu do innego miasta swojego państwa. Winiciusz więc, wróciwszy do domu po wyzdrowieniu, znalazł się zupełnie sam ze swoim smutkiem i tęsknotą. Petroniusz listami starał się go namówić, żeby także z Rzymu wyjechał i za dworem Cezara podążył, albo, będąc o Winiciusza niespokojnym, chciał mieć wiadomości o nim i Ligii. Ale Winiciusz wyjechać nie chciał, a o sobie i o Ligii nie dobrego donieść nie mógł.

„Wiesz już — pisał do Petroniusza — że ona odeszła tajemnie. Ale odchodząc, zostawiła mi krzyż, który sama powiązała z gałązek bukszpanu. Zbudziwszy się, znalazłem go przy łóżku. Mam go teraz w mojej komnacie i sam nie wiem dlaczego, patrzę na niego tak, jakby w nim było coś Boskiego, to jest — ze czcią.

„Szczerze ci mówię, że nic przeciwniejszego mojej naturze, jak ta nauka, a jednak od czasu, jakem się z nią zetknął, nie mogę się poznać; coś zmieniło się we mnie. To jest nauka, o jakiej dotąd świat nie słyszał i ludzie, jakich dotąd świat nie widział. Gdybym leżał ze złamaną ręką we własnym domu i gdyby mnie doglądali ludzie moi, a nawet moja rodzina, miałbym zapewne większe wygody, ale nie doznałbym w polowie takiej troskliwości i serca, jakiego doznałem między nimi. Wiedz-że o tem, że i Ligia jest taką jak inni. Gdyby była moją siostrą, albo moją małżonką, nie mogłaby mnie pielęgnować troskliwiej.

„A jednak ta sama Ligia opuściła potajemnie dom, w którym byłem. Całymi dniami teraz myślę nad tem, czemu ona to uczyniła? Na dzień przedtem poznałem dziwnego człowieka, Pawła z Tarsu, który rozmawiał ze mną o Chrystusie i Jego nauce. Ten sam człowiek odwiedzał mnie i po ucieczce Ligii i rzekł mi: „Gdy Bóg otworzy oczy twoje na światło wiary, wtedy odczujesz, że postąpiła dobrze — i wtedy może ją odnajdziesz.“ I oto łamię głowę nad temi słowy i czasem zdaje mi się, że już coś rozumiem. Oni, kochając ludzi, są nieprzyjaciołmi naszego życia, naszych pogańskich bogów i . . . naszych

zbrodni; więc ona uciekła ode mnie, jako od człowieka, który do tego świata należy i z którym musiałaby podzielić życie, uważane przez chrześcijan za występne.

„Ja przecież nie broniłbym jej wyznawać Chrystusa — a nawet nie trudno byłoby mi w niego uwierzyć, bo wiem z wszelką pewnością, że chrześcijanie nigdy nie kłamią, a oni mówią, że zmartwychwstał. Człowiek przecie zmartwychwstać-by nie mógł, więc był Bogiem. Ale zdaje się, że to wszystko dla chrześcijan jeszcze za mało. Nie dość uczyć Chrystusa, trzeba i żyć wedle Jego nauki. I tego właśnie ja nie mogę. A oni rozumieją to, że — nie mogę! Rozumie i Paweł z Tarsu i Apostoł Piotr, który był uczniem Chrystusa. I wiesz, co czynią? oto modlą się za mnie i proszą dla mnie o coś, co nazywają łaską.

„Gdym od nich wrócił do domu, nikt się mnie nie spodziewał. Myślano, że wyjechałem i że nie prędko wrócę, więc w domu zastałem nieład, pijanych niewolników i ucztę, którą sobie wyprawiali w moich komnatach. Śmierci prędej spodziewali się, niż mnie. Ty wiesz, jaki surowy byłem zawsze z moimi domownikami, wszystko więc co żyło, rzuciło się na kolana, a niektórzy pomdleli ze strachu. A ja wiesz jak postąpiłem? Oto w pierwszej chwili chciałem wołać o różgi i rozpalone żelazo,

ale zaraz potem chwycił mnie jakiś wstyd i jakiś żal tych nędzników; są przecież między nimi i starzy niewolnicy, których dziad mój jeszcze przyprowadził z dalekich wojen. Zamknąłem się sam w moim pokoju i tam jeszcze dziwniejsze myśli przyszły mi do głowy. Oto, że po tem, co słyszałem i widziałem między chrześcijanami, nie godzi mi się postępować z niewolnikami tak, jak postępowałem dotąd, i że to są także ludzie. Oni przez kilka dni chodzili w trwodze śmiertelnej, myśląc, że zwłóczę dlatego, by tem okrutniejszą karę wymyślić, a ja — nie karałem i nie ukarałem — bo nie mogłem! Zwoławszy ich trzeciego dnia, rzekłem: przebaczam wam, wy zaś pilną służbą starajcie się winy naprawić! Na to padli na kolana, zalewając się łzami z radości, nazywając mnie panem i ojcem, — ja zaś, ze wstydem ci to mówię, czułem, że i mnie także zwilgotniały oczy. Tak, zmieniono mi jednak duszę.“

I tak Winiciusz pędził długie dni i tygodnie zamknięty w swym domu z myślą o tych wszystkich nowych rzeczach, które zajmowały mu duszę i wносиły do niej obce dotąd pojęcia i uczucia. Widywał tylko od czasu do czasu Glauka — lekarza, który opowiadał mu o chrześcijanach, a o Ligii, choć nie

mówił, gdzie się ukrywa, zapewniał jednak, że starsi otoczyli ją troskliwą opieką.

Wreszcie wrócił Cezar, a z nim Petroniusz i dwór cały. Rzym napełnił się znowu ludźmi, weselem, zabawami. Winiciusz, jako dworzannin Nerona, musiał do nich należeć. Prócz rozkazów Cezara, ciągnął go do nich i Petroniusz, myśląc, że to hulaszczę życie rozproszy smutek i niepokój duszy Winiciusza. Ale nie pomogło i to, a natomiast zaczęła powstawać w nim coraz silniejsza, wreszcie nieprzeparta chęć odszukania znów i zobaczenia Ligii.

Tymczasem zdarzyła się, okoliczność, która usunęła wszystkie w tym względzie trudności. Oto, niespodziewanie, przyszedł do niego Chilon.

Przyszedł nędzny i obdarty, z oznakami głodu w twarzy i w podartym łachmanie, służba jednak, która miała dawniej rozkaz puszczania go o każdej godzinie dnia i nocy, nie śmiała go wstrzymywać, tak, że wszedł prosto do komnaty Winiciusza.

Ten w pierwszej chwili miał ochotę kazać wyrzucić go za drzwi. Lecz przyszła mu myśl, że Grek może wie coś o Ligii i ciekawość przemogła obrzydzenie.

— To ty? — spytał. — Po coś przyszedł i co przynosisz?

— W celu pomocy, panie, a przynoszę ci moją nędzę, moje łzy i wreszcie wiadomości, które dla ciebie zebrałem. Wiem, gdzie mieszka Ligia, pokażę ci, panie, dom i zaułek.

Winiciusz stłumił radość, jaką przejęła go ta wiadomość i rzekł:

— Gdzie ona jest?

— U Linusa, starego kapłana chrześcijan. Ona tam jest wraz z Ursusem, a ten po dawnemu chodzi do młynarza. Ursus pracuje nocami, więc otoczywszy dom w nocy, nie znajdzie się go... Linus jest stary... a w domu prócz niego są tylko dwie starsze niewiasty. Dom stoi osobno. Możesz go kazać otoczyć niewolnikom tak, że i mysz się nie wyśliźnie. O, panie! od ciebie zależy tylko, by jeszcze dziś ta królewna znalazła się w domu twoim. Ale jeśli się to stanie, pomyśl, że przyczynił się do tego biedny i zgłodniały człowiek.

Winiciuszowi krew napłynęła do głowy. Pokusa raz jeszcze wstrząsnęła nim całym. Tak, dosyć mu było tej tęsknoty i niepokojów i rozmyślań! A teraz wystarczy wziąć kilku niewolników, pójść i zabrać Ligię i mieć ją, nie zważając na chrześcijan i całą ich naukę. Lecz nagle przyszło mu do głowy, że przysiągł Ligii, jako ręki na nią nie podniesie. Potem przypomniał sobie ów dzień, kiedy

wpadli z Krotonem do jej mieszkania, i pięść Ursusa wzniesiona nad jego głowę i wszystko, co potem zaszło. Ujrzał Ligię i Kryspa i Glauka, schylonych nad jego łóżem, opatrujących go i pielęgnujących.

Oczy jego mimowoli przeniosły się na krzyżyk z bukszpanu, zawieszony na ścianie i — zaszyły łzami. Wiedział już, jak miał postąpić. Żali im za to wszystko odpłaci nowym zamachem? żali będzie Ligię, jak niewolnicę, za włosy ciągnął do domu swojego?

Zgroza przejęła go teraz na samą myśl o tem. Spojrzał na Chilona i przejęło go niewypowiedziane obrzydzenie do tego podłego, dawnego swego pomocnika i chęć zdeptania go, ukarania i za dawne krzywdy wyrządzone Glaukowi i za to nowe szpiegowanie chrześcijan. Lecz nie znając w niczem miary, a idąc za popędem swojej srogiej natury, zwrócił się do Chilona i rzekł:

— Nie zrobię tego, co mi radzisz. Abyś jednak nie odszedł bez nagrody, na jaką zasługujesz, każe ci dać trzysta różeg.

Chilon zbładł. Rzucił się w jednej chwili na kolana i począł jęczeć przerywanym głosem:

— Jakto, panie, za co? za co? Jam stary, głodny, nędzny... służyłem ci... także się odwdzięczasz?

— Jak ty odwdzięczyłeś się chrześcijanom — odpowiedział Winiciusz.

I zawołał niewolnika.

Lecz Chilon skoczył do jego nóg i objawszy je rękoma, wołał jeszcze, z twarzą pokrytą śmiertelną bladością:

— Panie, panie! jam stary! pięćdziesiąt, nie trzysta! sto, nie trzysta!... Litości! litości.

Winiciusz odtrącił go i wydał rozkaz.

W mgnieniu oka dwóch silnych niewolników porwało Chilona.

— W Imię Chrystusa!... — zawołał Grek jeszcze we drzwiach.

Winiciusz został sam. W pierwszej chwili nie przyszło mu nawet na myśl, jak ciężkiej niesprawiedliwości dopuścił się względem Chilona i że karał go teraz za to samo, za co pierwiej nagradzał. Czuł tylko radość w duszy, że odniósł nad sobą zwycięstwo, że nie uległ namowom Greka i nie podniósł ręki na Ligię. Tu jednak zastanowił się, czy Ligia pochwaliłaby jego postępek z Chilonem? Wszakże nauka, którą ona wyznaje, każe przebaczać, wszak Glaukus przebaczył Chilonowi, choć większe miał do zemsty powody.

Wtedy dopiero odezwał mu się w duszy z całą siłą okrzyk Chilona: „w Imię Chrystusa“, poznał, że źle postąpił i postanowił

darować mu resztę kary. Zawołał na niewolnika i rozkazał, by Greka natychmiast przed nim stawili.

Chilon blady był jak płótno, był jednak przytomny i padłszy na kolana, począł mówić:

— Dzięki ci, panie. Jesteś miłosierny i wielki.

— Psie! — rzekł Winiciusz — wiedź, żem ci przebaczył dla Chrystusa, a teraz słuchaj dalej. Wstań! Pójdiesz ze mną i pokażesz mi dom, w którym mieszka Ligia.

Chilon zerwał się, lecz zaledwie stanął na nogach, pobladł jeszcze śmiertelniej i rzekł mdlejącym głosem:

— Panie, jam naprawdę głodny... pójdę, panie, pójdę! ale nie mam sił.

Winiciusz kazał mu dać jeść, sztukę złota i płaszcz.

Po pewnym czasie wróciły mu siły i wyszli. Droga była długa. Linus bowiem mieszkał, jak większa część chrześcijan, na Zatybrzu, niedaleko od domku wdowy, w którym chorował Winiciusz. Chilon wskazał wreszcie na osobny mały domek, otoczony murem, i rzekł:

— To tu, panie.

— Dobrze — rzekł Winiciusz — idź teraz precz, ale pierwszej posłuchaj, co ci powiem: zapomnij, żeś mi służył, zapomnij, gdzie

mieszka wdowa, Piotr i Glaukus; zapomnij również o tym domu i wszystkich chrześcijanach. Przyjdiesz każdego miesiąca do mojego domu, gdzie będą ci wypłacać po dwie sztuki złota. Lecz gdybyś dalej szpiegował chrześcijan, każe cię zaćwiczyć różgami, albo oddam w ręce policyi.

Chilon skłonił się i rzekł:

— Zapomnę.

Lecz gdy Winiciusz znikł na zakręcie uliczki, wyciągnął za nim ręce i grożąc pięściami, zawołał:

— Na wszystkich bogów rzymskich przysięgam, nie zapomnę ci tego, nie zapomnę!...

Winiciusz udał się wprost do domu, w którym zamieszkiwała wdowa. Przed bramą spotkał syna jej; ten zmieszał się na jego widok, ale on pozdrowił go uprzejmie i kazał się prowadzić do mieszkania matki.

W mieszkaniu, prócz wdowy, zastał Piotra, Glauka i Kryspa, a także Pawła z Tarsu. Na widok młodego żołnierza zdziwienie odbiło się na wszystkich twarzach. On zaś rzekł:

— Pozdrawiam was w Imię Chrystusa, którego czcicie.

— Niech Imię Jego będzie wysławiane na wieki.

— Widziałem waszą cnotę i doświadczałem dobroci, więc przychodzę jako przyjaciel.

— I pozdrawiamy cię jako przyjaciela — odpowiedział Piotr. — Siadź, panie i podziel z nami posiłek, jako gość nasz.

— Siadę i podzielę z wami posiłek, jeno pierwszej wysłuchajcie mnie, ty Piotrze i ty Pawle z Tarsu, byście poznali szczerłość moją. Wiem, gdzie jest Ligia; wracam z przed domu Linusa, który jest blisko tego mieszkania. Mam prawo do niej dane mi przez Cezara, mam w mieście, w domach moich blisko pięćset niewolników; mógłbym otoczyć jej schronienie i pochwycić ją, a jednak nie uczyniłem tego i nie uczynię.

— Przeto błogosławieństwo Pana będzie nad tobą — rzekł Piotr.

— Dziękuję ci, ale posłuchajcie mnie jeszcze; nie uczyniłem tego, choć żyję w męce i tęsknocie. Przedtem, nim byłem z wami, byłbym z pewnością wziął ją i zatrzymał przemocą, ale wasza cnota i wasza nauka, chociaż ich nie wyznawam, zmieniła coś i w mojej duszy, tak, że nie ważę się już na przemoc. Sam nie wiem, dlaczego się tak stało, ale tak jest! przeto przychodzę do was, bo wy zastępujecie Ligii ojca i matkę, i mówię wam: dajcie mi ją za żonę, a ja przysięgnę wam, że nietylko jej nie wzbronię wyznawać Chrystusa, ale i sam pocznę się uczyć Jego nauki.

— Mówił z podniesioną głową, głosem stanowczym, a gdy spostrzegł, że po słowach jego nastąpiło milczenie, począł mówić dalej:

— Wiem, jakie są przeszkody, ale powiadam wam, chociaż nie jestem jeszcze chrześcijaninem, nie jestem nieprzyjacielem ni waszym, ni Chrystusa. Chcę przed wami być w prawdzie, abyście mogli mi ufać. Inny powiedziałby wam może: ochrzczycie mnie: — ja mówię: nauczcie mnie! Wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, bo to prawią ludzie, prawdą żyjący, którzy Go widzieli po śmierci. Wierzę, bom sam widział, że wasza nauka płodzi cnotę, sprawiedliwość i miłosierdzie, a nie zbrodnie, o które was posadzają. Nie wiele jej dotąd poznał. Tyle, co od was, z waszych uczynków, tyle, co od Ligii, tyle, co z rozmów z wami. A przecie, powtarzam wam, że i we mnie coś się już przez nią zmieniło. Trzymałem dawniej żelazną ręką sługi moje, teraz — nie mogę. Nie znałem litości — teraz ją znam. Wiedźcie, że sam siebie nie poznaję, ale zbrzydły mi uczy, zbrzydło wino, śpiewanie i wieńce, zbrzydł dwór Cezara i wszystkie zbrodnie. A gdy myślę, że Ligia jest jako śnieg w górach, to miłuję ją tembardziej; a gdy pomyślę, że jest taka przez waszą naukę, to miłuję i tę naukę — i chcę jej! Ale że jej nie rozu-

miem, że nie wiem, czy w niej żyć potrafię i czy zniesie ją natura moja, przeto żyję w niepewności i męce, jakobym żył w ciemnicy.

Tu brwi na czole zbiegły mu się i rumieniec wystąpił na twarz, poczem znów mówić począł:

— Widzicie! i męczę się od tego mroku. Mówili mi, że waszej nauce nie ostoi się ni życie, ni radość ludzka, ni prawo, ni szczęście. Mówili mi, żeście ludzie szaleni, — powiedzcie, co przynosicie? Czy grzech miłować? Czy grzech czcić radość? Czy grzech chcieć szczęścia? Czy wyście nieprzyjaciołmi ludzi? Czy trzeba chrześcijaninowi być nędzarzem? Czy miałbym się wyrzec Ligii? Jaka jest wasza prawda? Powiedzcie, co przynosicie? Jeśli za drzwiami waszemi jest jasność, to mi otwórzcie.

— Przynosim miłość — rzekł Piotr.

I serce starego Apostoła wzruszyło się tą duszą w męce, więc wyciągnął ku Winiciuszowi ręce i rzekł:

— Kto puka, będzie mu otworzono i łaska Pana jest nad tobą, przeto błogosławię tobie i twojej duszy i twojej miłości, w Imię Zbawiciela świata.

Winiciusz, który i tak mówił w uniesieniu, usłyszawszy błogosławieństwo, skoczył ku Pio-

trowi, chwycił ręce starego rybaka i począł je z wdzięczności do ust przyciskać.

A Piotr ucieszył się, albowiem zrozumiał, że siejba znów padła na jedną więcej rolę i że jego sieć rybacza ogarnęła jedną więcej duszę.

Obecni zaś, ucieszeni także tym jawnym dowodem czci dla Bożego Apostoła, zawołali jednym głosem:

— Chwała na wysokościach Panu!

Winiciusz powstał z rozjaśnioną twarzą i począł mówić:

— Widzę, że szczęście może między wami mieszkać, bo czuję się szczęśliwym i myślę, że tak samo w innych mnie przekonacie rzeczach. Ale to wam jeszcze powiem, że nie stanie się to w Rzymie; Cezar jedzie do Antium, a ja z nim muszę, gdyż mam rozkaz. Wiecie, że nie posłuchać, to śmierć. Ale, jeśli znalazł łaskę w oczach waszych, jedźcie ze mną, abyście mnie nauczylili prawdy waszej. Bezpieczniej wam tam będzie, niż mnie samemu, w tym wielkim natłoku ludzi — będziecie mogli opowiadać waszą prawdę na samym dworze Cezara. Mówił mi Glaucus, że wy dla jednej duszy gotowiście na krańce świata wędrować, więc uczynicie to dla mnie i nie opuszczajcie duszy mojej.

Oni, usłyszawszy to, poczęli się naradzać. Gotowi byli istotnie dla jednej duszy wędro-

wać na krańce świata i od śmierci Mistrza nie przecie innego nie czynili, więc odpowiedź odmowna nie przeszła im nawet przez myśl. Piotr odjechać teraz nie mógł, natomiast Paweł z Tarsu obiecał towarzyszyć młodemu żołnierzowi.

Winiciusz podziękował z wdzięcznością, a potem zwrócił się do starego Apostoła z ostatnią prośbą:

— Wiedząc mieszkanie Ligii — rzekł — mógłbym sam pójść do niej i spytać, jako jest rzecz słuszna, czyli zechce mnie za męża, jeśli dusza moja stanie się chrześcijańską, ale wolę cię prosić, Apostole; pozwól mi ją widzieć, albo wprowadź mnie sam do niej. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi zabawić w Antium, a pamiętajcie, że przy Cezarze nikt nie jest pewny swego jutra. Niechże ją ujrzę przedtem, niech ją rozpytam, czy mi złe zapomni i czy dobre ze mną podzieli.

A Piotr Apostoł uśmiechnął się dobrowolnie i rzekł:

— A któżby ci słusznej radości miał odmawiać, synu mój.

Winiciusz znów pochylił się do jego rąk, albowiem całkiem już nie mógł wezbranego radością serca pohamować, Apostoł zaś wziął go za głowę i rzekł:

— Ale ty się Cezara nie bój, bo to ci powiadam, że włos nie spadnie ci z głowy.

Poczem posłał wdowę po Ligię, przykazując, by nie mówiła jej, kogo między nimi znajdzie, aby i dziewczynie tem większą radość sprawić.

Było niedaleko, więc po krótkim czasie Ligia wbiegła, nie spodziewając się niczego i na widok Winiciusza stanęła jak wryta. Twarz jej zaczerwieniła się i wraz pobladła bardzo, poczem ją spoglądać zdziwionemi, a zarazem przełękłemi oczyma po obecnych.

Lecz naokół widziała jasne, pełne dobroci spojrzenia, Apostoł zaś Piotr zbliżył się do niej i rzekł:

— Ligio miłujesz-że ty go zawsze?

Nastąpiła chwila milczenia. Usta poczęły jej drgać, jak u dziecka, które czując, że zawiniło, widzi jednak, że trzeba przyznać się do winy.

— Odpowiedz — rzekł Apostoł.

Wówczas z pokorą i lękiem wyszeptwała, obsuwając się do kolan Piotra:

— Tak jest...

Lecz Winiciusz w jednej chwili klęknął przy niej, Piotr zaś położył ręce na ich głowach i rzekł:

— Miłujcie się w Panu i na chwałę Jego, albowiem niemasz grzechu w miłości waszej.

VIII.

W kilka dni potem, Winiciusz z Pawłem z Tarsu i całym dworem Cezara był już w Antium.

Cezar bawił się, grał, śpiewał, a przede-wszystkiem wiersze pisał. Zajęty był właśnie pisaniem opowiadania o pożarze jednego z daw-nych miast, pracował, kreślił, przerabiał, ale widział sam, że dobrze nie jest. Wiersze swoje czytywał zawsze w kółku najbliższych przyja-ciół, którzy obsypywali go pochwałami i po-chlebstwy bez granic. Jeden tylko Petroniusz miał śmiałość czasem powiedzieć mu prawdę, bo umiał ją ubrać tak pięknymi słowy, że Neron zamiast go za to śmiercią ukarać, dzie-kował jeszcze.

Raz, w tydzień mniej więcej po przy-jeździe do Antium, czytał Cezar głośno roz-dział ze swojego opowiadania. Gdy skoń-czył, podniosły się okrzyki zachwytu, ale Neron spoglądał tylko na Petroniusza z za-pytaniem, co on powie, bo jego zdanie je-dynie sobie cenił.

— Niedobre wiersze, warte rzucenia w o-gień — rzekł po namyśle Petroniusz.

Obecnym serca przestały bić w piersiach z przerażenia, Neron bowiem nigdy w życiu takiej nagany nie słyszał. Winiciusz poblądł, myśląc, że Petroniusz, który nie upijał się

nigdy, tym razem mówił po pijanemu i że śmierć go nie minie.

A Neron począł pytać słodkim głosem, ale w którym drgała tajona złość:

— Co widzisz w nich niedobrego?

— Pytasz, co niedobrego — rzekł Pe-troniusz — to powiem ci prawdę. Dobreby one były dla innych — tu począł wymieniać nazwiska ludzi, którzy najpiękniejsze pisywali rzeczy — ale tobie nie wolno takich pisać. Ten pożar, który opisujesz, nie dosyć płonie, ogień nie dość parzy. Ty możesz stworzyć dzieło, o jakim świat dotąd nie słyszał, boś od nich większy i dlatego ci mówię: na-pisz lepsze.

Twarz Neronu poczęła łagodnieć, pochleb-stwo wziął za prawdę i podobało mu się.

— Tak jest, dobrze mówisz — rzekł. — Mój pożar nie dość świeci, mój ogień nie-dosć parzy. Tyś mi otworzył oczy. Ale czy wiesz, dlaczego tak jest, jak mówisz? Oto ja nigdy nie widziałem palącego się miasta i dlatego mój opis nie jest dobry. Gdybym ja mógł, gdybym mógł raz w życiu wielki po-żar zobaczyć!

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał jeden z najwyższych urzędników, Tigellinus:

— Mówiłem ci już, Cezarze — rzekł — rozkaż, a spalę Antium. Albo wiesz co? jeśli

ci żal tych domów i pałaców, każę spalić okrety na morzu, albo zbuduję drewniane miasto, na które sam rzucisz płomień. Czy chcesz?

Ale Neron spojrzał na niego z pogardą.

— Ja mam patrzeć na płonące puste, drewniane budy? Twój umysł zupełnie wyjałowiał, Tigellinie! I widzę, że nie bardzo dbasz o moje dzieło, kiedy myślisz, że dla jego dobra szkodaby było nawet Antium.

Tigellinus zmieszał się, Neron zaś po chwili, jakby chciał zmienić rozmowę, dodał:

— Lato nadchodzi... O! jak ten Rzym musi teraz cuchnąć! A jednak trzeba tam będzie wrócić niedługo, i wyprawić nowe igrzyska. Niecierpię Rzymu.

Wtem Tigellinus poruszył się, jakby nowa myśl przyszła mu do głowy i rzekł:

— Gdy odejdą wszyscy, Cezarze, pozwól mi na chwilę zostać ze sobą...

I tak dni za dniami mijały w Antium. Winiciusz wszystkie chwile, wolne od służby, spędzał w towarzystwie Pawła z Tarsu, słuchając słów świętej nauki, którą coraz lepiej rozumiał i coraz bardziej odczuwał. Pogoda i wiara w lepszą przyszłość spłynęła do duszy jego, tembardziej, że przyszłości tej, zdawało się, nie grozi już nic, nawet gniew Cezara. Petroniusz bowiem, korzystając raz

z chwili dobrego humoru Nerona, opowiedział mu trochę zmienioną historię ucieczki i znalezienia Ligii, wyjednał dla niej przebaczenie i pozwolenie poślubienia Winiciusza.

— Rozkazuję ci — rzekł Cezar, zwracając się do Winiciusza, który był obecny opowiadaniu — jechać jutro do Rzymu, zaślubić ją i nie pokazać mi się na oczy bez ślubnego pierścienia.

— Dzięki ci, panie, z duszy całej — rzekł Winiciusz.

I rzeczywiście radość przepełniała mu serce, bo to pozwolenie Cezara usuwało wszelkie obawy o Ligię i o Aulusów.

W tej chwili poczęli wchodzić do pokoju zaproszeni goście, bo Cezar miał tego wieczoru grać i śpiewać nową pieśń, którą sam ułożył. Jakoż niebawem wziął lutnię do ręki i podniósł oczy w górę.

W sali ustały rozmowy i ludzie siedzieli nieruchomie, jak skamieniali, w oczekiwaniu pierwszych słów pieśni. Wtem w przedśionku wszczął się ruch i hałas, a po chwili wszedł wysłaniec z Rzymu.

Neron zmarszczył brwi.

— Wybacz, Cezarze — rzekł zdyszany głosem wysłaniec — w Rzymie pożar, większa część miasta w płomieniach.

Na tę wiadomość wszyscy zerwali się z miejsc, Neron położył lutnię i rzekł:

— Ujrze płonące miasto i skończę moje dzieło.

Poczem zwrócił się do wysłańca:

— Czy, wyjechawszy natychmiast, zdąże jeszcze zobaczyć pożar?

— Panie! — odpowiedział tenże blady, jak ściana — nad miastem jedno morze płomieni: dym dusi mieszkańców i ludzie mdleją, albo z rozpaczcy rzucają się w ogień. Rzym ginie, panie!

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał okrzyk Winiciusza:

— Biada mi, biada!

I młody człowiek wybiegł z pałacu...

Winiciusz zaledwie miał czas rozkazać kilku niewolnikom, by jechali za nim, poczem, wskoczywszy na konia, pędził wśród głębokiej nocy, przez puste ulice Antium. Położywszy swą odkrytą głowę na karku końskim, biegł na oślep, nie patrząc przed siebie i nie zważając na przeszkody, o które mógł się roztrzaskać. Naraz wydało mu się, że Niebo w północno-wschodniej stronie powleka się różowym odbłaskiem. Mogła to być zorza ranna, gdyż godzina była późna, dzień zaś czynił się wcześniej w lipcu. Lecz Winiciusz nie mógł powstrzymać okrzyku rozpaczcy, wydało mu się bowiem, że to jest luna pożogi. Przypomniały mu się słowa wysłańca: „miasto całe jednym morzem płomieni“, i stra-

cił całkowicie nadzieję, by mógł uratować Ligię, a nawet dobiedz, zanim miasto nie zmieni się w jeden stos popiołu, pomimo, że w kilku miejscach na drodze miał stale zastawne konie. Myśli jego stały się teraz szybsze, niż pęd konia i gnały przed nim jak stado czarnego ptactwa, rozpaczliwe i potworne.

Nie wiedział wprawdzie, która część miasta płonąć zaczęła, przypuszczał jednak, że Zatybrze, gdzie mieszkała Ligia, pełne drewnianych domów, składów drzewa, pierwsze mogło stać się pastwą płomieni. W Rzymie pożary zdarzały się dość często, przy których równie często przychodziło do gwałtów i rabunków, szczególnie w częściach miasta, zamieszkałych przez ludność ubogą i nawpół dziką — cóż więc mogło się dziać na takim Zatybrzu, które było gniazdem hałastu, pochodzącej ze wszystkich stron świata! Być może więc, że tam w mieście, obok pożogi, wre rzeź i wojna. Może nawet żołnierze rzucili się na miasto i mordują. I włosy powstały nagle z przerażenia na głowie Winiciusza. Przypomnił sobie wszystkie rozmowy o pożarach miast, które od pewnego czasu prowadzono ciągle na dworze Cezara, przypomnił sobie jego skargi, że musi opisywać płonące miasto, nie widząc nigdy prawdziwego pożaru, jego pogardliwą odpowiedź Tigellinowi, który podejmował się

podpalić Antium, lub sztuczne, drewniane miasto, wreszcie jego narzekania na Rzym i okrzyk, że Rzymu niecierpi. Tak! to Cezar kazał spalić miasto! On jeden mógł się na to ważyć, tak jak jeden Tigellinus mógł się podjąć wykonania takiego szalonego rozkazu. A jeśli Rzym płonie z rozkazu Cezara, to któż może zaręczyć, że i ludność nie zostanie z jego rozkazu wymordowana? Więc pożar i rzeź! — a w tem wszystkim Ligia i Piotr. Tu podniósł nagle głowę do góry i wyciągnawszy ramiona ku Niebu nabitemu gwiazdami, począł się modlić: „Nie was wzywam, pogańscy bogowie, których świątynie płoną teraz, ale Ciebie!... Tyś sam cierpieł! Tyś jeden miłośniwy! Tyś przyszedł na świat, by ludzi nauczyć litości, więc ja teraz okaż! Uratuj ich, Panie! Ty możesz! Chybabyś nie chciał...”

Modląc się, dojechał na szczyt wzgórza i wówczas straszliwy widok uderzył jego oczy. Cała nizina pokryta była dymami, tworzącymi jakby olbrzymią, leżącą tuż przy ziemi chmurę, w której znikły drzewa i domy. Na końcu zaś tej szarej, okropnej płaszczyzny, gorzało na wzgórzach miasto. Pożar nie miał kształtu ognistego słupa, jak bywa wówczas, gdy pali się pojedynczy, choćby największy budynek. Była to raczej długa, podobna do zorzy wstęga. Winiciuszowi na pierwszy rzut oka wydało

się, że to nie tylko płonie miasto, ale świat cały — i że żadna żywa istota nie może się wyratować z tego morza ognia i dymów.

W miarę jak się zbliżał do murów, okazywało się, że łatwiej przyjechać do Rzymu, niż dostać się do środka miasta. Przez drogę trudno było się przecisnąć z powodu natłoku ludzi. Domy, pola, cmentarze, ogrody i świątynie, wszystko zmienione było w obozowiska; ludzie uciekali coraz dalej i dalej od ognia i duszących dymów. Wreszcie, po nadludzkich wysiłkach dostał się na Zatybrze, dopadł domu Linusa w nadziei, że tam Ligię zastanie. Dom jednak otoczony był już pożarem i przepelniony dymem. Nie znalazłszy nikogo, Winiciusz uszedł zaledwie z życiem, a przeleciawszy kilkadziesiąt kroków, ze wzruszenia, przebytych wysień i duszącego dymu, zemdlął. Obudził się dopiero w ustronnym ogrodzie, otoczony przez kilka kobiet i mężczyzn — i pierwsze jego słowa, na jakie się zdobył, były:

— Gdzie Linus?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, poczem jakiś znajomy Winiciuszowi głos rzekł nagle:

— Za bramami miasta; od dwóch dni... wyszedł do Ostranium...

Winiciusz podniósł się i siadł, ujrawszy niespodzianie nad sobą Chilona.

Grek zaś mówił:

— Dom twój, panie, zapewne spłonął, bo dzielnica, gdzie on stał, w płomieniach. Ale ty i tak będziesz bogaty. O! co za nieszczęście! Chrześcijanie przepowiadali od dawna, że ogień zniszczy to miasto... A Linus wraz z Ligią jest na Ostranum...

Winiciuszowi znów uczyniło się słabo.

— Widziałeś ich? — spytał.

— Widziałem, panie!... Niech będą dzięki Chrystusowi, że ci mógł dobrą wieścią odplacić za twoje dobrodziejstwa. Ale ja ci jeszcze odplacę! przysięgam na ten pałac się Rzym — rzekł Grek jakimś dziwnym głosem, którego jednak Winiciusz z osłabienia nie zauważył.

Na dworze czynił się wieczór, ale w ogrodzie widno było, jak w dzień, gdyż pożar wzmógł się jeszcze. Niebo było czerwone, jak okiem sięgnąć i na świecie czyniła się noc czerwona. Straszny żywioł obejmował coraz to nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdyż coraz to nowe pożary wybuchały w miejscach, od głównego ogniska odległych. Wszelka myśl o ratunku wydawała się niemożliwą, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkimi bramami za mury, z drugiej

zbiegło się tysiące ludzi z okolicy, których znęciła nadzieja rabunku.

Okrzyk „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumów. Tłuszcza tu i owdzie zaczęła się burzyć, zdawało się, że jedynie widok tych płomieni powstrzymuje jeszcze wybuch rzezi. Powtarzano sobie, że to Cezar kazał spalić Rzym dlatego, żeby się uwolnić od zaduchów, zalatujących z jego wązkich zaułków i by wybudować nowe miasto pod nazwiskiem Neronii. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi.

Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe żołnierzom uderzyć na lud i sprawić ogólną rzeź. Niektórzy przysięgali, że wypuszczono z polecenia Cezara wszystkie dzikie zwierzęta, które sprowadzono na nadchodzące igrzyska. Widziano na ulicach lwy z płonącymi grzywami i rozszalałe słonie. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie na widok zbliżającego się pożaru rozwalily klatki i wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą, jak burza. Wieść publiczna podawała na dzieńsiatki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy straciwszy całe mienie, albo najdroższe sercu istoty, dobrowolnie rzucali się z rozpacz w płomienie. Innych udusiły dymy. W środku

miasta, gdzie były najgęściej zabudowane ulice, pożar wszczynął się w tak wielu miejscach naraz, że całe gromady ludzi, uciekając w jedną stronę, trafiały najniespodziewaniej na nową ścianę płomieni ze strony przeciwnej — i ginęły straszną śmiercią wśród ogniatego zalewiska.

Noc stawiała się coraz widniejszą, a pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórze, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał...

Makrynus, tkacz, do którego domu przyniesiono Winiciusza, obmył go, zaopatrzył w odzież i posilił, poczem młody żołnierz, odzyskawszy zupełnie siły, oświadczył, że tejsze nocy jeszcze rozpocznie dalsze poszukiwania Linusa.

Makrynus, który był chrześcijaninem, potwierdził słowa Chilona, że Linus wraz ze starszym kapłanem, Klemensem, Ligią i Ursusem udali się do Ostranium, gdzie Piotr miał chrzcić całe gromady zwolenników nowej nauki.

Winiciusz widział w tem zrządzenie Chrystusa, bo tym sposobem uniknęli pożaru, poczuł nad sobą Jego opiekę i z sercem wzbranem większą, niż kiedykolwiek miłością, poprzysiągł Mu w duszy wypłacić się całym życiem za te widome znaki łaski.

Tembardziej spieszo mu było do Ostranium. Odnajdzie Ligię, odnajdzie Piotra, Li-

nusa i zabierze ich gdzie daleko, do którejkolwiek ze swoich majątności na wsi, zdala od tego ognia, dymu i rozbukanej ludności. Byle ich tylko odnaleźć!...

Nie było to rzeczą łatwą. Winiciusz pamiętał, z jakim trudem przedostał się na Zatybrze, postanowił więc teraz obejść miasto ze strony przeciwnej. Niezwłocznie obaj z Chilonem puścili się w drogę, postępując z wolna wśród nagromadzonych tłumów.

Czas jakiś jechali w milczeniu, wsłuchując się w huk pożogi i w szum skrzydeł ptasich. Gołębie, których mnóstwo gnieździło się przy domach, a zarazem i wszelkiego rodzaju ptaki polne z nad morza i z gór okolicznych, biorąc widocznie blask pożaru za światło słoneczne, leciały całemi stadami na oślep, w ogień.

Winiciusz pierwszy przerwał milczenie.

— Gdzie byłeś, gdy pożar wybuchnął?

— Szedłem do mego przyjaciela, który posiadał kram przy wielkim cyrku, kiedy poczęto wołać: „ogień.“ Ludzie gromadzili się dla ratunku i przez ciekawość, ale gdy płomienie ogarnęły cały budynek, a oprócz tego poczęły się ukazywać naraz i w innych miejscach, trzeba było myśleć o własnem ocaleniu.

— Czy widziałeś ludzi, rzucających pochodnie do domów?

— Czego ja nie widziałem, panie? Widziałem ludzi, torujących sobie drogę w tłoku mieczami, widziałem bitwy i rozdeptane na bruku wnętrzości ludzkie i ludzi, rzucających się w płomienie z rozpaczą.

Dreszcz przerażenia przeszedł Winiciusza na samą myśl, że i Ligia mogła się znaleźć wśród tego zamętu.

— A ich widziałeś w Ostranum własnymi oczyma? — zapytał znowu.

— Widziałem, panie, widziałem dziewczę, dobrego Ursusa, świętego Linusa i Piotra Apostoła.

— A nie wiesz, gdzie przez ten czas mieszkał Linus?

— Ukaraleś mnie, panie, za ciekawość okrutnie — odpowiedział Grek.

Winiciusz umilkł i jechali dalej.

— Panie — rzekł po chwili Chilon — nie odnalazłbyś dziewczicy, gdyby nie ja, ale jeśli ja odnajdziemy, nie zapomnisz o ubogim słudze.

— Dostaniesz dom z winnicą — odpowiedział Winiciusz.

— Dzięki ci, panie! z winnicą? dzięki ci! O, tak, z winnicą!

Tymczasem wjechali w rodzaj wozu, w którym było zupełnie ciemno, ale w ciemnościach tych Winiciusz dojrzał roje migających latarek.

— Oto oni! — rzekł Chilon. — Będzie ich dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo inne domy modlitwy spłonęły, lub pełne są dymu, jak całe Zatybrze.

— Tak — rzekł Winiciusz — słyszę śpiewy.

Jakoż z ciemnego otworu w górze dochodziły śpiewające głosy ludzkie, latarki zaś ginęły w nim jedna za drugą. Lecz z bocznych wąwozów wysuwały się coraz nowe postacie, tak, że po jakimś czasie Winiciusz i Chilon znaleźli się wśród całej gromady ludzi.

Po chwili weszli do podziemia i posuwali się przy mdłym świetle latarek ciemnym kurytarzem, póki nie dotarli do obszernej jaskini, z której widocznie wybierano poprzednio kamień, albowiem ściany utworzone były ze świeżych jego odłamów.

Było tam widniej, niż w kurytarzu, gdyż prócz kaganków i latarek, płonęły pochodnie. Przy ich świetle ujrzał Winiciusz cały tłum ludzi klęczących, z rękoma wyciągniętymi do góry. Ligii, Piotra Apostoła i Linusa nie mógł nigdzie dojrzeć, natomiast naokół otaczały go twarze uroczyste i wzruszone. W niektórych widoczne było oczekiwanie, trwoga, nadzieja. Blask odbijał się w białkach wzniezionych oczu, pot spływał po bladych, jak kreda, czołach; niektórzy śpiewali pieśni, inni

powtarzali gorączkowo Imię Jezus, niektórzy bili się w piersi, po wszystkich znać było, że oczekują czegoś nadzwyczajnego. Wtem huk straszny wstrząsnął kamieniołomem, najpierw jeden, potem drugi, trzeci, dziesiąty... To w mieście całe ulice przepalonych domów poczęły się walić z łoskotem. Wszyscy padli na kolana, nastała cisza, w której słychać było tylko przyspieszone oddechy, pełne przerażenia szept: „Jezus, Jezus, Jezus!“ i gdzieś niedziedzie płacz dzieci.

A wtem ponad tą leżącą czernią ludzką jakiś spokojny głos rzekł:

— Pokój z wami.

Był to głos Piotra Apostoła, który przed chwilą wszedł do pieczary. Na dźwięk jego słów, strach przeszedł w jednej chwili, jak przechodzi strach trzody, między którą zjawił się pasterz. Ludzie popodnosili się z ziemi, bliźsi poczęli gnać się do jego kolan, jakby szukając pod jego skrzydłami opieki, on zaś wyciągnął nad nimi ręce i mówił:

— Czemu trwożycie się w sercach? Kto z was odgadnie, co go może spotkać, zanim godzina nadejdzie? Pan pokarał ogniem miasto, ale nad wami, których obmył chrzest i których grzechy odkupiła śmierć Baranka, będzie miłosierdzie jego — i pomrzecie z Imieniem Jego na ustach waszych. Pokój z wami!

Uczucie ulgi ogarnęło całe zgromadzenie i otucha w połączeniu z wdzięcznością dla Apostoła przepelniała serca. Głosy z różnych stron poczęły wołać: „My owce twoje, paś nas!“ Bliźsi zaś mówili: „Nie opuszczaj nas w dniu klęski!“ I klękali u jego kolan, co widząc Winiciusz, zbliżył się, chwycił kraj jego płaszcza i pochyliwszy głowę, rzekł:

— Panie ratuj mnie! Szukałem jej w dymie pożaru i w tłoku ludzkim, a nigdzie znaleźć nie mogłem, ale wierzę, że ty możesz mi ją wrócić.

Piotr zaś położył mu rękę na głowie.

— Ufaj — rzekł — i pójdz ze mną.

Czas jakiś trwała jeszcze wspólna modlitwa, potem Piotr udzielał Chrztu świętego, a wreszcie wyszli. Ale Winiciusz nie śmiał przerywać Apostołowi modlitwy, więc czas niejaki siedł w milczeniu, oczyma tylko błagając litości i drżąc z niepokoju. Lecz wiele osób przychodziło jeszcze całować ręce i kraj odzieży Piotra, matki wyciągały ku niemu dzieci, inni klękali w ciemnym, długim przejściu i podnosząc w górę kaganki, prosili o błogostawieństwo, inni wreszcie idąc bokiem, śpiewali, tak, że nie było czasu ani na pytanie, ani na odpowiedź. Tak było i w wąwozie.

Dopiero gdy wyszli na wolniejszą przestrzeń, z której widać już było płonące mia-

sto, Apostoł, przeżegnawszy je trzykrotnie, zwrócił się do Winiciusza i rzekł:

— Nie trwórz się. Blisko stąd jest chata kopacza, w której znajdziemy Ligię z Linusem i z wiernym jej sługą. Chrystus, który ci ją przeznaczył, zachował ją dla ciebie.

Na te słowa Winiciusz osunął się do nóg Apostoła i objawszy jego kolana, pozostał tak, nie mogąc słowa przemówić.

Apostoł zaś, broniąc się od podziękowań i czci, rzekł:

— Nie mnie, nie mnie, lecz Chrystusowi podziękuj, a teraz wstań i pójdz.

Winiciusz wstał. Przy świetle łuny widać było jego oblicze pełne radości i usta poruszające się słowami modlitwy.

Po chwili zwrócili obaj kroki ku wzgórzom. W drodze rzekł Winiciusz:

— Panie! obmyj mnie wodą chrztu, abym mógł się nazwać prawdziwym wyznawcą Chrystusa, gdyż miłuję Go ze wszystkich sił duszy mojej. Obmyj mnie prędko, bom w sercu już gotów. I co mi przykaże, to uczynię, ale ty mi powiedz, co bym mógł nadto uczynić.

— Miłuj ludzi jak braci swoich — powiedział Apostoł — bo tylko miłością możesz Mu służyć.

— Tak! Ja to już rozumiem i czuję. Dzieckiem będąc, wierzyłem w bogów rzym-

skich, alem ich nie kochał, a tego Jedyne go kocham tak, że oddałbym za Niego z radością życie.

I począł patrzeć w Niebo, powtarzając z uniesieniem:

— Bo On jeden jest! bo On jeden dobry i miłosierny! — więc niechby nietylko ginęło to miasto, ale świat cały, Jemu jednemu będę służył i Jego wyznawał.

— A On będzie błogosławił tobie i twemu domowi — zakończył Apostoł.

Tymczasem skręcili w inny wąwóz, na którego końcu widać było mdle światelko. Piotr wskazał je ręką i rzekł:

— Oto chata kopacza, który dał nam schronienie, gdy wróciwszy z chorym Linusem z Ostranium, nie mogliśmy się przedostać na Zatybrze.

Po chwili doszli. Drzwi od chaty były zamknięte, ale przez otwór, który zastępował okno, widać było oświecone ogniskiem wnętrze.

Jakaś ciemna, olbrzymia postać podniosła się na spotkanie przybyłych i poczęła pytać:

— Kto jesteście?

— Słudzy Chrystusa — odpowiedział Piotr.

— Pokój z tobą, Ursusie.

Ursus pochylił się do nóg Apostoła, poczem poznawszy Winiciusza, chwycił jego rękę i podniósł do ust

— I ty, panie? — rzekł. — Błogosławione niech będzie Imię Baranka.

To rzekłszy, otworzył drzwi i weszli. Chory Linus leżał na pęku słomy, z twarzą wychudłą i żółtem, jak kość słoniowa czołem. Obok ogniska siedziała Ligia, zajęta wieczerzą. Myśląc, że to wchodzi Ursus, nie podniosła oczu wcale. Lecz Winiciusz, zbliżywszy się do niej i wymówiwszy jej imię, wyciągnął ku niej rękę. Wówczas podniosła się szybko; błyskawica zdumienia i radości przemknęła po jej twarzy — i bez słowa, jak dziecko, które po dniach trwogi i kłeski odzyskuje ojca lub matkę, rzuciła się w jego otwarte ramiona.

Chwilę trwało milczenie, poczem Winiciusz ją jej opowiadać, jak przyleciał z Antium, jak jej szukał w domu Linusa i jak Piotr Apostoł wskazał mu jej mieszkanie.

— Lecz teraz — mówił — nie opuszczaj was więcej i nie zostawiaj tu wobec tego ognia i rozszalałych tłumów. Ludzie tu mordują się pod murami, Bóg jeden wie, jakie jeszcze kłeski spaść mogą na Rzym. Ale ja ocalać was wszystkich! Jedźcie ze mną do Antium, tam wsiądziemy na statek i pojedziemy do której z moich ziem. Bo słuchajcie: moje domy, to wasze domy, moje ziemie, to wasze ziemie. Wszak ty nie boisz się już mnie — rzekł, zwracając się znów do Ligii. — Chrześcijanie

mnie nie obmył, ale oto zapytaj Piotra, czym go przed chwilą nie prosił, by mnie ochrzcił, choćby w tej chacie. Zaufaj mi — i zaufajcie mi wszyscy.

Następnie zwrócił się do Piotra i znów mówił dalej:

— Rzym płonie z rozkazu Cezara. Już w Antium skarżył się, że nie widział nigdy wielkiej pożogi. Ale jeśli nie cofnął się przed taką zbrodnią, pomyślcie, co się jeszcze stać może! Chronicie się więc! Tam przeczekacie burzę w spokoju, a gdy przeminie, wróćcie znowu siał ziarno wasze.

Na zewnątrz, jakby na potwierdzenie obaw Winiciusza, odezwały się jakieś odległe krzyki, pełne wściekłości i przerażenia. W tej chwili nadszedł właściciel chaty i zamknąwszy pośpiesznie drzwi, zawołał:

— Ludzie mordują się na ulicach. Nie-wolnicy rzucili się na obywateli.

— Słyszycie — rzekł Winiciusz.

— Dopelnia się miara — rzekł Piotr Apostoł — i kłeski będą, jako morze, nie-przebrane.

Poczem zwrócił się do Winiciusza i wskazując ręką na Ligię, rzekł:

— Weź tę dziewczkę, którą ci Bóg przeznaczył i ocal ją, a Linus, który jest chory i Ursus, niechaj jadą z wami.

Lecz Winiciusz, który pokochał Apostoła całą siłą swej niepohamowanej duszy, zawołał:

— Przysięgam ci, nauczycielu, iż cię tu nie zostawię na zgubę.

— I pobłogosławi cię Pan za twoją chęć — odrzekł Apostoł — ale żali nie słyszałeś, że Chrystus trzykroć powtórzył mi nad jeziorem: „Paś baranki Moje!”

Winiciusz umilkł.

— Więc jeśli ty, któremu nikt nie powierzył pieczy nade mną, mówisz, że mnie tu nie zostawisz na zgubę, jakże chcesz, abym ja odbiegał trzody mojej w dniu klęski? Gdy była burza na jeziorze i gdyśmy się trwożyli w sercach, On nie opuścił nas, jakoż więc ja, sługa, nie mam iść za przykładem Pana mojego?

Wtem Linus podniósł swą wychudłą twarz i zapytał:

— A jakoż ja, namiestniku Pański, nie mam iść za przykładem twoim?

Winiciusz począł wodzić ręką po głowie, jakby walczył ze sobą lub bił się z myślami, poczem, chwyciwszy Ligę za rękę, rzekł głosem, w którym drgała siła niezwykła:

— Słuchaj mnie, Piotrze, Linusie i ty Ligio! Mówiłem, co mi nakazał mój rozum ludzki, ale wy macie inny, który nie własnego bezpieczeństwa patrzy, jeno przykazań Zbawiciela. Tak! jam tego nie rozumiał i zbłądził



Oto cię chrzczę — w Imię Ojca i Syna i Ducha — Amen!

łem, bo z oczu moich nie zdjęte jeszcze bielmo i dawna natura odzywa się we mnie. Ale że miłuję Chrystusa i chcę być Jego sługą, przeto, choć mi tu o coś więcej, niż o własną głowę chodzi, klękam oto przed wami i przysięgam, że i ja spełnię przykazanie miłości i nie opuszczę braci moich w dniu klęski.

To rzekłszy, klęknął i nagle ogarnęło go uniesienie; oczy i ręce wznosił w górę i począł wołać:

— Żali rozumiem Cię już, o Chryste? żalim Cię godzien?

Ręce drżały mu, oczy rozbłysły łzami, ciałem wstrząsał dreszcz wiary i miłości. Piotr zaś Apostoł wziął gliniane naczynie z wodą i zbliżywszy się do niego, rzekł uroczyście:

— Oto cię chrzczę — w Imię Ojca i Syna i Ducha — Amen!

Wówczas uniesienie religijne ogarnęło wszystkich obecnych. Zdało im się, że izba napelniła się jakimś światłem nadziemskim, że słyszą jakąś nadziemską muzykę, że Niebo otwiera się nad ich głowami, a z niego spływają roje Aniołów, a hen, w górze, widać krzyż i przebite ręce błogosławiące.

Tymczasem zewnątrz rozlegały się krzyki walczących ludzi i huk walących się domów.

IX.

A miasto płonęło ciągle. Wielki cyrk zapadł w gruzy, potem w dzielnicach, które pierwsze zaczęły płonąć, zapadały całe zaułki i ulice. Po każdym takim upadku słupy płomienia wzbijały się przez chwilę aż pod Niebo. Pomyślano już jednak o ratunku. Z rozkazu Tigellina, który trzeciego dnia nadbiegł z Antium, poczęto burzyć domy w dzielnicach, do których ogień jeszcze nie doszedł, żeby trafiwszy na puste miejsca, zgasł sam przez się. Był to jednak czczy ratunek, przedsięwzięty dla ocalenia resztek miasta, albowiem o ocaleniu tego, co już płonęło, nie było co mówić. Należało przytem zapobiegać i dalszym następstwom klęski.

Wraz z Rzymem ginęły niezmierne bogactwa, ginęło całe mienie jego mieszkańców, tak, że wokół murów koczowały teraz setki tysięcy samych nędzarzy. Drugiego już dnia głód począł doskwierać tej ciżbie ludzkiej, niezmierne bowiem zapasy żywności, nagromadzone w mieście, gorzały z niem razem, a w powszechnym zamęciu nie pomyślano o sprowadzeniu nowych. Dom, w którym tymczasowo zamieszkał Tigellinus, otaczały tłumy kobiet, krzycząc od rana do nocy: chleba i dachu. Wojsko, sprowadzone z głó-

wnego obozu, usiłowało utrzymać jaki taki ład, ale i żołnierzom stawiano opór.

Złorzeczono Cezarowi, urzędnikom, żołnierzom, wzburzenie rosło z każdą godziną. W tem morzu ludzkim, otaczającym wyspę ognia, rozmaite ustawicznie krążyły wieści. Były pomysłne i niepomysłne. Opowiadano o niezmiernych zapasach zboża i odzieży, które miały nadejść i być rozdawane darmo; z drugiej strony głoszone, że wody w studniach zostały zatrute i że Neron chce zniszczyć miasto i wygubić co do nogi mieszkańców, aby przenieść się do Grecyi lub Egiptu i stamtąd rządzić światem. Każda wieść rozbiegała się z szybkością błyskawicy i każda znajdowała wiarę wśród tłuszczy, powodując wybuchy nadziei, gniewu, strachu lub wściekłości. Tigellin słał gońca za gońcem do Antium, błagając, by Cezar przyjechał i obecnością swoją i obietnicami uspokoił lud.

A Cezar czekał, aby płomienie ogarnęły jak największą część miasta i wtedy dopiero spieszył, by nie stracić widoku w chwili, gdy pożoga doszła do najwyższej potęgi. Jakoż około północy zbliżył się do murów wraz ze swoim olbrzymim orszakiem, złożonym z całych zastępów dworzan, rycerzy, niewolników, kobiet i dzieci. Szesnaście tysięcy żołnierzy, ustawionych w szyku bojowym po drodze,

czuwało nad bezpieczeństwem jego wjazdu, utrzymując zarazem w odpowiedniej odległości wzburzony lud, który przeklinał wprawdzie, krzyczał i gwizdał na widok orszaku, ale nie śmiał na niego uderzyć. Wreszcie wszystkie te krzyki zgłuszył odgłos trąb i rogów, w które kazał dąć Tigellin. Neron, po przebyciu bramy, zatrzymał się, wstąpił na wzniesienie po przygotowanych dla siebie schodach, a za nim weszli dworacy i śpiewacy, niosący lutnie.

I wszyscy zatrzymali dech w piersiach, czekając, czy nie wypowie jakich wielkich słów, które dla własnego bezpieczeństwa trzeba było zapamiętać. Lecz on stał niemy, przybrany w purpurowy płaszcz i wieniec ze złotych liści i wpatrywał się w rozszalałą potęgę płomieni.

Stojący bliżej podali mu lutnię, on wziął ją w ręce, podniósł oczy ku górze i począł śpiewać. W oddali syczały węże płomieni, gorzały odwieczne, najświętsze zabytki, ginęło miasto, a on — władca, stał z lutnią w ręku i myślał nie o ginącej ojczyźnie, ale o słowach, któremiby najlepiej wielkość klęski mógł oddać i największe zdobyć pochwały.

Nienawidził tego miasta, nienawidził jego mieszkańców, kochał tylko swe pieśni i wiersze, więc radował się w sercu, że wreszcie ujrzy widok podobny do tego, który opisywał.

Lud wskazywał go rękoma, oblanego krwawym blaskiem, nie rozumiejąc z razu, co on robi; gdy jednak po chwili przekonał się, że Cezar śpiewa, że nawet wobec takiego nieszczęścia na pierwszym planie ma siebie, swoje wiersze i pieśni, oburzenie jego z głuchego pomruku przeszło prawie w wycie. Teraz nikt już nie wątpił, że to Cezar kazał spalić miasto, by sobie wyprawić widowisko i śpiewać przy niem.

Neron, usłyszawszy ów krzyk setek tysięcy głosów, przestał śpiewać, a spostrzegłszy wkoło siebie naraz blade twarze i niespokojne wejrzzenia, zląkł się także.

— Dajcie mi ciemny płaszcz z kapturem! — zawołał — czyżby naprawdę miało przyjść do bitwy?

— Panie! — odpowiedział niepewnym głosem Tigellin — ja zrobiłem wszystko, co mogłem, ale niebezpieczeństwo jest groźne... Przemów, panie, do ludu i poczyń mu obietnice.

Ale Cezar nie chciał przemawiać do tłuszczy, więc zrobił to za niego Petroniusz. Kazał sobie podać białego konia i siadłszy na niego, pojechał na czele kilku towarzyszy ku czarnej, wyjącej tłuszczy, bezbronny, mając w ręku tylko cienką laskę, którą się zwykle podpierał. Na jego widok wrzaski wzmogły się jeszcze i zmieniły na nieludzki ryk; dragi,



— Zatem słuchajcie!... — rzekł Petroniusz. — Miasto zostanie odbudowane...

widły, a nawet miecze chwiały się nad głową Petroniusza, drapieżne ręce wyciągały się ku cuglom jego konia i ku niemu. Poznano go wreszcie i liczne głosy poczęły wołać: Petroniusz, Petroniusz! On dał znak ręką, że chce mówić, a ponieważ lud rzymski go lubił, bo on jeden z całego otoczenia Cezara był sprawiedliwym, uciszyło się niebawem i tylko głosy: słuchajmy! słuchajmy! dochodziły jego uszu.

— Zatem słuchajcie!... — rzekł Petroniusz. — Miasto zostanie odbudowane. Ogrody będą dla was otwarte! Od jutra rozpocznie się rozdawanie zboża, wina i oliwy, tak, aby każdy mógł napęłnić żołądek aż do gardła! Potem Cezar wyprawi wam igrzyska, jakich świat nie widział dotąd, przy których czekają was uczty i dary. Bogatsi będziecie po pożarze, niż przed pożarem. A teraz wydajcie okrzyk na cześć Cezara, który was karmi i odziewa.

To rzekłszy, zwrócił konia i odjechał zwolna.

W tłumie podniósł się znów głuchy pomruk, gdzieś dały się słyszeć okrzyki gniewu albo zadowolenia, ale ostatecznie obietnice na razie uspokoiły tłumy i Cezar mógł spokojnie dojechać do swojego pałacu, którego nie ruszyły płomienie...

A miasto płonęło jeszcze. Szóstego dopiero dnia pożar, trafiwszy na puste przestrzenie, na których zburzono ogromną ilość domów, poczał słabnąć. Lecz stosy gorejącego węgla świeciły jeszcze tak mocno, że lud nie chciał wierzyć, by to był już koniec klęski. Jakoż siódmej nocy pożar wybuchnął z całą siłą, dla braku jednak strawy trwał już krótko. Tylko przepalone domy zapadały się jeszcze tu i owdzie, wyrzucając w górę węże płomieni i słupy iskier.

Z czternastu dzielnic Rzymu pozostały zaledwie cztery. Gdy spopielały stosy węgla, widać było ogromną przestrzeń siwą, smutną, umarłą, na której sterczały szeregi kominów, niby grobowce na cmentarzu. Między temi zgłiszczami snuły się we dnie posępne gromady ludzi, poszukujących to drogich rzeczy, to kości drogich osób. Nocami psy wyły na popieliskach i zgłiszczach dawnych domów.

Cała hojność i pomoc, jaką Cezar okazał ludowi, nie powstrzymała złorzeczeń i wzburzenia. Zadowolony był tylko tłum złodziei i bezdomnych nędzarzy, który mógł do woli jeść, pić i rabować. Ale ludzie, którzy tracili najbliższe istoty i majątki, nie dali się zjednać ni otwarciem ogrodów, ni rozdawnictwem zboża, ni obietnicą igrzysk i darów. Niestety zanadto było wielkie i zanadto

niesłychane. Niechęć i żal wzbierały i rosły z dniem każdym i mimo pochlebstw dworaków, mimo kłamstw Tigellina, Neron spostrzegł, że nienawiści tłumów nie uspokoi, że podejrzeń od siebie nie odwróci, póki winy za spalenie Rzymu jawnie na kogokolwiek nie złoży i winnego nie ukarze. Widzieli to wszystko ze strachem dworacy, to też każdy wynajdywał na swoją rękę sposoby, jedne okrutniejsze od drugich. Pewnego dnia trwała znów w pałacu Cezara długa i bezskuteczna narada, w czasie której wszedł niewolnik z oznajmieniem, że w przedsionku jest człowiek, który prosi Tigellina jak najspieszniej o posłuchanie. Tigellin wyszedł i po dość długim przeciagu czasu wrócił, a stanąwszy przed Cezarem, począł mówić zwolna i dobitnie głosem, w którym był jakby zgrzyt żelaza, a obok tego i radość tłumiona:

— Wysłuchaj mnie, Cezarze, albowiem mogę ci powiedzieć: znalazłem! Ludowi potrzeba zemsty i ofiary, ale nie jednej, lecz setek i tysięcy. Żaliś ty kiedy słyszał, panie, kto był Chrystus, ten przez Poncjusza Piłata ukrzyżowany? i czy wiesz, kto są chrześcijanie? Żalim ci nie mówił o ich zbrodniach i bezecnych obrzędach, o przepowiedniach, iż ogień przyniesie koniec świata? Lud nienawidzi ich i podejrzewa. Nikt ich nie

widział w świątyniach naszych, bo naszych bogów uważają za złe duchy; niema ich w cyrkach, bo pogardzają igrzyskami. Nigdy dłonie żadnego chrześcijanina nie dawały ci oklasków. Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi miasta i twymi. Lud szemrze przeciwko tobie, ale nie tyś mi, Cezarze, kazał spalić Rzym — i nie ja spaliłem... Lud pragnie zemsty, niech ją ma. Lud podejrzewa ciebie, niech jego podejrzzenia zwrócą się w inną stronę.

Neron słuchał z początku ze zdumieniem. Lecz w miarę słów Tigellina twarz jego poczęła się zmieniać i przybierać wyraz gniewu i oburzenia. Nagle powstał i podniósłszy ręce do góry, zawołał:

— Cóż to nieszczęsne miasto uczyniło tym okrutnikom, że je tak niehumanie spalili!

A inni poczęli wołać:

— Uczyni sprawiedliwość, panie, ukarż podpalaczy!

On zaś siadł, spuścił głowę na piersi i milczał, jakby niegodziwość, o której słyszał, oburzała go tak niesłychanie. Lecz po chwili ozwał się:

— Jakież kary i jakie męki godne są takiej zbrodni? Ale ja to ukarzę i dam biednemu ludowi takie widowiska, że przez wieki będzie mnie wspominał z wdzięcznością.

Czoło Petroniusza pokryło się nagle chmurą. Pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie zawisnie nad Ligią, nad Winiciuszem, którego kochał, i nad wszystkimi tymi ludźmi, których naukę odrzucał, ale o których niewinności był przekonany i postanowił ich bronić.

Począł więc mówić spokojnie i niedbale, jak mówił zwykle:

— A więc znaleźliście ofiary. Dobrze! Możecie je oddać dzikim zwierzętom na pożarcie, lub przypiekać na rozpalonych węglach. Także dobrze! Ale posłuchajcie mnie: Macie władzę, macie wojsko, macie siłę, bądźcie zatem szczerzy, przynajmniej wtedy, gdy was nikt nie słyszy. Oszukajcie lud, ale nie siebie samych i miejcie odwagę powiedzieć sobie, że nie chrześcijanie spalili Rzym. Ty, Cezarze, pomyśl, co wolałbyś żeby potomność powiedziała o tobie: czy Neron, władca świata, spalił Rzym, bo był tak potężnym, że mógł to zrobić, nie oglądając się na nic i na nikogo; czy też, Neron spalił Rzym, ale wyparł się tego ze strachu przed motłochem i złożył winę na niewinnych.

Tu przerwał i czekał chwilę, co powie lub zrobi Cezar.

Wtem kilka głosów ozwało się:

— Panie, ukarż zuchwalca, który śmie mówić, że ty spaliłeś Rzym.

Cezar zaś rzekł:

— Chcecie, bym go ukarał, lecz to mój towarzysz i przyjaciel, więc chociaż zranił mi serce, niech wie, że to serce ma dla przyjaciół tylko... przebaczenie.

Ale zmarszczone brwi, ostry wyraz w oczach i jadowity uśmiech na twarzy, mówił zupełnie co innego.

— Przegrałem i zginąłem — pomyślał Petroniusz.

Tymczasem Cezar wstał. Narada była skończona...

Petroniusz udał się do siebie, Neron zaś z Tigellinem przeszli na drugi koniec pałacu, gdzie czekał ten człowiek, z którym poprzednio Tigellin rozmawiał.

Był to Chilon.

— Co wiesz o chrześcijanach? — spytał go Neron. — Jakim sposobem z nimi się poznałeś?

— Pierwszym chrześcijaninem, do którego los mnie zbliżył, panie — odrzekł Chilon — był Glaukus, lekarz. Od niego to dowiedziałem się, że oni oddają cześć niejakiemu Chrystusowi, który im obiecał wytępić wszystkich ludzi i zniszczyć wszystkie miasta na ziemi — a ich zostawić. Dlatego to, panie, oni nienawidzą ludzi, dlatego zatruwają studnie, dlatego na zebraniach swoich przeklinają Rzym,

i wszystkie nasze świątynie. Chrestos był ukrzyżowany, ale obiecał im, że gdy Rzym będzie zniszczony ogniem, wówczas on po raz drugi przyjdzie na świat i odda im panowanie nad ziemią.

— Teraz lud zrozumie, kto i dlaczego spalił Rzym — przerwał Tigellin.

A Chilon mówił dalej:

— Glaukus mówił mi, że Chrestos jest dobrem bóstwem i że podstawa jego nauki jest miłość. Nie mogłem się oprzeć takim prawdom, więc pokochałem Glaukusa i zaufałem mu. Dzieliłem się z nim każdym kawałkiem chleba, każdym groszem, i czy wiesz, panie, jak mi się odplacił? Oto w drodze pchnął mnie nożem, a moją żonę zaprzedał handlarzom niewolników!... Przybywszy do Rzymu, starałem się trafić do starszych chrześcijańskich, aby uzyskać sprawiedliwość na Glauku. Myślałem, że go zmuszę do oddania mi żony... Poznałem ich arcykapłana, poznałem drugiego, imieniem Paweł, który był tu uwięzion, ale potem został uwolniony i wielu innych. Wiem, gdzie mieszkali przed pożarem, wiem gdzie się schodzą, mogę wskazać jedno podziemie i jeden cmentarz, na którym odprawiają swe bezecne obrzędy. Widziałem tam Piotra Apostoła, widziałem Glauka i Ligię, wychowankę Aulusów i szlachetnego Winiciusza.

— Winiciusza! — zawołał ze zdziwieniem Neron — wszakże ona od niego uciekła.

— Ona uciekła, ale on jej szukał. Za nędzną zapłatę pomagałem mu w tem i ja to wskazałem mu dom, w którym mieszkała wśród chrześcijan na Zatybrzu. Tak, panie, przysięgam ci, że chrześcijanami są Aulusowie i Ligia i Winiciusz. Służyłem mu wiernie, on zaś w nagrodę na żądanie Glauka-lekarza kazał mnie schłostać, choć jestem stary, a byłem chory i głodny. I przysięgam, że mu to zapamiętam. O! panie, pomścij na nich moje krzywdy, a ja wam wydam i Piotra Apostoła i Linusa i Kryspa — samych starszych — i Ligię i Ursusa, wskażę wam ich setki, tysiące, wskażę domy modlitwy, cmentarze, wszystkie wasze więzienia ich nie obejmą... Beze mnie nie potrafilibyście ich znaleźć! Ale spiescie się! spiescie! — wołał Chilon w poczuciu dzikiej nienawiści i pragnienia zemsty — i najpierw uwięźcie Winiciusza, bo jak on wolny będzie, to ja zginałem.

Tigellin spojrzał na Nerona.

— Czyby nie było dobrze, panie, załatwić się od razu z Winiciuszem i z Petroniuszem?

Neron pomyślał chwilę i odrzekł:

— Nie! nie teraz!... Ludzie nie uwierzyliby, gdyby chciano w nich wmówić, że Petroniusz, Winiciusz, albo Aulusowie pod-

palili Rzym... Dziś trzeba innych ofiar, a kolej tamtych przyjdzie później. Gdy teraz weźmiemy wraz z innymi Ligię i tak oni na tem ucierpią.

Radość poczęła bić od twarzy Chilona.

— Wydam wszystkich, tylko się spieszcie! spieszcie! — wołał ochryplym głosem.

Tymczasem czterech roślých niewolników niosło szybko lektykę Petroniusza wśród ruin, popielisk i kominów, lecz on rozkazał im biedz pędem, by jak najprędzej stanąć u siebie. Winiciusz, którego dom spalił się, mieszkał u niego i na szczęście był w domu.

— Widziałeś dziś Ligię? — spytał go na wstępie Petroniusz.

— Od niej wracam.

— Słuchajże, co ci powiem i nie trać czasu na pytania. Postanowiono dziś u Cezara złożyć na chrześcijan winę za podpalenie Rzymu. Grozi im prześladowanie i męki. Pościg rozpocznie się lada chwili. Bierz Ligię i uciekajcie natychmiast, a spiesz się, bo z pałacu Cezara bliżej na Zatybrze, niż stąd.

Winiciusz słuchał z namarszczoną brwią, z twarzą groźną, ale bez przerażenia. Wiodocznie pierwszym uczuciem, jakie nim owładnęło, była chęć walki i obrony.

— Idę — rzekł.

— Weź worek ze złotem, weź broń i garść twoich ludzi chrześcijan. W razie potrzeby odbij.

Winiciusz był już we drzwiach.

— Przyślij mi wiadomość przez niewolnika — zawołał za odchodzącym Petroniusz.

I pozostawszy sam, począł rozmyślać nad tem, co się stanie. Wiedział, że Ligia i Linus wrócili po pożarze do dawnego domu, który ocalał i to było właśnie źle, bo inaczej nie łatwo było ich odnaleźć wśród tłumów. Spodziewał się jednak, że nie zaczną od nich, więc że w każdym razie Winiciusz uprzedzi żołnierzy.

A na ulicach już z ust do ust powtarzano sobie wieść, że chrześcijanie podpalili Rzym. Zdala dochodziły jakieś okrzyki, których od razu nie można było zrozumieć, ale które potężniały, rosły, aż wreszcie zmieniły się w jeden dziki wrzask:

— Chrześcijanie dla lwów!

Podawano sobie wieść, że rozpoczęto pościg, że schwytano już mnóstwo podpalaczy — i wkrótce po wszystkich zaułkach, po wszystkich wzgórzach i ogrodach rozległy się, jak długi i szeroki Rzym, coraz wściekłejsze wrzaski:

— Chrześcijanie dla lwów!

X.

Gdy Winiciusz wieczorem powrócił do domu, na widok jego jakby skamieniałej twarzy,

w której tylko oczy świeciły gorączkowo, Petroniusz zapytał od razu:

— Przybyłeś zapóźno?

— Tak jest. Uwięziono ją przed południem.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Widziałeś ją?

— Tak.

— Gdzie jest?

— W więzieniu mamertyńskim.

Petroniusz wzdrygnął się i spytał:

— Jakto! czy jest w podziemiu?

— Nie! — odrzekł Winiciusz. — Nie wtrącono jej do podziemia, ani nawet do środkowego więzienia. Przeplaciłem stróża, aby odstąpił jej swą izbę. Ursus położył się w progu i czuwa nad nią.

— Czemu Ursus jej nie bronił?

— Przysłano pięćdziesięciu żołnierzy, zresztą Linus mu zabronił.

— Linus?

— Linus umiera, dlatego nie wzięto go.

— Co myślisz robić? — spytał Petroniusz.

— Uratować ją lub umrzeć z nią razem. I ja wierzę w Chrystusa.

Winiciusz mówił niby spokojnie, ale w jego głosie było coś tak rozpaczliwego, że serce Petroniusza zadrgało szczerą litością.

— A jak ty chcesz ją ratować?

— Przeplaciłem stróżów, najprzód dlatego, żeby ratować ją od zniewag, a powtóre, by nie przeszkadzali jej w ucieczce.

— Kiedy to ma nastąpić?

— Odpowiedzieli, że nie mogą wydać mi jej natychmiast, gdyż boją się odpowiedzialności. Gdy więzienia napelniają się mnóstwem ludzi i gdy straci się rachunek więźniów, wówczas mi ją oddadzą. Ale to ostateczność! Pierwej ty ratuj ją i mnie! Jesteś przyjacielem Cezara. Idź do niego i ratuj!

Petroniusz, zamiast odpowiedzi, zawołał niewolnika i rozkazawszy mu przynieść dwa ciemne płaszcze i dwa miecze, zwrócił się do Winiciusza.

— Po drodze ci opowiem — rzekł. — Tymczasem weź płaszczy, weź broń i pójdźmy do więzienia. Tam daj stróżom sto tysięcy, daj dwakroć i pięćkroć więcej, byle wypuścili Ligię natychmiast. Inaczej będzie zapóźno.

— Pójdźmy — rzekł Winiciusz.

I po chwili obaj znaleźli się na ulicy.

— A teraz słuchaj mnie — rzekł Petroniusz. — Nie chciałem tracić czasu. Jestem od dziś w niełasce. Moje własne życie wisi na włosku i dlatego nie mogę nic wskórać u Cezara. A nadto rzekł mi on: „Powiedz ode mnie Winiciuszowi, żeby był na igrzyskach, na których wystąpią chrześcijanie.“ Czy rozu-

miesz, co to znaczy? Oto chcą sobie wyprawić widowisko z twego bólu. Może dlatego nie uwieziono dotąd ciebie i mnie. Jeśli jej nie zdołasz natychmiast wydobyć, wówczas... nie wiem! Może Akte wstawi się za nią, ale czy co wskóra?... Twoje złoto mogłoby także skusić Tigellina. Próbuj

— Oddam mu wszystko, co mam — odpowiedział Winiciusz.

Do więzienia było niezbyt daleko, wkrótce więc doszli. Noc już poczęła blednąć i mury zamku wychylały się wyraźnie z cienia. Nagle, gdy skręcili już ku więzieniu, Petroniusz stanął i rzekł:

— Żołnierze! zapóźno.

Jakoż więzienie otaczał podwójny szereg żołnierzy. Blask srebrzył żelazne ich hełmy i ostrza włóczni.

Twarz Winiciusza stała się blada, jak marmur.

— Pójdźmy — rzekł.

Po chwili stanęli przed szeregiem. Petroniusz, który miał niezwykłą pamięć, znał nie tylko starszą wojtkę, ale i wszystkich prawie żołnierzy miejscowych, wnet ujrzał znajomego sobie dowódcę kohorty i skinął na niego.

— A to co, Nigrze? — rzekł — kazano wam pilnować więzienia?

— Tak jest, szlachetny Petroniuszu. Obawiano się, by kto nie próbował odbić podpalaczy.

— Czy macie rozkaz nie wpuszczać nikogo? — spytał Winiciusz.

— Nie, panie. Znajomi będą odwiedzali uwieczonych i w ten sposób wyłapiemy więcej chrześcijan.

— Zatem mnie wpuść — rzekł Winiciusz.

W tej chwili pod ziemią i za grubymi murami ozwało się śpiewanie. Pieśń, zrazu głucha i stłumiona, rosła coraz bardziej. Głosy męskie, kobiece i dziecięce łączyły się w jeden zgodny chór. Całe więzienie poczęło w ciszy świtania śpiewać, jak harfa. Lecz nie były to głosy żałości, ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i tryumf.

Żołnierze spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Na Niebie pojawiły się pierwsze, złote i różowe blaski jutrzni.

Okrzyk „Chrześcijanie dla lwów!“ rozlegał się ciągle we wszystkich dzielnicach miasta. W pierwszej chwili nietylko nikt nie wątpił, że oni byli prawdziwymi sprawcami klęski, ale nikt nie chciał wątpić, albowiem kara ich miała być zarazem wspaniałą zabawą dla ludu.

A tymczasem wśród zgłiszcz wytykano nowe, szerokie ulice. Tu i owdzie pozakładano już fundamenta wspaniałych domów, pa-

łaców i świątyń. Przedewszystkiem jednak stawiano z niestychanym pospiechem ogromne drewniane budynki, w których mieli konać chrześcijanie. Zaraz po naradzie, na której uznano, że to oni spalili Rzym, poszły rozkazy do rządców różnych krain, aby dostarczali dzikich zwierząt. Z rozkazu Tigellina, urządzono olbrzymie łowy, w których cała miejscowa ludność brała udział. Sprowadzano słonie i tygrysy, krokodyle i hipopotamy, lwy, wilki i niedźwiedzie, szczególnie zajadłe psy, a wreszcie bawoły i olbrzymie srogie tury z północy. Z powodu ilości uwięzionych, igrzyska miały przejść ogromem wszystko, co dotychczas widziano. Cezar zapragnął zatopić wspomnienia pożaru w krwi i upoić nią Rzym, więc nigdy rozlew jej nie zapowiadał się wspanialej.

Rozochocony lud pomagał żołnierzom w pościgu chrześcijan. Nie było to rzeczą trudną, gdyż całe ich gromady, obozując jeszcze wraz z inną ludnością wśród ogrodów, wyznawały głośno swą wiarę. Gdy ich otaczano, klękali i śpiewając pieśni, pozwalali się porywać bez oporu. Lecz cierpliwość ich zwiększała tylko gniew ludu, który, nie rozumiejąc jej źródła, uważał ją jako zacięłość w zbrodni. Szał ogarniał prześladowców. Zdarzało się, że czerń wyrywała chrześcijan z rak żołnie-

rzy i rozszarpywała ich rękoma; kobiety ciągnięto za włosy do więzień, dzieciom rozbijano głowy o kamienie. Tysiące ludzi dniem i nocą przebiegało ulice. Szukano ofiar wśród zgliszczy, w kominach i piwnicach. Przed więzieniami wyprawiano przy ogniskach, naokół beczek z winem, uczty i tańce. Wiezorami słuchano z radością podobnych do grzmotu ryków, którymi rozbrzmiewało całe miasto. Więzienie przepełnione było tysiącami ludzi, codzień zaś czerń i żołnierze przypędzali nowe ofiary. Litość zgasła. Zdawało się, że ludzie zapomnieli mówić i w dzikim obłąkaniu zapamiętali tylko jeden okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ Przyszły dziwnie znojne dni i noce tak duszne, jakich nigdy przedtem nie bywało: samo powietrze było jakby nasiąknięte szalem, krwią i zbrodnią.

A owej przebranej mierze okrucieństw odpowiadała również przebrana miara — żądzy męczeństwa. Wyznawcy Chrystusa szli dobrowolnie na śmierć, lub nawet szukali jej, póki im tego nie zabronili surowo zwierzchnicy. Z polecenia ich poczęto zbierać się na modlitwy już tylko za miastem — w podziemiach lub winnicach, żeby o ile możliwości uniknąć pościgu.

Petroniusz nie mogąc zapomnieć, że gdyby nie on i nie jego pomysły odebrania Ligii

z domu Aulusów, to prawdopodobnie nie byłaby obetnie w więzieniu, nie szczędził ni czasu, ni zabiegów, byle ją stamtąd wydobyć. Lecz wszystkie jego usiłowania pozostawały bez skutku.

A tymczasem męka Winiciusza przeszła wszystko, co siły ludzkie znieść mogą. Przestał rozumieć, co się dzieje — przestał rozumieć dlaczego Chrystus, ów Miłosierny! ów Bóg! nie przychodzi w pomoc swoim wyznawcom, dlaczego okopcone mury pałacu cesarskiego nie zapadną się pod ziemię, a z nimi razem Neron i obóz żołnierzy i całe to miasto zbrodni. Myślał, że nie może i nie powinno być inaczej — i że to wszystko, na co patrzą jego oczy, od czego łamie się dusza i skowyczy serce — to sen. Lecz ryk zwierząt mówił mu, że to rzeczywistość; huk siekier, z pod których wyrastały cyrki, mówił mu, że to rzeczywistość, a potwierdzały ją wycia ludu i przepełnione więzienia ..

Tymczasem płynął dzień za dniem. Budyńki były skończone. Rozdawano już znaki wejścia na igrzysko poranne. Lecz tym razem „igrzysko poranne“, z powodu niesłychanej ilości ofiar, miało się rozciągnąć na dnie, tygodnie i miesiące. Nie wiedziano już, gdzie mieścić chrześcijan. Więzienia były natłoczone i srożyła się w nich gorączka.

Wspólne doły, w których grzebano niewolników, poczęły się przepełniać. Powstała obawa, by choroba nie rozszerzyła się na całe miasto, więc postanowiono się spieszyć.

A wszystkie owe wieści odbijały się o uszy Winiciusza, gasząc w nim ostatnie przebliski nadziei. Póki był czas, mógł się łudzić, że, coś jeszcze wskóra, ale teraz nie było już i czasu. Widowiska miały się rozpocząć, Ligia lada dzień mogła się znaleźć w kurytarzach cyrkowych, skąd wyjście już tylko pomiędzy dzikie zwierzęta. Winiciusz nie wiedząc, gdzie rzuci ją los i okrucieństwo przemocy, począł obchodzić wszystkie cyrki, przekupywać stróżów i dozorców zwierząt, stawiając im żądania, których oni spełnić nie mogli. Z czasem spostrzegł, że już pracuje tylko nad tem, by jej uczynić śmierć mniej straszną.

Niewolnicy znajdowali go często klęczącego, ze wzniesionemi rękoma, lub leżącego z twarzą do ziemi. Modlił się do Chrystusa, gdyż to była ostatnia nadzieja. Wszystko zawiodło! Ligię mógł ocalić tylko cud — więc Winiciusz bił czołem w płyty kamienne i prosił o cud. Lecz pozostało mu tyle jeszcze świadomości, że zrozumiał, iż modlitwa Piotra więcej znaczy, niż jego. Piotr go chrzczył, Piotr sam czynił cuda — niechże mu da ratunek i wspomnienie.

I pewnej nocy poszedł go szukać. Chrześcijanie, których niewielu już zostało, ukrywali go teraz starannie nawet jedni przed drugimi, aby ktoś ze słabszych duchem nie zdradził go mimowolnie lub umyślnie. Winiciusz wśród ogólnego zamieszania i pogromu, zajęty przytem całkiem zabiegami o wydobycie Ligii z więzienia, stracił Apostoła z oczu tak, iż od czasu swego chrztu spotkał go zaledwie raz jeden, jeszcze przed rozpoczęciem pościgu. Lecz udawszy się do owego kopacza, w którego chacie został ochrzczony, dowiedział się od niego, że w winnicy odbędzie się zebranie chrześcijan. Kopacz podejmował się wprowadzić na nie Winiciusza, upewniając go, że znajda na niem Piotra. Jakoż o zmroku wyszli — i przedostawszy się za mury, a następnie idąc wśród wądołów zarosłych trzciną, dostali się do winnicy, położonej dziko i ustronnie. Zgromadzenie odbywało się w szopie. Do uszu Winiciusza doszedł na wstępie szmer modlitwy, wszedłszy zaś, ujrzał przy mdłym świetle laterek kilkadziesiąt postaci klęczących i pogrążonych w modlitwie. Odmawiały one rodzaj Litanii — chór głosów, zarówno męskich jak kobiecych, powtarzał co chwila: „Chryste, zmiłuj się!“ Drgał w tych głosach głęboki, rozdzierający smutek i żal.

Piotr był obecny. Klęczał na przodzie przed drewnianym krzyżem, przybitym do ściany szopy i modlił się. Winiciusz rozpoznał zdala jego białe włosy i wzniesione ręce. Pierwszą myślą młodego Rzymianina było przejść przez gromadę, rzucić się do nóg Apostoła i krzyżeć: „Ratuj!“ — lecz czy to uroczystość modlitwy, czy osłabienie ugięto pod nim kolana, więc klękawszy u wejścia, począł powtarzać z jękiem i z zaciśnionemi dłońmi: „Chryste, zmiłuj się!“ Gdyby był przytomny, byłby zrozumiał, że nie tylko w jego prośbie brzmiał jęk i że nie on tylko przyniósł tu swój ból, swój żal i swoją trwogę. Nie było w tem zebraniu jednej duszy ludzkiej, któraby nie straciła drogich sercu istot — a gdy najgorliwsi i najpełniejsi odwagi z wyznawców byli już uwięzieni, gdy z każdą chwilą rozchodziły się nowe wieści o zniewagach i mękach, jakie zadawano im w więzieniach — gdy ogrom klęski przerósł wszelkie przypuszczenia — gdy została już ta garść tylko — nie było wśród niej jednego serca, któreby nie przeraziło się w wierze i nie pytało w zwątpieniu: gdzie Chrystus? i czemu zezwała, by zło stało się potężniejsze od Boga?

Lecz tymczasem błagali Go jeszcze z rozpaczą o miłosierdzie, bo w każdej duszy tliła się dotąd iskra nadziei, że przyjdzie, zetrze

zło, strąci w przepaść Nerona — i zapanuje nad światem. Jeszcze patrzyli w Niebo, jeszcze nasłuchiwali, jeszcze modlili się ze drżeniem.

Winiciusza również, w miarę jak powtarzał: „Chryste, zmiłuj się!” poczęło ogarniać uniesienie takie, jak niegdyś w chacie u kopcza. Oto wołają Go z głębi bólu, z otchłani, oto woła Go Piotr — więc lada chwila rozedrze się Niebo, ziemia zadrży w posadach — i zstąpi On — w blasku niezmiernym, z gwiazdami u stóp — miłosierny, lecz i groźny, który wywyższy Swych wiernych i każe przepaściom pożreć prześladowców.

Winiciusz zakrył twarz rękoma — i przypadł do ziemi. Naraz otoczyła go cisza, jak gdyby bojaźń uwięziła dalsze wołanie w ustach wszystkich obecnych. I zdawało mu się, że koniecznie musi się coś stać, że nastąpi chwila cudu. Był pewien, że gdy się podniesie i otworzy oczy, ujrzy światło, od którego ślepną śmiertelne źrenice i usłyszy głos, od którego mdleją serca.

Lecz cisza trwała ciągle. Przerwało ją na koniec łkanie kobiece.

Winiciusz podniósł się i począł patrzeć osłupiałym wzrokiem przed siebie.

W szopie, zamiast blasków zaziemskich, migotały nikłe płomyki latarek i promienie księżycy, wchodzące przez otwór w dachu,

napełniły ją srebrnem światłem. Ludzie, klęczący obok Winiciusza, wznosili w milczeniu zalane łzami oczy ku krzyżowi; tu i owdzie ozwały się łkania, a z zewnątrz dochodziło ostrożne pogwizdywanie strażników. Wtem Piotr wstał i zwróciwszy się do gromady, rzekł:

— Dzieci, podnieście serca ku Zbawicielowi naszemu i ofiarujcie mu wasze łzy.

I umilkł.

Nagle wśród zgromadzonych ozwał się głos kobiecy, pełen żalostnej skargi i bólu bez granic:

— Ja wdowa, jednego syna miałam, który mnie żywił... Wróć mi go, panie!

Nastąpiła powtórna chwila ciszy. Piotr stał przed klęczącą gromadą, stary, stroskany i wydawał im się w tej chwili jakby uosobieniem zgrzybiałości i niemocy.

Wtem począł się skarżyć drugi głos:

— Kaci znieważali córki moje i Chrystus na to pozwolił.

Poczem trzeci:

— Zostałam sama z dziećmi, a gdy mnie porwą, kto im da chleba i wody?

Poczem czwarty:

— Linusa, którego zaniechali, wzięli znowu i położyli na męki, panie!

Poczem piąty:

— Gdy wrócimy do domów, pochwycą nas żołnierze. Nie wiemy, gdzie się ukryć.

— Biada nam! Kto nas osłoni?

I tak w ciszy nocnej brzmiała skarga za skargą.

Stary rybak przymknął oczy i trząsł swą białą głową nad tym ludzkim bólem i trwogą. Zapadło znów milczenie, tylko strażnicy poświstywali z cicha za szopą.

Winiciusz zerwał się znowu, by przedrzeć się przez gromadę do Apostoła i zażądać od niego ratunku, lecz nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść, której widok ubezwładnił jego nogi. Co będzie, jeśli Apostoł wyzna swoją niemoc, jeśli stwierdzi, że Cezar rzymski potężniejszy jest, niż Chrystus Nazareński? I na tę myśl przerażenie podniosło mu włosy na głowie, gdyż uczuł, że wówczas w tę przepaść wpadnie nie tylko reszta jego nadziei, ale i on sam i jego miłość do Chrystusa i jego wiara, i wszystko, czem żył, a pozostanie tylko śmierć i noc, jako morze bezbrzeżna.

A tymczasem Piotr zaczął mówić — głosem z początku tak cichym, że ledwie go można było dosłyszeć:

— Dzieci moje! Na Golgocie widziałem, jak Boga przybijali do krzyża. Słyszałem młoty i widziałem, jak podnieśli krzyż do góry,

aby rzesze patrzyły na śmierć Syna Człowieczego...

Widziałem, jak Mu otworzyli bok i jak umarł. A wówczas, wracając od krzyża, wołałem w boleści, jako wy wołacie: „Biada biada! Panie! tyś Bóg! czemuś na to pozwolił, czemuś umarł i czemuś utrapił nam serca, którzyśmy wierzyli, że przyjdzie Królestwo Twoje?“

A On, Pan nasz i Bóg nasz — trzeciego dnia zmartwychwstał i był między nami, póki w wielkiej światłości nie wstąpił do Królestwa Swego...

A my, poznawszy małą wiarę naszą, umocniliśmy się w sercach i odtąd siejemy ziarno Jego...

Tu, zwróciwszy się w stronę, skąd wyszła pierwsza skarga, zaczął mówić silniejszym już głosem:

— Czemu się skarżycie? Bóg sam podał się męce i śmierci, a wy chcecie, by was przed nią osłonił? Ludzie małej wiary! żaliście pojęli Jego naukę, żali On wam to jedno życie obiecał? Oto przychodzi do was i mówi wam: „Pójdźcie drogą Moją“ — oto podnosi was ku sobie, a wy czepiacie się ziemi rękoma, wołając: „Panie ratuj!“ — Ja, proch przed Bogiem, lecz wobec was Apostoł Boży i namiestnik, mówię wam w Imię Chry-

stusa: Nie śmierć przed wami, lecz życie, nie męki, lecz nieprzebrane rozkosze, nie łzy i jęki, lecz śpiewanie, nie niewola, lecz królowanie! Ja, Apostoł Boży, mówię tobie, wdowo: syn twój nie umrze — jeno narodzi się w chwale na życie wieczne — i połączysz się z nim! Tobie, ojcze, któremu kaci splamili córki niewinne, obiecuję, że odnajdziesz je bielsze od lilii Hebronu! Wam, matki, które porwą od sierot, wam, którzy straciecie ojców, wam, którzy się skarżycie, wam, którzy będziecie patrzeć na śmierć umiłowanych, wam, stroskani, nieszczęśliwi, trwożni, i wam, mającym umrzeć, w Imię Chrystusa, powiadam, iż zbudzicie się jako ze snu na szczęsne czuwanie — i jako z nocy na świat Boży. W Imię Chrystusa — niech spadnie bielmo z oczu waszych i rozgoreją serca!

To rzekłszy, podniósł dłoń, jak gdyby rozkazywał, a oni uczuli nową krew w żyłach i zarazem dreszcz w kościach, bo stał już przed nimi nie starzec zgrzybiały i strapiony, ale mocarz, który brał ich dusze i dźwigał je z prochu i trwogi.

— Amen! — zawołało kilka głosów.

Jemu zaś z oczu bił blask coraz większy i szła od niego siła, szedł majestat, szła świętość. Głowy chyliły się przed nim — a on, gdy umilkło „Amen“ — mówił dalej:

— Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego? Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miasta jest Pan, który zamieszkał w was. Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy! Pan idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemństwa i pychy, a wyście żołnierze Jego! I jako sam odkupił męką i krwią grzechy świata, tak chce, abyście wy odkupili męką i krwią to gniazdo nieprawości!... To wam oznajmia przez wargi moje!

I rozłożył ręce, a oczy utkwiał w górze, — im zaś serca przestały prawie bić w piersi, albowiem uczuli, że wzrok jego widzi coś, czego nie mogą dojrzeć ich śmiertelne źrenice.

Jakoż twarz mu się zmieniła i oblała się jasnością i patrzył czas jakiś w milczeniu, jakby oniemiał z zachwyty, lecz po chwili usłyszano jego głos:

— Jesteś, Panie — i okazujesz mi drogi swoje! Jakto, o Chryste! Nie w Jeruzalem, ale w tym grodzie szatana chcesz założyć stolicę Twoją? Tu z tych łez i z tej krwi chcesz zbudować Kościół Twój? Tu, gdzie dziś władza Nerona, ma stać wieczyste Królestwo Twoje? O, Panie, Panie! I każesz

tym trwożnym, aby z kości swych zbudowali fundament pod Kościół Twój, a duchowi memu każesz objąć rząd nad nim i nad ludami ziemi? I oto zlewasz źródło mocy na słabych, aby się stali silni — i oto każesz mi paść stad baranki Twoje aż do spełnienia wieków... O bądźże pochwalony w wyrokach Twoich, który każesz zwyciężać. Hosanna! Hosanna!...

Ci, którzy byli trwożni, powstali — w tych, którzy zwątpili, wpłynęły strumienie wiary. Jedne głosy zawołały naraz: „Hosanna!“ — inne: „Chryste!“ — poczem zapadła cisza. Jasne letnie błyskawice różświecały wnętrza szopy i twarze pobladłe ze wzruszenia.

Piotr, zapatrzone w widzenie, modlił się jeszcze długo, lecz nakoniec zbudził się, zwrócił do gromady swą natchnioną, pełną światła głowę i rzekł:

— Oto, jako Pan zwyciężył w was zwątpienie, tak i wy idźcie zwyciężać w Imię Jego!

I chociaż wiedział już, że zwycięża, choć wiedział, co wyrośnie z ich łez i krwi, jednak głos zadrgał mu wzruszeniem, gdy począł żegnać ich krzyżem i mówił:

— A teraz błogosławię was, dzieci moje, na mękę, na śmierć, na wieczność!

Lecz oni opadli go, wołając:

— My już gotowi, ale Ty, święta głowo, chroń się, albowiem tyś jest namiestnik, który sprawuje rząd Chrystusów!

I tak mówiąc, czepiali się jego szat, on zaś kładł ręce na ich głowach i żegnał każdego z osobna, równie jak ojciec żegna dzieci, które wysyła w podróż daleką.

I zaraz poczęli wychodzić z szopy, albowiem pilno już im było do domów, a z nich do więzień i na areny. Umysły ich oderwały się od ziemi, dusze wzięły lot ku wieczności — i szli jakby w śnie lub zachwyceniu, przeciwstawiając tę siłę, która w nich była — siłę i okrucieństwu pogaństwa. Apostoła zaś wziął Nereusz, sługa Pudensa i wiódł go ukrytą w winnicy ścieżką do swego domu. Lecz wśród jasnej nocy postępował za nimi Winiciusz — i gdy wreszcie doszli do Nereuszowej chaty, rzucił się nagle do nóg Apostoła.

Ów zaś, poznawszy go, zapytał:

— Czego żądasz, synu?

Ale Winiciusz po tem, co słyszał w szopie, nie śmiał go już o nic błagać — tylko objawszy obiema rękoma jego stopy, przyciskał do nich ze łkaniem czoło, wzywając w ten niemy sposób litości. Ów zaś rzekł:

— Wiem. Wzięli dziewczkę, którą umiłowales. Módl się za nią.

— Panie — jęknął Winiciusz, obejmując jeszcze silniej stopy Apostoła. — Panie! jam robak lichy, aleś ty znał Chrystusa, ty Go błagaj, ty wstaw się za nią.

I drżał z bólu, jak liść i czołem bił w ziemię, albowiem poznawszy moc Apostoła, wiedział, iż on jeden może mu ją powrócić.

A Piotr wzruszył się tą boleścią. Przypomniawszy sobie, jak niegdyś i Ligia, zgromiona przez Kryspusa, leżała tak samo u jego nóg, zebrząc litości. Przypomniawszy sobie, że ją podniósł i pocieszył, więc teraz podniósł Winiciusza.

— Synaczku — rzekł — będę się modlił za nią, lecz ty pomnij, com mówił tamtym wątplącym: że sam Bóg przeszedł przez mękę krzyżową i pomnij, że po tem życiu zaczyna się inne, wieczyste.

— Ja wiem!... jam słyszał... — odparł Winiciusz, łowiąc w poblaskie usta powietrze, ale widzisz, Panie... nie mogę! Jeśli potrzeba krwi, proszę Chrystusa, aby wziął moją... Jam żołnierz. Niech mi podwoi, niech potroi mękę dla niej przeznaczoną, wytrzymam! — ale niech ją ocali! To jeszcze dziecko, Panie! a On mocniejszy od Cezara, wierzę! mocniejszy... Tyś ją sam miłował. Tyś nam błogosławił! To jeszcze dziecko niewinne!

Tu znów pochylił się i przyłożywszy twarz do kolan Piotra, począł powtarzać:

— Tyś znał Chrystusa, Panie! Tyś znał, On ciebie wysłucha! Wstaw się za nią!

A Piotr przymknął powieki i modlił się żarliwie. Letnie błyskawice poczęły znów rozświecać Niebo. Winiciusz wpatrzył się przy ich blasku w usta Apostoła, czekając z nich wyroku życia lub śmierci.

— Winiciuszu — zapytał wreszcie Apostoł — wierzysz-li ty?

— Panie, czyżbym inaczej tu przyszedł? — odpowiedział Winiciusz.

— Tedy wierz do końca, albowiem wiara góry porusza. Więc choćbyś widział ową dzieweczkę pod mieczem kata, albo w paszczęce lwa, wierz jeszcze, że Chrystus może ją zbawić. Wierz i módl się do Niego, a ja będę się modlił wraz z tobą.

Poczem, podniósłszy twarz ku Niebu, mówił głośno:

— Chryste miłosierny, spojrz na ono serce zbolełe i pociesz je! Chryste miłosierny, pomiarkuj wiatr do wełny jagnięcia! Chryste miłosierny, któryś prosił Ojca, aby odwrócił kielich goryczy od ust twoich, odwróć go od ust tego sługi Twego. Amen.

A Winiciusz, wyciągając ręce ku gwiazdom, mówił, jęcząc:

— O Chryste! jam twój! Weź mnie za nią! Na wschodzie Niebo poczęło bieleć...

Winiciusz, opuściwszy Apostoła, szedł do więzienia z odrodzonym przez nadzieję sercem. Gdzieś, w głębi duszy, krzyczała mu jeszcze rozpacz i przerażenie, lecz on stłumił w sobie te głosy. Wydało mu się niepodobieństwem, by wstawiennictwo namiestnika Bóże go i potęgą jego modlitwy miały pozostać bez skutku. Bał się nie mieć nadziei, bał się wątpić. „Będę wierzył w miłosierdzie Jego (mówił sobie), choćbym ja ujrzał w paszczy lwa.“ I na tę myśl, choć drżała w nim dusza i pot zimny oblewał mu skronie, wierzył. Każde uderzenie jego serca było modlitwą. Począł rozumieć, że wiara góry porusza, albowiem poczuł w sobie jakąś dziwną siłę, której nie odczuwał przedtem. Zdawało mu się, że potrafi nią dokonać takich rzeczy, które jeszcze wczoraj nie były w jego mocy. Chwilami miał wrażenie, jakby złe już minęło. Gdy rozpacz odzywała się jeszcze jękiem w jego duszy, przypominał sobie tę noc i tę świętą, sędziwą twarz, wzniesioną ku Niebu w modlitwie. „Nie! Chrystus nie odmówi pierwszemu uczniowi swemu i pasterzowi trzody! Chrystus mu nie odmówi, a ja nie zwątpię.“ I biegł do więzienia, jak zwiastun dobrej nowiny.

Lecz tu czekała go rzecz niespodziana.

Straże, zmieniające się przy więzieniu, znały go już wszystkie i zwykle nie czyniono

mu najmniejszych trudności, lecz tym razem łańcuch się nie otworzył, a natomiast setnik zbliżył się ku niemu i rzekł:

— Wybacz, panie, mamy dziś rozkaz nie wpuszczać nikogo.

— Rozkaz? powtórzył, blednac, Winiciusz.

Żołnierz spojrzał na niego ze współczuciem i rzekł:

— Tak, panie. Rozkaz Cezara. W więzieniu dużo jest chorych i być może, iż obawiają się, aby przychodnie nie roznieśli zarazy po mieście.

— Lecz mówiłeś, że rozkaz na dziś tylko?

Żołnierz zbliżył się i rzekł przyciszonym głosem:

— Uspokój się, panie. Stróże i Ursus czuwają nad nią.

To rzekłszy, pochylił się i w mgnieniu oka nakreślił na kamiennej płycie swym długim mieczem kształt ryby.

Winiciusz spojrzał na niego bystro.

— I jesteś żołnierzem?

— Póki nie będę tam — odrzekł żołnierz, wskazując na więzienie.

— I ja czczę Chrystusa!

I ścisnąwszy rękę żołnierza, odszedł. Słońce ranne podniosło się nad mury więzienia, a razem z jego jasnością poczęła znów

wstępować otucha w serce Winiciusza. Ten żołnierz chrześcijanin był dla niego jakby nowem świadectwem potęgi Chrystusa. Po chwili zatrzymał się i utkwivszy wzrok w różowych obłokach, rzekł:

— Nie widziałem jej dziś, Panie, ale wierzę w Twoje miłosierdzie.

I wrócił do domu pisać list do Ligii. Gdy skończył, odniósł go sam i wręczył chrześcijańskiemu setnikowi, który natychmiast poszedł do więzienia. Po chwili wrócił z pozdrowieniem od Ligii i z obietnicą, że dziś jeszcze odniesie jej odpowiedź.

Winiciusz nie chciał jednak wracać i siadłszy na gładzie, czekał na list. Słońce wzbilo się już wysoko na Niebie, przekupnie rozstawiali swoje towary, tłumy nadchodzącej ludności wzrastały z każdą chwilą. W miarę, jak upał dogrzewał, coraz silniej, gromady próżniaków chroniły się w cień domów, z których zrywały się co chwila z wielkim łopotem całe stada gołębi, rozblyskując białymi piórami w jasności słonecznej i w błękicie. Pod nadmiarem światła, pod wpływem gwaru, ciepła i niezmiernego zmęczenia, oczy Winiciusza poczęły się kleić. Kilka razy podniósł jeszcze głowę i spojrzał na więzienie, poczem oparł ją o zrab skalny, westchnął jak dziecko, które usypia po długim płaczu i usnął.

Z głębokiego snu zbudził go dopiero żar słoneczny i krzyki, które rozlegały się tuż obok miejsca, na którym siedział. Winiciusz przetarł oczy: ulica roiła się od ludzi, lecz dwaj biegacze, przybrani w żółte szaty, rozsuwali długimi trzećmi tłumy, krzycząc i czyniąc miejsce dla czterech silnych niewolników, którzy nieśli w lektyce jakiegoś człowieka, przybranego w białe szaty. Twarzy jego nie było dobrze widać, bo tuż przy oczach trzymał zwój papieru i odczytywał dość pilnie.

— Miejsce dla szlachetnego pana! — wołali biegacze.

Ulica jednak była tak natłoczona, że lektyka musiała się na chwilę zatrzymać. Wówczas człowiek, siedzący wewnątrz, opuścił niecierpliwie zwój papieru i wychylił głowę, wołając:

— Rozpędzić mi tych nicponiów! prędzej!

Nagle spostrzegł Winiciusza, cofnął głowę i podniósł szybko do oczu zwój papieru.

A Winiciusz przeciągnął ręką po czole, myśląc, że śni jeszcze.

W lektyce siedział Chilon.

Ujrzawszy go w tych bogatych szatach, w lektyce, którą jedynie bogaci posługiwać się mogli i otoczonego niewolnikami, Winiciusz zrozumiał nagle to, czego nie rozumiał

dotąd, dlaczego Ligię pochwycili najpierwsza i jakim sposobem tak prędko ją znaleźli.

I pochwyciwszy za krawędź lektyki, pochylając się tuż nad Chilonem, zawołał:

— Tyś wydał Ligię!...

Twarz starego Greka pobladła jak papier, lecz że w oczach Winiciusza nie było groźby, więc strach jego minął szybko. Pomyślał, że jest pod opieką Tigellina i samego Cezara i że otaczają go silni niewolnicy, a Winiciusz stoi przed nim bezbronny, z wynędzniałą twarzą i postawą zgiętą przez ból.

Na tę myśl wróciła mu zuchwałość. Utkwił w Winiciusza swe oczy, okolone czerwonymi obwódkami i począł mówić szybko:

— A ty, gdyś umierał z głodu, kazałeś mnie schłostać!

Na chwilę umilkli obaj, poczem dał się słyszeć głuchy szept Winiciusza:

— Skrzywdziłem cię, Chilonie!...

Wówczas Grek podniósł głowę i skinął ręką, a na ów znak niewolnicy podnieśli lektykę, a biegacze poczęli wołać, machając trzcinami:

— Miejsce dla szlachetnego Chilona! miejsce! miejsce!...

Ligia w długim, pospiesznie pisanym liście żegnała na zawsze Winiciusza. Wiadomo jej było, że do więzienia nie wolno już nikomu

przychodzić i że będzie mogła widzieć Winiciusza dopiero z areny, to jest z miejsca w cyrku, w którym, w oczach całych tysięcy widzów, będzie prawdopodobnie rzucona dzikim zwierzętom na pożarcie. To też prosiła go, by dowiedział się, kiedy przypadnie ich kolej i był na igrzysku, albowiem chciała raz jeszcze zobaczyć go za życia. W liście jej nie znać było bojaźni. Pisała, że i ona i inni tęsknią już do areny, na której znajdują wyzolenie z więzienia. Spodziewając się przyjazdu Aulusów, błagała, by przyszli i oni. W każdym jej słowie widać było uniesienie i to oderwanie od życia, w którym żyli wszyscy uwięzieni, a zarazem niezachwianą wiarę, że obietnice szczęścia przyszłego spełnić się muszą za grobem.

Winiciusz czytał ów list z rozdartem sercem, ale zarazem zdało mu się nieprawdopodobieństwem, aby Ligia mogła zginąć pod kłami dzikich zwierząt — i aby Chrystus nie zlitował się nad nią. Wróciwszy do domu, odpisał, że będzie przychodził codziennie pod mury więzienia czekać, póki Chrystus nie skruszy murów i nie odda mu jej. Nakazał wierzyć jej, że On może mu ją oddać nawet z cyrku, że wielki Apostoł błaga Go o to — i że chwila wyzwolenia już bliska. Nawrócony setnik miał odnieść jej ów list nazajutrz.

Lecz gdy Winiciusz przyszedł następnego dnia pod więzienie, setnik, opuściwszy kolej, zbliżył się do niego i rzekł:

— Posłuchaj mnie, panie. Chrystus, który cię doświadczył, okazał ci łaskę Swoją. Dziś nocy przyszli niewolnicy Cezara zabierać chrześcijan na pierwsze igrzyska, pytali się o oblubienicę twoją, lecz Bóg zesłał na nią gorączkę, na którą umierają więźnie — i poniechali jej. Wczoraj wieczór była już nieprzytomna i niech będzie błogosławione Imię Zbawiciela, albowiem ta choroba, która ją ocaliła od śmierci dziś, ocali ją może i później.

Winiciusz oparł dłoń na ramieniu żołnierza, aby nie upaść; ów zaś mówił dalej:

— Dziękuj miłosierdziu Pana. Linusa porwali i położyli na męki, ale widząc, że kona, oddali go. Może i tobie oddadzą ją teraz, a Chrystus wróci jej zdrowie.

Młody żołnierz chwilę jeszcze pozostał ze spuszczoną głową, poczem podniósł ją i rzekł cicho:

— Tak jest, setniku. Chrystus wybawi ją od śmierci.

I dosiedziawszy pod murem więzienia do wieczora, wrócił do domu, aby wysłać swoich ludzi po Linusa i kazać go przenieść do jednej ze swoich posiadłości podmiejskich.

XI.

Nadszedł wreszcie dzień igrzysk. Tłumy gawiedzi czekały od świtu na otwarcie wrót nowo przebudowanych cyrków, wsłuchując się z lubością w ryk lwów, chrapliwe beczenie panter i wycie psów. Zwierzętom nie dawano jeść od dwóch dni, a natomiast przesuwano przed nimi zakrwawione kawały mięsa, by tembardziej pobudzić w nich wściekłość i głód. Chwilami też zrywała się taka burza dzikich głosów, że ludzie, stojący przed cyrkiem, nie mogli rozmawiać, a niektórzy bledli z przestachu. Lecz wraz ze wschodem słońca zabrzmiały w obrębie cyrku pieśni donośne, ale spokojne, których słuchano ze zdziwieniem, powtarzając sobie wzajem: „Chrześcijanie! chrześcijanie!” Jakoż mnogie ich zastępy sprowadzono do cyrku jeszcze w nocy — i nie z jednego tylko więzienia, ale ze wszystkich potrochu.

Wiedzano w tłumie, że widowiska pociągną się przez całe tygodnie i miesiące, ale spierano się, czy z tą częścią chrześcijan, która była przeznaczona na dziś, zdołają skończyć w ciągu jednego dnia. Głosy męskie, kobiece i dziecięce, śpiewające pieśń poranną, były tak liczne, iż znawcy utrzymywali, że choćby po sto i dwieście ciał wysyłano na raz, zwierzęta zmęczą się, nasycą i do wie-

czora nie potrafią wszystkich porozrywać. W miarę, jak zbliżała się chwila otwarcia kurytarzy, prowadzących do wnętrza, lud ożywiał się, rozweselał i spierał o rozmaite, tyżące widowiska rzeczy. Poczęły się tworzyć stronnictwa, chwalcące większą sprawność lwów albo tygrysów w rozdzieraniu ludzi. Tu i owdzie czyniono zakłady. Inni jednak rozprawiali o gladyatorach, to jest tych, którzy mieli przed chrześcijanami jeszcze walczyć z dzikimi zwierzętami i znów tworzyły się stronnictwa. Wczesnym rankiem większe lub mniejsze oddziały gladyatorów zaczęły napływać do cyrku. Nie chcąc się utrudzać przed czasem, szli bez zbroi, często z zielonemi gałęziami w rękę, lub uwieńczeni w kwiaty i znikali w bramach, z których wielu już nie miało więcej wyjść. Lecz coraz nowe powody rozrywały uwagę tłumów. Za gladyatorami szli ludzie zbrojni w bice, których obowiązkiem było smagać i podniecać walczących. Potem muły ciągnęły całe szeregi wozów, na których poukładane były stosy drewnianych trumien. Na ten widok cieszył się lud, wnioskując z ich liczby o ogromie widowiska. Potem ciągnęli ludzie, którzy mieli dobijać rannych, potem ludzie, pilnujący porządku w cyrku, rozdający siedzenia, potem niewolnicy do roznoszenia chłodzących napojów, a wreszcie żołnierze.

Otworzono nakoniec kurytarze i tłumy runęły do środka. Lecz takie mnóstwo było zgromadzonych, że płynęli i płynęli przez całe godziny, aż dziwno było, że cyrk może tak nieprzeliczoną czerń pochłonać. Ryki zwierząt, czujących wyziewy ludzkie, wzmogły się jeszcze. Lud huczał w cyrku, przy zajmowaniu miejsc, jak fala w czasie burzy.

Przybył nakoniec Tigellin, a po nim nieprzerwanym łańcuchem poczęły się zmieniać lektyki urzędników publicznych i pałacowych, starszyny wojskowej, potężnych dostojników i kobiet.

Z rozpoczęciem widowiska czekano już tylko na Cezara, który też przybył niebawem w towarzystwie całego dworu.

Petroniusz przybył razem z Winiciuszem. Ów wiedział, że Ligia jest chora i bezprzytomna, ale ponieważ w ostatnich dniach dostęp do więzienia był jak najsurowiej strzeżony, ponieważ dawne straże zastąpiono nowemi, którym niewolno było rozmawiać ze stróżami, jak również udzielać najmniejszej wiadomości tym, którzy przychodzili pytać o więźniów, nie był więc pewien, czy niema jej między ofiarami, przeznaczonemi na pierwszy dzień widowiska. Dla lwów mogli wysłać i chorą, choćby bezprzytomną. Ale ponieważ ofiary miały być poobszywane w skóry zwie-

rzat i wysyłane całemi gromadami na arenę przeto nikt z widzów nie mógł sprawdzić, czy jedna więcej lub mniej znajduje się między nimi i nikt żadnej rozpoznać. Stróże i cała służba cyrkowa była przekupiona, a z dozorcami zwierząt stanął układ, że ukryją Ligię w jakim ciemnym zakątku, a nocą wydadzą ją w ręce pewnego dzierżawcy Winiciuszowego, który natychmiast wywiezie ją w góry. Petroniusz, przypuszczony do tajemnicy, radził Winiciuszowi, by wszedł otwarcie razem ze wszystkimi, a potem dopiero wymknął się w tłoku i pospieszył do lochów, gdzie dla uniknięcia możliwych pomyłek, osobiście miał wskazać stróżom Ligię.

Stróże go puścili małemi drzwiczkami, któremi wychodzili sami. Jeden z nich poprowadził go natychmiast do chrześcijan. Po drodze rzekł:

— Nie wiem, panie, czy znajdziesz, czego szukasz. My dopytywaliśmy się o dziewicę imieniem Ligia, nikt jednak nie dał nam odpowiedzi, ale być może, iż nie ufają nam.

— Dużo ich jest? — pytał Winiciusz.

— Wielu musi, panie, pozostać na jutro.

— Czy są chorzy między nimi?

— Takich, którzyby nie mogli ustać na nogach, nie masz.

To rzekłszy, otworzył drzwi i weszli jakby do ogromnej izby, ale niskiej i ciemnej, światło bowiem wchodziło do niej jedynie przez zakratowane otwory, oddzielające ją od areny. Winiciusz z początku nie mógł nic dojrzeć, słyszał tylko w izbie szmer głosów i okrzyki ludu, dochodzące z dali. Lecz po chwili, gdy oczy jego przywykły do zmroku, ujrzał całe gromady dziwacznych istot, podobnych do wilków i niedźwiedzi. Byli to chrześcijanie poobszywani w skóry zwierząt. Jedni z nich stali, drudzy modlili się klęcząc. Matki, podobne do wilczyc, nosiły na rękach również kosmato obszyte dzieci. Lecz z pod skór wychylały się twarze jasne, oczy w mroku pobłyskiwały radością i gorączką. Widocznem było, że większą część tych ludzi opanowała jedna myśl, wyłączna i zaziemska, która jeszcze za życia znieczuliła ich na wszystko, co się koło nich dzieć i co ich spotkać mogło.

Dzieci tylko gdzieniegdzie płakały przestraszone rykiem zwierząt, wyciem psów, wrzaskiem ludu i podobnemi do zwierząt postaciami własnych rodziców. Winiciusz, idąc obok stróża, patrzył w twarze, szukał, rozpytywał, chwilami potykał się o ciała tych, którzy pomdleli z natłoku, zaduchu i gorąca i przeciskał się dalej w ciemny głąb izby.

Lecz nagle zatrzymał się, albowiem zdało mu się, że w pobliżu kraty odezwał się jakiś znajomy mu głos. Posłuchawszy przez chwilę, zawrócił i precisnawszy się przez tłum, stanął blisko. Snop światła padał na głowę mówiącego i w blasku tym Winiciusz rozpoznał z pod skóry wilczej wychudłą i nieubłaganą twarz Kryspa. W tej chwili jednak jakiś człowiek, przebrany za niedźwiedzia, pociągnął go za płaszcz i rzekł:

— Panie, zostali w więzieniu. Mnie ostatniego wyprowadzono i widziałem Ligię chorą na łożu.

— Kto jesteś? — spytał Winiciusz.

— Kopacz, w którego chacie Apostoła chrzcili cię, panie. Uwięziono mnie przed trzema dniami — a dziś już umrę.

Winiciusz odetchnął. Wchodząc tu, życzył sobie znaleźć Ligię, obecnie zaś gotów był dziękować Chrystusowi, że jej tu nie ma i w tem widzieć znak Jego miłosierdzia. Tymczasem kopacz pociągnął go jeszcze raz za ubranie i rzekł:

— Pamiętasz, panie, że to ja cię zaprowadziłem do winnicy, gdzie w szopie nauczał Apostoła?

— Pamiętam — odpowiedział Winiciusz.

— Widziałem go później na dzień przedtem, nim mnie uwięzili. Pobłogosławił mi

i mówił, iż przyjdzie do cyrku pożegnać ginących. Chciałbym na niego patrzeć w chwili śmierci i widzieć znak krzyża, bo wówczas łatwiej mi będzie umrzeć, więc jeśli wiesz, panie, gdzie on jest, to mi powiedz.

Winiciusz zniżył głos i rzekł:

— Jest między ludźmi Petroniusza, przybrany za niewolnika. Nie wiem, gdzie wybrali miejsca, ale wrócę do cyrku i zobaczę. Ty patrz na mnie, gdy wyjdiesz na arenę, ja zaś podniosę się i zwrócę głowę w ich stronę. Wówczas odnajdziesz go oczyma.

— Dzięki ci, panie i pokój z tobą.

— Niech ci Zbawiciel będzie miłościw.

— Amen.

Winiciusz wyszedł i udał się do cyrku, gdzie miał miejsce obok Petroniusza.

— Jest? — zapytał go Petroniusz.

— Niema jej. Została w więzieniu.

— Słuchaj, co mi jeszcze przyszło na myśl. Niech Ligię nocą włożą w trumnę i wyniosą z więzienia jako umarłą — reszty się domyślasz?

— Tak — odpowiedział Winiciusz.

Dalszą rozmowę przerwał im ktoś z siedzących obok, bo przechyliwszy się ku nim, rzekł:

— Nie wiecie, czy chrześcijanom dadzą broń?

— Nie wiemy — odpowiedział Petroniusz.

— Wolałbym, gdyby ją dali — mówił tenże — inaczej arena stanie się wkrótce podobną do jatek rzeźniczych. Ale co za przepyszny cyrk!

Rzeczywiście, widok był wspaniały. Niższe siedzenia, nabite białymi szatami widzów, białały jak śnieg. W wyłóconem siedzeniu siedział Cezar w dyamentowym naszyjniku, ze złotym wieńcem na głowie, obok niego wielcy urzędnicy, starszyzna wojskowa w błyszczących zbrojach, słowem wszystko, co w Rzymie było potężne i bogate. W dalszych rzędach siedzieli rycerze, a wyżej — czerniło się kręgiem morze głów ludzkich, nad którymi od słupa do słupa zwieszały się girlandy, uwite z róż, lilii, sasanek i bluszczu.

Lud rozmawiał głośnie, nawoływał się, śpiewał, chwilami wybuchał śmiechem i tupał z niecierpliwości, by przyspieszyć widowisko. Wreszcie tupanie stało się podobne do grzmotów i nieustające.

W otoczeniu Cezara dano znak chustką, na który odpowiedział powszechny okrzyk radości, wyrwany z tysięcy piersi obecnych w cyrku widzów.

Zwykle widowisko rozpoczynano od łowów na dzikiego zwierza. Tym razem zwierząt miało być aż nadto, rozpoczęto więc od



Pozostało tylko dwóch, pchnięto ich ku sobie tak, że spotkawszy się, padli obaj na piasek i zakłóli się wzajemnie...

ludzi, przybranych w hełmy bez otworów na oczy, a zatem bijących się na oślep.

Kilkunastu ich, wyszedłszy naraz na arenę, poczęło machać mieczami w powietrzu, a posługacze za pomocą długich wideł posuwali jednych ku drugim, aby mogli się spotkać. Kilka par szepiło się i walka poczęła być krwawą. Zawzięci zapaśnicy podawali sobie lewe ręce, aby nie rozłączyć się więcej, a prawymi walczyli na zabój. Kto padł, podnosił palce do góry, błagając tym znakiem litości, lecz na początku widowiska lud zwykle domagał się śmierci ranionych. Zwolna liczba walczących zmniejszała się coraz bardziej, a gdy wreszcie pozostało tylko dwóch, pchnięto ich ku sobie tak, że spotkawszy się, padli obaj na piasek i zakłóli się wzajemnie. Wówczas, wśród okrzyków ludzi, posługacze uprzątnęli trupy, pacholeta zaś zagrabiły krwawe ślady na arenie i potrząsnęły ją zielonymi listkami.

Potem nastąpiło kilka jeszcze innych walk, a wreszcie przyszła kolej na chrześcijan. Ale że to było nowe dla ludu widowisko i nikt nie wiedział, jak się oni zachowają, wszyscy oczekiwali ich z pewnem zaciekawieniem. Usposobienie tłumów było spokojne, ale nieprzyjazne i spodziewające się scen nadzwyczajnych. Wszakże ci ludzie, którzy się mieli teraz po-

jawić, według przekonania pogan. spalili Rzym i odwieczne jego skarby. Wszakże zatruli wody, przeklinali ród ludzki i dopuszczali się najbezpieczniejszych zbrodni. Rozbudzonej nienawiści nie dość było najsroższych kar i jeśli jaka obawa przejmowała serca, to tylko obawa o to, czy męki dorównają występkom tych złowrogich skazańców.

Tymczasem słońce podniosło się wysoko i promienie jego, przechodząc przez purpurową zasłonę, napełniły cyrk krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ognistą i w tych blaskach, w twarzach ludzkich, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę miała się zapełnić męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, było coś strasznego. Zdawało się, iż w powietrzu unosi się groza i śmierć. Tłum, zwykle wesoły, zaciął się pod wpływem nienawiści w milczeniu.

Twarze miały wyraz zawzięty.

Wtem dano znak. Wówczas pojawił się starzec, którego przeznaczeniem było wywoływać na śmierć zapaśników, przeszedł wolnym krokiem przez całą arenę, wśród głuchej ciszy i zastukał trzykrotnie młotem we drzwi.

W całym cyrku odezwał się pomruk:

— Chrześcijanie! chrześcijanie!...

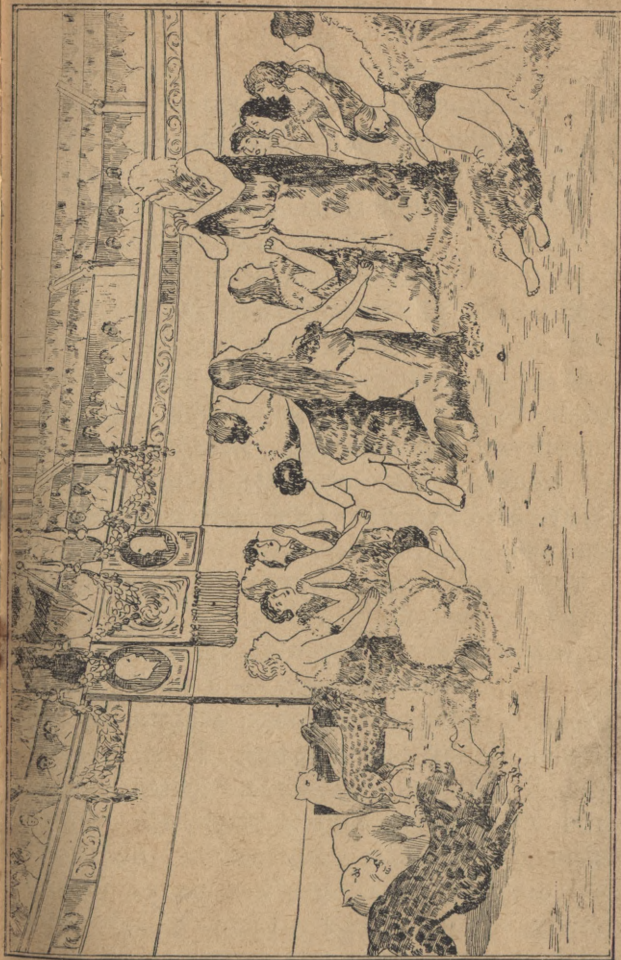
Zgrzytnęły żelazne kraty; w ciemnych otworach rozległy się zwykłe krzyki: „Na pia-

sek!“ i w jednej chwili arena zaludniła się gromadami ludzi, pookrywanych skórami.

Wszyscy biegli prędko, nieco gorączkowo i wypadli na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionymi w górę rękoma. Lud sądził, że to jest prośba o litość i rozwścieczony takim tchórzostwem, począł tupać, gwizdać, rzucać próżnemi naczyniami od wina, poogryzanemi kośćmi i ryczeć: „Zwierząt! zwierząt!...“ Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. Oto ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy i w tejże chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w cyrku rzymskim:

„Chrystus króluje!...“

Wówczas zdumienie ogarnęło lud. Skażący śpiewali z oczyma wzniesionymi ku górze. Widziano twarze pobladłe, lecz jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość — i że zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ni Cezara. „Chrystus króluje!“ rozbrzmiewało coraz donośniej, a w ławach, hen aż do góry, między rzędami widzów, niejeden zadawał sobie pytanie: co to się dzieje i co to jest za „Chrystus“, który króluje w ustach tych ludzi, mających umrzeć? Ale tymczasem otwarto nową kratę i na arenę wypadły z dzikim pędem i szczekaniem całe stada psów, wygłodzonych umyślnie, o zapa-



Ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy i w tejże chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w cyrku rzymskim: „Chrystus króluje!...“

dłych bokach i krwawych oczach. Wycie i skomlenie nappełniło cały budynek. Chrześcijanie, skończywszy pieśni, klęczeli nieruchomi, jak skamieniali, powtarzając tylko jednym jęklwym głosem: „Dla Chrystusa, dla Chrystusa!“ Psy, wyczuwszy ludzi pod skórą zwierząt i zdziwione ich nieruchomością, nie śmiały się na nich od razu rzucić.

Jedne wspinały się na ściany, odgradzające od położonych wyżej siedzeń, jakby chciały dostać się do widzów, drugie biegały wokoło, szczekając zażarcie, jakby gonili jakiegoś niewidzialnego zwierza. Lud rozgniewał się. Zawrzało tysiące głosów; niektórzy z widzów udawali ryk zwierząt; inni szczekali jak psy, inni szczuli. Cyrk zatrzęsł się od wrzasków.

Rozdrażnione psy poczęły to dopadać do klęczących, to cofać się jeszcze, kłapiąc zębami, aż wreszcie jeden wpił kły w kark klęczącej na przodzie kobiety — i pociągnął ją ku sobie. Wówczas dziesiątki ich rzuciły się w środek, jakby przez wyłom. Tłum przestał ryczeć, by przypatrywać się z większą uwagą. Wśród wycia i charkotu słyszać było jeszcze żalosne głosy męskie i kobiece: „Dla Chrystusa! dla Chrystusa!“ — lecz na arenie potworzyły się już drgające kłęby z ciał psów i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem z po-

rozdzieranych ciał. Psy wydierały sobie wzajem krwawe członki ludzkie. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności nappełnił cały cyrk. Wkońcu już tylko gdzieś widać było pojedyncze klęczące postacie, które wnet pokrywały wyjące kupy psów.

Winiciusz, który w chwili, gdy chrześcijanie wbiegli, podniósł się i odwrócił, aby zgodnie z obietnicą wskazać kopaczowi stronę, w której między ludźmi Petroniusza stał ukryty Apostoł, siadł napowrót i siedział z twarzą człowieka umarłego, spoglądając szklanemi oczyma na okropne widowisko. Z początku obawa, że kopacz mógł się omylić i że Ligia może znajdować się między ofiarami, odrętwiała go zupełnie, lecz gdy usłyszał głosy: „Dla Chrystusa! dla Chrystusa!“ gdy widział mękę tyłu ofiar, które umierając, świadczyły swej prawdzie i swemu Bogu, ogarnęło go inne uczucie, dojmujące jak najstraszniejszy ból, a jednak nieprzeparte, że gdy Chrystus sam umarł w Męce — i gdy oto giną za Niego tysiące, gdy wylewa się morze krwi, to jedna więcej kropla nie nie znaczy i że grzechem jest nawet prosić o miłosierdzie.

Ta myśl szła do niego z areny, przenikała go wraz z jękiem umierających, wraz z zapachem ich krwi. A jednak modlił się i powtarzał zeschłemi wargami: „Chryste!

Chryste!“ poczem zapamiętał się i stracił świadomość, gdzie jest, zdawało mu się tylko, że krew na arenie wzbiera, że piętrzy się i wypłynie z cyrku na cały Rzym. Zresztą nie słyszał nic, ni wycia psów, ni wrzasków ludu, ni głosów siedzących obok, które nagle poczęły wołać:

— Chilon zemdłał!

— Chilon zemdłał! — powtórzył Petroniusz, zwracając się w stronę Greka

A ów zemdłał rzeczywiście i siedział biały, jak płótno, z zadartą w tył głową i otwartemi szeroko ustami, podobny do trupa.

W tej samej chwili poczęto wypychać nowe, obszyte w skóry ofiary na arenę.

Te klękały natychmiast, jak ich poprzednicy, lecz zmordowane psy nie chciały ich szarpać. Ledwie kilka ich rzuciło się na najbliższych klęczących, inne zaś, pokładwszy się i podniósłszy w górę okrwawione paszcze, poczęły robić bokami i ziajać ciężko.

Wówczas zaniepokojony w duszach, ale upojony krwią i rozszalały lud począł krzyczeć przeraźliwymi głosami:

— Lwów! lwów! wypuścić lwy!...

Lwy miały być zachowane na dzień następny, lecz Neron, któremu oklaski droższe były nad wszystko w świecie, nie opierał się nigdy woli widzów — tembardziej więc nie

oparł się teraz, kiedy chodziło o ułagodzenie rozdrażnionych po pożarze tłumów i o chrześcijan, na których chciał złożyć winę klęski.

Dał więc znak, by otworzono drzwi, co ujrawszy lud, uspokoił się natychmiast.

Usłyszano skrzypienie krat, za którymi były lwy. Psy na ich widok zbiły się w jedną kupę po przeciwległej stronie koła, skowycząc z cicha, one zaś poczęły jeden po drugim wytaczać się na arenę, ogromne, płowe, o wielkich kudłatych głowach. Sam Cezar zwrócił ku nim swą znudzoną twarz i przyłożył szkło do oka, aby przyglądać się lepiej. Towarzysze jego przywitali je oklaskami; tłum liczył na palcach, śledząc zarazem chciwie, jakie wrażenie czyni ich widok na klęczących w środku chrześcijanach, którzy znów jęli powtarzać niezrozumiałe dla wielu, a drażniące wszystkich słowa: „Dla Chrystusa! dla Chrystusa!“

Lecz lwy, jakkolwiek wygłodzone, nie spieszyły się do ofiar. Czerwonawy blask na arenie raził je, więc mrużyły oczy, jakby olśnione; niektóre wyciągały leniwie swe zło-tawe cielska, niektóre, rozwierając paszcze, ziewały, rzekłbyś chcąc pokazać widzom kły straszliwe.

Lecz następnie zapach krwi i podar-tych ciał, których mnóstwo leżało na arenie, począł na nie działać. Wkrótce ruchy ich

stały się niespokojne, grzywy jeżyły się, nozdrza wciągały chrapliwie powietrze. Jeden przypadł nagle do trupa kobiety z poszarpaną twarzą i ległszy przednimi łapami na ciele, jał zlizywać kolczastym językiem skrzepłe sople krwi, drugi zbliżył się do chrześcijanina, trzymającego na ręku dziecko, obszyte w skórę jelonka.

Dziecko trzęsło się od krzyku i płaczu, obejmując konwulsyjnie szyję ojca, ów zaś, pragnąc mu przedłużyć choć na chwilę życie, starał się oderwać je od szyi, by podać dalej klęczącym. Lecz krzyk i ruch podrażnił lwa. Nagle wydał krótki, urwany ryk, zgniótł dziecko jednym uderzeniem łapy i chwyciwszy w paszczę czaszkę ojca, zgruchotał w mgnieniu oka.

Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcijan. Kilka kobiet nie mogło powstrzymać okrzyków przerażenia, lecz lud zgłuszył je oklaskami, które wnet jednak uciszyły się, albowiem chęć patrzenia przemogła. Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rościęz jednym uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego

miejsca, gdzieby mogły je pożreć; inne w walce wzajemnej wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napelniając cały cyrk rykiem. Ludzie wstawali z miejsc. Inni, opuszczając siedzenia, schodzili przedziałami niżej, by widzieć lepiej i tłoczyli się w nich na śmierć. Zdawało się, że uniesione tłumy rzucają się wkońcu na samą arenę i poczną rozdzierać razem z lwami. Chwilami słychać było nieludzki wrzask, chwilami oklaski, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie psów, chwilami jęki tylko.

Cezar, trzymając szkło przy oku, patrzył teraz uważnie. Twarz Petroniusza przybrała wyraz oburzenia i pogardy. Chilona poprzednio już wyniesiono z cyrku, a z kurytarzy wypychano coraz nowe ofiary.

Z najwyższego rzędu siedzeń spoglądał na nie Piotr Apostoł. Nikt na niego nie patrzył, wszystkie bowiem głowy zwrócone były ku arenie, więc wstał i jako niegdyś w podmiejskim ogrodzie błogosławił na śmierć i na wieczność tym, których miano pochwycić, tak teraz zęgnął krzyżem ginących pod kłami zwierząt, i ich krew, i ich mękę, i martwe ciało, zmienione w niekształtne bryły, i dusze ulatujące z krwawego piasku.

Niektórzy podnosili ku Apostołowi oczy, a wówczas rozjaśniały im się twarze i uśmie-

chali się, widząc nad sobą, hen, w górze, znak krzyża. Jemu zaś rozdzierało się serce i mówił:

— O Panie! bądź wola Twoja, bo na chwałę Twoją, na świadectwo prawdy giną te owce moje! Tyś mi je paść rozkazał, więc zdaję Ci je, a Ty porachuj je, Panie, weź je, zagoj ich rany, ukoj ich boleść i daj im więcej jeszcze szczęścia, niż tu męki doznali.

I żegnał jednych po drugich, gromadę po gromadzie, z miłością tak wielką, jak gdyby byli jego dziećmi, które oddawał wprost w ręce Chrystusa.

Wtem Cezar, czy to z zapamiętania, czy chcąc, by igrzysko przeszło wszystko, co dotąd widziano w Rzymie, dał rozporządzenie stojącemu obok siebie niewolnikowi, który natchmiał wyszedł.

I nawet lud zdumiał się już, gdy po chwili ujrzął znów otwierające się kraty. Wypuszczono teraz zwierzęta różnego rodzaju: tygrysy, pantery, niedźwiedzie, wilki, hyeny i szakale. Cała arena pokryła się jakby ruchomą falą skór pręgowanych. Powstał zamęt, w którym oczy nie mogły już nic rozróżnić, prócz okropnego przewracania się i kłębienia grzbietów zwierzęcych. Widowisko straciło pozór rzeczywistości, a zmieniło się jakby w straszny sen. Miara była przebrana. Wśród ryków, wycia

i skowyczenia, odezwały się tu i owdzie na ławach widzów przeraźliwe płacze kobiet, których siły wyczerpały się wreszcie. Ludziom uczyniło się straszno. Twarze zmierzchły. Rozliczne głosy poczęły nawet wołać: „Dostyć! dosyć!”

Lecz zwierzęta łatwiej było wpuścić, niż je wypędzić. Cezar znalazł jednak sposób oczyszczenia z nich areny, połączony z nową dla ludu rozrywką. We wszystkich przedziałach wśród ław pojawiły się zastępy czarnych niewolników, strojnych w pióra, z łukami w ręku. Lud odgadł, co nastąpi i przywitał ich okrzykiem zadowolenia, oni zaś zbliżyli się do obrębu i przyłożywszy łuki do cięciw, poczęli szyc z łuków w gromady zwierząt. Było to istotnie nowe widowisko. Warkot cięciw i świst strzał mieszał się z wyciem zwierząt i okrzykami podziwu widzów. Wilki, niedźwiedzie, pantery i ludzie, którzy jeszcze zostali żywi, padali pokotem obok siebie. Tu i owdzie lew, poczuwszy grot w boku, zwracał nagłym ruchem zmarszczoną z wściekłości paszczę, by schwycić i zdruzgotać strzałę. Inne jęczały z bólu. Drobiazg zwierzęcy, wpadłszy w popłoch, przebiegał na oślep arenę, lub bił głowami o kraty. A tymczasem strzały warczały i warczały ciągle, dopóki wszystko, co żywe, nie legło w ostatnich drganiach konania.

Wówczas na arenę wpadły setki niewolników cyrkowych, zbrojnych w rydle, łopaty, miotły, taczki, kosze do wynoszenia wnętrzności i wozy z piaskiem. Jedni napływali za drugimi i na całym kolisku zawrzała gorączkowa czynność. Wnet oczyszczono je z trupów, krwi i kału, przeryto, zrównano i potrząsnięto grubą warstwą świeżego piasku. Potem wbiegły dzieci, rozrzucając listki z róż, lilii i przeróżnego kwiecica. Zapalono na nowo kadziehnice i zdjęto zasłonę, bo już słońce zniżyło się znacznie. Tłum zaś, spoglądając po sobie ze zdziwieniem, zapytywał się wzajem, co za widowisko czeka go jeszcze w dniu dzisiejszym.

Jakoż czekało takie, którego nikt się nie spodziewał. Oto Cezar, który od niejakiemu czasu opuścił swoje miejsce, ukazał się nagle na ukwiecionej arenie, przybrany w purpurowy płaszcz i złoty wieniec.

Dwunastu śpiewaków postępowало za nim, on zaś, trzymając srebrną lutnię, wystąpił uroczystym krokiem na środek i skłoniwszy się kilka razy widzom, stał jakiś czas w milczeniu.

Poczem uderzył w struny i zaczął śpiewać. Pieśń była żałosna, pełna bólu skargi, którą napisał sam, pod wrażeniem widoku pożaru Rzymu. Lud słuchał cicho, a gdy

Cezar skończył, wybuchnął długo nieustającą burzą oklasków.

Tymczasem z zewnątrz, przez otwarte dla przewiewu drzwi, dochodziło skrzypienie wozów, na których składano krwawe szczątki chrześcijan, mężczyzn, kobiet i dzieci, aby je wywieźć do strasznych dołów, gdzie je wspólnie składano.

A Piotr Apostoł objął rękoma swą siwą, drżącą głowę i wołał w duchu:

— Panie! Panie! komuś Ty oddałeś rząd nad światem? i dlaczego chcesz założyć Swoją Stolicę w tem mieście?...

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi i zdawało się roztopiać w zorzach wieczornych. Widowisko było skończone. Tłumy poczęły opuszczać cyrk i wylewać się na miasto. Cezar wrócił jeszcze na swoje miejsce, by słuchać pochwał, to też otoczyły go niebawem roje dworaków nieszczędzących pochlebstw.

Neron jednak nie był zadowolony. Jakkolwiek widzowie nie szczędzili mu oklasków, zaraz po skończeniu pieśni, dla niego nie było to dosyć, spodziewał się bowiem zapалу, dochodzącego do szaleństwa. Niebawem dał też znak ręką niewolnikom, którzy nosili przed nim pochodnie i opuścił cyrk.

Noc była jasna, ciepła. Tłumy snuły się jeszcze, ciekawe widzieć odjazd Cezara, ale

jakieś posępne i milczące. Tu i owdzie odezwał się poklask i ścichł zaraz. Z podwórzki skrzypiące wozy wywoziły wciąż ciała chrześcijan.

XII.

Petroniusz i Winiciusz odbywali drogę w milczeniu. Dopiero w pobliżu domu Petroniusz zapytał:

— Czy myślałeś o tem, com ci powiedział?

— Tak jest — odrzekł Winiciusz.

Tymczasem stanęli u drzwi. W tej chwili jakaś ciemna postać zbliżyła się do nich, pytając:

— Czy tu jest szlachetny Winiciusz?

— Tak, czego chcesz?

— Jestem Nazariusz, syn wdowy, u której mieszkała Ligia, idę z więzienia i przynoszę ci wieści od niej. Żyje dotąd — mówił dalej. — Ursus przysłała mnie do ciebie, panie, aby ci powiedzieć, że ona w gorączce modli się i powtarza imię twoje.

A Winiciusz odrzekł:

— Chwała Chrystusowi!

Poczem wzięwszy Nazariusza, poprowadził go w głąb domu. Po chwili jednak nadszedł Petroniusz, aby słyszeć ich rozmowę.

— Ursus i Glaukus-lekarz czuwają nad nią dzień i noc — mówił młody chłopiec.

— Czy stróże zostali ci sami?

— Tak, panie i ona jest w ich izbie. Ci więźniowie, którzy byli w dolnem więzieniu, pomarli wszyscy na gorączkę, lub podusili się z zaduchu.

— Ktoś ty jest? — zapytał Petroniusz.

— Szlachetny Winiciusz mnie zna. Jestem synem wdowy, u której mieszkała Ligia.

— Chrześcijaninem?

Chłopiec spojrzał pytającym wzrokiem na Winiciusza, ale widząc, że ów modli się w tej chwili, podniósł głowę i rzekł:

— Tak jest.

— Jakim sposobem możesz wchodzić swobodnie do więzienia?

— Nająłem się, panie, do wynoszenia ciał zmarłych, a uczyniłem to umyślnie, aby przychodzić z pomocą braciom moim i przynosić im wieści z miasta.

Wtem Winiciusz przestał się modlić i rzekł:

— Powiedz stróżom, by włożyli ją do trumny, jako umarłą. Ty dobierz pomocników, którzy w nocy wyniosą ją razem z tobą. W pobliżu cuchnących dołów znajdziecie czekających z lektyką ludzi, którym oddacie trumnę. Stróżom obiecaj ode mnie, że dam im tyle złota, ile każdy w płaszczu będzie mógł unieść.

I gdy tak mówił, twarz jego straciła zwykłą martwość, zbudził się w nim żołnierz, któremu nadzieja wróciła dawną energię.

Nazariuszowi twarz rozjaśniła się radością i wzniosłszy ręce, zawołał:

— Niech Chrystus uzdrowi ją, albowiem będzie wolna!

— Myślisz, że stróże się zgodzą? — spytał Petroniusz.

— Oni, panie? Byle widzieli, że nie spotka ich za to kara i męka!

— Tak jest! — rzekł Winiciusz. — Stróże chcieli się zgodzić nawet na jej ucieczkę, tembardziej pozwolą ją wynieść jako umarłą.

— Jest wprawdzie człowiek — rzekł Nazariusz — który sprawdza rozpalonem żelazem, czy ciała, które wynosimy, są martwe. Ale ten za bardzo małą opłatą nie dotyka twarzy zmarłych, jak mu kazano, lecz ciała; za większą, dotknie trumny, nie ciała.

— Powiedz mu, że dostanie pełną kabzę złota — rzekł Petroniusz. — Ale czy potrafisz dobrać pewnych pomocników?

— Potrafię dobrać takich, którzyby za pieniądze sprzedali własną żonę i dzieci.

— Gdzie ich znajdziesz?

— W samem więzieniu, lub na mieście. Stróże raz zapłaćeni, wprowadzą kogo zechcą.

— W takim razie wprowadzisz jako najemnika mnie — rzekł Winiciusz.

Ale Petroniusz zaczął mu odradzać, aby tego nie uczynił. Żołnierze mogliby go poznać w przebraniu i wszystkoby przepadło.

— Ani w więzieniu, ani przy cuchnących dołach! — mówił. — Trzeba, żeby wszyscy byli przekonani, że ona umarła, inaczej nakazaliby pościg. Podejrzenia możemy uspić, gdy zostaniemy w Rzymie. W tydzień lub dwa dopiero, ty zachorujesz. wezwiesz lekarza Neronowego, który ci każe wyjechać w góry. Wówczas odnajdziesz ją.

— Niech Chrystus zmiłuje się nad nią — rzekł Winiciusz — bo ty mówisz o wyjeździe, a ona jest chora i może umrzeć.

— Ja uleczy samo powietrze, bylebyśmy ją wyrwali z więzienia. Żali nie masz gdzie w górach jakiego dzierżawcy, któremu mógłbyś zaufać?

— Tak jest! Mam! tak! — odpowiedział spiesźnie Winiciusz. — Jest w górach człowiek pewny, który mnie na ręku nosił, gdym był jeszcze dzieckiem i który miłuje mnie dotychczas.

Petroniusz rzekł mu:

— Napisz do niego, by przybył tu jutro. Gońca wyślę natychmiast.

W kilka chwil potem konny posłaniec ruszył na noc w drogę.

— Chciałbym — rzekł Winiciusz — by Ursus towarzyszył jej w drodze... Byłbym spokojniejszy.

— Panie — rzekł Nazariusz — człowiek to nadludzkiej siły, który wyłame kratę i pójdzie za nią. Jest jedno okno nad stromą, wysoką ścianą, pod którą nie stoi straż. Przyniosę Ursusowi sznur, a resztę on sam zrobi.

— Niemożliwe! — zawołał Petroniusz — niech się wrywa, jak mu się podoba, ale nie razem z nią i nie we dwa lub trzy dni po niej: poszliby za nim i odkryli jej schronienie. Czy chcecie zgubić siebie i ją?

Oni obaj uznali słuszość jego uwagi i umilkli. Poczem Nazariusz zaczął się żegnać, obiecując przyjść nazajutrz o świcie.

Ze stróżami miał nadzieję ułożyć się jeszcze tej nocy, ale przedtem chciał wpaść do matki, która z powodu niepewnych i strasznych czasów, nie miała o niego chwili spokoju.

Na samem odchodnem jednak zatrzymał się jeszcze i wzięwszy na stronę Winiciusza, począł mu szeptać:

— Panie, nie wspomnę o naszym zamiarze nikomu, nawet matce, ale Piotr Apostoł obiecał przyjść do nas z cyrku i jemu powiem wszystko.

— Możesz w tym domu mówić głośno — odpowiedział Winiciusz. — Piotr Apostoł był

w cyrku z ludźmi Petroniusza. Zresztą sam pójde z tobą.

I kazał sobie podać płaszcz niewolniczy, poczem wyszli...

O wschodzie słońca przybył wezwany dzierżawca Niger, przyprowadziwszy ze sobą, zgodnie z poleceniem Winiciusza, muły, lektykę i czterech pewnych ludzi.

Winiciusz, który nie spał całą noc, wyszedł na jego spotkanie, zabrał go do wnętrza domu i tam przypuścił do tajemnicy. Niger słuchał ze skupioną uwagą i na jego czerstwej, ogorzałej twarzy znać było wielkie wzruszenie.

— Więc ona jest chrześcijanką — zawołał.

I począł patrzeć badawczo w twarz Winiciusza, a ten odgadł widocznie, o co pyta go wzrok wieśniaka, albowiem odrzekł:

— I ja jestem chrześcijaninem...

Wówczas w oczach Nigra błysnęły łzy; przez chwilę milczał, następnie wzniosłszy do góry ręce, rzekł:

— O! dzięki Ci, Chryste, żeś zdjął zasłonę z najdroższych mi w świecie oczu.

Poczem objął głowę Winiciusza i płacząc ze szczęścia, począł całować jego czoło.

W chwilę potem nadszedł Petroniusz, prowadząc ze sobą Nazariusza.

— Dobre wieści! — rzekł zdala.

Jakoż wieści były dobre. Naprzód Glaukus-lekarz zaręczał za życie Ligii, jakkolwiek miała tę samą gorączkę więzienną, na którą umierały codziennie setki ludzi. Co do stróżów i co do człowieka, który sprawdzał śmierć rozpalonem żelazem, nie było najmniejszych trudności. Pomocnik był również już ugodzony, bo postanowiono, że wyniosą ją tylko ludzie, do służby więziennej należący.

— Poczyniliśmy otwory w trumnie, aby chora mogła oddychać — mówił Nazariusz. — Całe niebezpieczeństwo w tem, by nie jęknęła lub nie odezwała się w chwili, gdy będziemy przechodzili koło żołnierzy. Ale ona jest osłabiona bardzo i od rana leży z zamkniętymi oczyma. Zresztą Glaukus da jej napój usypiający, który sam urządzi z przyniesionych przeze mnie lekarstw. Wieko trumny nie będzie przybite. Podniesiecie je łatwo i zabierzecie chorą do lektyki, my zaś włożymy do trumny podłużny wór z piaskiem, który miejcie gotowy.

Winiciusz, słuchając tych słów, blady był jak płótno, lecz słuchał z tak natężoną uwagą, iż zdawał się naprzód odgadywać, co Nazariusz ma powiedzieć.

— Czy innych jakich ciał nie będą wynosili z więzienia? — zapytał Petroniusz.

— Zmarło dzisiajszej nocy około dwudziestu ludzi, a do wieczora umrze jeszcze kilkunastu — odrzekł chłopiec — my musimy iść z całym orszakiem, ale będziemy się ociągali, by zostać w tyle. Na pierwszym skrucie towarzyszy mój umyślnie zakuleje. W ten sposób pozostaniemy znacznie za innymi. Wy oczekujcie nas koło małej świątynki, która stoi przy drodze. Oby Bóg dał noc jak najciemniejszą!

— Bóg da — rzekł Niger. — Wczoraj był wieczór jasny, potem nagle zerwała się burza. Dziś Niebo znów pogodne, ale parno od rana. Co noc będą teraz bywały deszcze i burze.

— Czy idziecie bez świateł? — spytał Winiciusz.

— Na przedzie tylko niosą pochodnie. Wy na wszelki wypadek bądźcie koło świątyni, jak tylko się ściemni, chociaż wynosimy zwykle trupy przed samą północą.

Umilkli. Słuchać było tylko spieszny oddech Winiciusza.

Petroniusz zwrócił się do niego.

— Mówilem wczoraj — rzekł — że lepiej było, gdybyśmy obaj pozostali w domu. Teraz widzę jednak, że mnie samemu niepodobna będzie usiedzieć... Zresztą, gdyby chodziło o ucieczkę, trzeba by zachowywać wię-

cej ostrożności; ale skoro ją wyniosą jako umarłą, zdaje się, że nikomu najmniejsze po-dejście nie przejdzie przez głowę.

— Tak! tak! — odpowiedział Winiciusz — ja muszę tam być, sam ją wyjmę z trumny...

— Gdy raz będzie w moim domu, odpowiadam za nią — rzekł Niger.

Na tem skończyła się rozmowa. Niger udał się do gospody, do swoich ludzi. Nazariusz, zabrawszy woreczek złota dla stróżów, wrócił do więzienia. Dla Winiciusza rozpoczął się dzień, pełen niepokoju i oczekiwania.

— Sprawa powinna się udać, bo jest dobrze obmyślana — mówił mu Petroniusz — ale czy ty jesteś zupełnie pewny twego dzierżawcy?

— To chrześcijanin — odrzekł Winiciusz.

Petroniusz spojrział na niego ze zdziwieniem, poczem jął ruszać ramionami i mówić jakby sam do siebie:

— Jak się to jednak szerzy! jak się szerzy i jak się trzyma dusz ludzkich! i jak je to zmienia! Wierzy mu, bo chrześcijanin, a więc chrześcijanin nie może zdradzić, złamać przyrzeczenia, wyrządzić krzywdy... Pod taka grozą poganie wyrzekliby się od razu wszystkich swoich bogów, a ci umierają dla swego Chrystusa...

Po chwili rozeszli się. Petroniusz wrócił w głąb domu, a Winiciusz udał się do chaty kopacza, w której otrzymał chrzest z rąk Apostoła.

Zdawało mu się, że w tej chacie Chrystus wysłucha go prędzej, niż gdzieindziej, więc odnalazłszy ją i rzuciwszy się na ziemię, wyteżył wszystkie siły swej zbolelej duszy w modlitwie o litość — i zapamiętał się w niej tak, że zapomniał gdzie jest i co się z nim dzieje.

Po południu już zbudził go odgłos trąb, dochodzący od strony cyrku Neronowego. Wyszedł wówczas z chaty i począł spoglądać naokół oczyma, jakby świeżo ockniętemi ze snu. Na świecie był upał i cisza, niebo nad miastem było jeszcze błękitne, ale w stronie gór zbierały się już nisko ciemne chmury.

Winiciusz wrócił do domu. Tam czekał na niego Petroniusz.

— Czy nie było jakich wiadomości od Nigra albo od Nazariusza? — spytał Winiciusz.

— Nie. Zobaczymy ich dopiero o północy. Uważałeś, że zapowiada się burza?

— Tak.

— Jutro ma być widowisko z chrześcijan ukrzyżowanych. Może jednak deszcz przeskodzić.

To rzekłszy, zbliżył się do Winiciusza i dotknawszy ramienia jego, rzekł:

— Ale jej nie zobaczysz na krzyżu...
Wieczór już blisko.

Jakoż wieczór się zbliżał, a ciemność poczęła ogarniać miasto wcześniej, niż zwykle, z powodu chmur, które zakryły całe Niebo. Z nadejściem nocy spadł gęsty deszcz. Potem naprzemian, to czyniło się cicho, to znów przechodziły krótkie ulewę.

— Spieszmy się — rzekł Winiciusz — z powodu burzy mogą wcześniej wywieźć ciała z więzienia.

— Czas! — odpowiedział Petroniusz.

I wziawszy płaszcze z kapturami, wyszli przez drzwiczki od ogrodu na ulicę.

Miasto było z powodu burzy puste. Od czasu do czasu rozdierały chmuzy błyskawice, przy których świetle ujrzeli wreszcie, po dość długiej drodze, kopiec, na którym stała maleńka świątynia, a pod kopcem grupę, złożoną z mułów i ludzi.

— Niger! — zawołał po cichu Winiciusz.

— Jestem, panie! — odezwał się głos wśród deszczu.

— Wszystko gotowe?

— Tak jest, panie. Jak tylko ściemniło się, byliśmy na miejscu. Ale schrońcie się pod okop, bo przemokniecie na wskroś. Co za burza! Myślę, że spadną grad.

Jakoż niebawem począł grad sypać, z początku drobny, potem coraz grubszy i gęstszy. Powietrze oziębiło się natychmiast.

Oni zaś, stojąc pod okopem, zakryci od wiatru i lodowych pocisków, rozmawiali zniżonymi głosy.

— Choćby nas kto ujrział — mówił Niger — nie będzie miał żadnych podejrzeń, bo wyglądamy na ludzi, którzy chcą przeczekać burzę. Ale obawiam się, żeby nie odłożono wynoszenia trupów do jutra.

— Grad nie będzie padał długo — rzekł Petroniusz. — Musimy czekać choćby do brzasku.

Jakoż czekali, nasłuchując, czy nie doleci ich odgłos pochodu. Grad przeszedł istotnie, ale zaraz potem poczęła szumieć ulewa.

Chwilami zrywał się wiatr i niósł od strony cuchnących dołów straszny zapach rozkładających się ciał, które grzebano płytko i nie dbale.

Wtem Niger rzekł:

— Widzę przez mgłę światelko... jedno, dwa, trzy... to pochodnie.

I zwrócił się do ludzi:

— Uważać, by muły nie parowały!...

— Idą — rzekł Petroniusz.

— Jakoż światła stawały się coraz wyraźniejsze. Po chwili można było już roz-

różnić chwiejące się pod powiewem wiatru płomienie pochodni.

Niger począł się żegnać znakiem krzyża i modlić. Tymczasem posępny korowód nadciągnął bliżej i wreszcie, zrównawszy się ze świątynką, zatrzymał się. Petroniusz, Winiciusz i Niger przycisnęli się w milczeniu do kopca, nie rozumiejąc, co to znaczy. Lecz tamci zatrzymali się tylko dlatego, by poobwiązywać sobie usta szmatami, dla ochrony od duszącego smrodu, który przy samych cuchnących dołach był wprost nie do zniesienia, poczem podnieśli nosze z trumnami i poszli dalej.

Jedna tylko trumna zatrzymała się naprzeciw świątynki.

Winiciusz skoczył ku niej, a za nim Petroniusz, Niger i dwaj niewolnicy z lektyką.

Lecz nim dobiegli, w ciemności dał się słyszeć pełen żalu głos Nazariusza:

— Panie, przenieśli ją wraz z Ursusem do innego więzienia... porwali ją przed północą!... A my — niesiemy inne ciało...

XIII.

Trzydniowy deszcz i grady, padając nie tylko w dzień i wieczorem, ale nawet wśród nocy, przerwały widowiska. Lud począł się trwożyć, by nie zaniechano ich zupełnie i jał się domagać, aby bez względu na niepogodę

przyspieszono dalszy ciąg igrzysk. Radość więc ogarnęła cały Rzym, gdy ogłoszono wreszcie, że po trzech dniach przerwy widowiska rozpoczną się na nowo.

Wróciła piękna pogoda. Od świtu już tysiączne tłumy otaczały cyrk, czekając na jego otwarcie, a tymczasem na arenie poczęto kopać doły jeden przy drugim, rzędami, przez całe kolisko, od brzegu do brzegu, tak, że ostatni ich szereg przypadł o kilkanaście kroków od cesarskiego siedzenia.

Z zewnątrz cyrku dochodził gwar ludu, krzyki i oklaski, a tu czyniono z gorączkowym pospiechem przygotowania do nowych mak. Naraz otwarły się wrota i ze wszystkich otworów, prowadzących na arenę, poczęto wypędzać gromady chrześcijan, nagich i dźwigających krzyże na ramionach. Zaroiło się od nich całe kolisko. Biegli starce pochyleni pod ciężarem drewnianych bierwion, obok nich mężczyźni w sile wieku, kobiety z rozpuszczonemi włosami, pod którymi starały się ukryć swą nagość, chłopięta niedorośle i całkiem małe dzieci.

Krzyże i ofiary uwieńczone były kwiatami. Służba cyrkowa, ćwicząc nieszczęsnych batami, zmuszała ich, by układali krzyże wedle gotowych dołów i sami stawali przy nich szeregiem. W ten sposób mieli zginać ci, któ-

rych pierwszego dnia igrzysk nie zdążono wypchnąć na pastwę psom i dzikim zwierzętom. Teraz chwyтали ich czarni niewolnicy i kładąc ofiary na wznak na drzewie, poczęli przybijać im ręce do przecznic gorliwie i szybko. W całym budynku rozległ się huk młotów, wrzała robota, gwoździe pograżały się w ręce i nogi chrześcijan, warczały łopaty, zasypujące ziemią doły, w które wstawiano krzyże.

Lecz między ofiarami, na które dopiero za chwilę miała przyjść kolej, był Kryspus. Lwy nie miały czasu go rozedrzeć, więc przeznaczono mu krzyż, on zaś, gotów na śmierć, radował się myślą, że nadchodzi jego godzina. Wyglądał dziś inaczej, albowiem wyschłe ciało jego było obnażone zupełnie, tylko przepaska bluszczowa okrywała mu biodra, na głowie zaś miał wieniec z róż. Ale w oczach błyszczała mu zawsze ta sama niepożyta energia i taż sama surowa twarz wychylała się z pod wieńca. Nie zmieniło się też jego serce, albowiem jak niegdyś groził Ligii gniewem Bożym, tak i dziś gromił, zamiast pocieszać.

— Dziękujcie Zbawicielowi — mówił — że pozwala wam umrzeć taką śmiercią, jaką sam umarł. Może część win waszych będzie dziś wam za to odpuszczona, drżycie wszelako, albowiem sprawiedliwości musi się stać

zadość — i nie może być jednakowej nagrody dla złych i dobrych.

A słowem jego wtórował odgłos młotów, którymi przybijano ręce i nogi ofiar. Coraz więcej krzyżów wznosiło się na arenie, on zaś, zwracając się do gromady tych, którzy stali jeszcze, każdy przy swoim drzewie, mówił dalej:

— Widzę otwarte Niebo, ale widzę i otchłań... Sam nie wiem, jako zdam sprawę Panu z żywota mego, chociażem wierzył i nie-nawidziłem złego — i nie śmierci się lękam, lecz zmartwychpowstania, nie męki, lecz sądu, albowiem następuje dzień gniewu...

A wtem z pomiędzy bliższych rzędów odezwał się jakiś głos spokojny i uroczysty.

— Nie dzień gniewu, ale miłosierdzia, dzień zbawienia i szczęśliwości, albowiem powiadam wam, że Chrystus przygarnie was, pocieszy i posadzi na prawicy Swojej. Ufajcie, bo oto Niebo otwiera się przed wami.

Na te słowa wszystkie oczy zwróciły się ku ławkom; nawet ci, którzy już wisieli na krzyżach, podnieśli blade, umęczone głowy i poczęli patrzeć w stronę mówiącego męża.

A on zbliżył się do przegrody, otaczającej arenę i począł żegnać znakiem Krzyża.

Kryspus wyciągnął ku niemu ramię, jakby chcąc zgromić, lecz ujrzawszy jego twarz,

opuścił dłoń, poczem kolana zgięły się pod nim, a usta wyszeptaly:

— Apostoł Paweł!...

Ku wielkiemu zdziwieniu służby cyrkowej poklękali wszyscy, których nie zdążono dotąd poprzybijać, zaś Paweł z Tarsu zwrócił się do Kryspa i rzekł:

— Kryspie, nie groź im, albowiem dziś jeszcze będą w Raju. Ty mniemasz, że mogą być potępieni? Lecz któż je potępi? Żali uczyni to Bóg, który oddał za nie Syna Swego? Żali Chrystus, który umarł dla ich zbawienia, jako oni umierają dla Imienia Jego? I jakoż może potępić Ten, który miłuje? Kto będzie skarżył na wybrane Boże? Kto powie na tę krew: Przeklęta!?

— Panie, nienawidziłem złego — odrzekł stary kapłan.

— Chrystus więcej jeszcze nakazał miłować ludzi, niż nienawidzić złego, albowiem nauka Jego miłością jest, nie nienawiścią...

— Zgrzeszyłem w godzinę śmierci — odrzekł Kryspus

I począł się bić w piersi.

Wtem zarządca ławek zbliżył się ku Apostołowi i zapytał:

— Kto jesteś, który przemawiasz do skazanych?

— Obywatel rzymski — odparł spokojnie Paweł.

Poczem zwróciwszy się do Kryspa, rzekł:

— Ufaj, gdyż dzień to jest łaski i umrzej w spokoju, sługo Boży.

Dwaj murzyni zbliżyli się w tej chwili do Kryspa, aby położyć go na drzewie, lecz on spojrział raz jeszcze naokół i zawołał:

— Bracia moi, módlcie się za mnie!

I twarz jego straciła zwykłą surowość: kamienne rysy przybrały wyraz spokoju i słodyczy. Sam rozciągnął ręce wzdłuż ramion krzyża, aby ułatwić robotę i patrząc wprost w Niebo, począł modlić się żarliwie. Zdawał się nie nie czuć, albowiem gdy gwoździe zagłębiały się w jego ręce, najmniejsze drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, ani na obliczu nie pojawiła się żadna zmarszczka bólu: modlił się, gdy przybijano mu nogi, modlił się, gdy wznoszono krzyż i udeptywano naokół ziemię. Dopiero, gdy tłumy ze śmiechem i okrzykami poczęły napępniać cyrk, brwi starca ściągnęły się nieco, jakby się gniewał, że pogański lud miesza mu ciszę i spokój słodkiej śmierci.

Lecz przedtem jeszcze wzniesiono wszystkie krzyże, tak, że na arenie stanął jakby las z wiszącymi na drzewach ludźmi. Na ramiona krzyżów i na głowy męczenników

padał blask słońca, na arenę zaś grube cienie tworzące jakby czarną, popłataną kratę, wśród, której przeświecał żółty piasek. Było to widowisko, w którym dla ludu całą rozkosz stanowiło przypatrywanie się powolnemu konaniu. Lecz nigdy dotąd nie widziano takiej gęstwy krzyżów. Arena była nabita nimi tak szczelnie, że służba z trudnością mogła się między nimi przeciskać. Na obrębie wisiały przeważnie kobiety, lecz Kryspa, jako przywódcę, wzniesiono tuż prawie przed siedzeniem cesarskiem, na ogromnym krzyżu, spowitym u spodu w wiciokrew. Nikt z ofiar jeszcze nie skonał, ale niektórzy z tych, których przybijano najpierw, pomdleli. Nikt nie jęczał i nie wołał o litość. Niektórzy wisieli z głowami pochylonemi na ramiona, lub pospuszczanemi na piersi, jakby ujęci snem; niektórzy jakby w zamysleniu, niektórzy patrząc jeszcze ku Niebu, poruszali z cicha ustami. W tym strasznym lesie krzyżów, w tych porozpinanych ciałach, w milczeniu ofiar, było jednak coś złowrogiego. Lud, który rozweselony wchodził z okrzykami do cyrku, umilkł, nie wiedząc, na którym ciełe oczy zatrzymać i co myśleć. Nie czyniono nawet zwykłych zakładów o to, kto prędzej skona, które czyniono zwykle, gdy na arenie zjawiała się mniejsza ilość skazanych. Zdawało się, że Cezar nudzi się także, albo-

wiem przekręciwszy głowę, poprawiał leniwym ruchem naszyjnik z twarzą ospałą i senną.

Wtem wiszący naprzeciw Kryspus, który przed chwilą oczy miał zamknięte, jak człowiek omdlały lub konający, otworzył je i począł patrzeć na Cezara.

Twarz jego przybrała znów wyraz tak nieubłagany, a wzrok zapłonął takim ogniem, że wszyscy poczęli szeptać między sobą, ukazując go palcami, a wkońcu sam Cezar zwrócił na niego uwagę i ociężale przyłożył szkło do oka.

Nastąpiła cisza zupełna. Oczy widzów utkwione były w Kryspusa, który próbował poruszyć prawą ręką, jakby ją chciał odebrać od drzewa.

Po chwili pierś wzdęła mu się, zebra wystały na wierzch i począł wołać:

— Matkobójco! biada ci!

Dworzanie, posłyszawszy śmiertelną obelgę, rzuconą panu świata wobec tysięcznych tłumów, nie śmieli oddychać. Chilon zmartwiał. Cezar drgnął i wypuścił z palców szkło.

Lud zatrzymał również dech w piersiach. Głos Kryspa rozlegał się coraz potężniej w całym cyrku:

— Biada ci, morderco żony i brata, biada ci, antychryście! Otchłań otwiera się pod tobą, śmierć wyciąga po ciebie ręce i grób cię czeka.

Biada ci, żywy trupie, albowiem umrzesz w przerażeniu i potępiony będziesz na wieki!...

I nie mogąc oderwać przybitej dłoni od drzewa, rozciągnięty okropnie, straszny, za życia jeszcze do kościotrupa podobny, nieugięty, jak przeznaczenie, trząsł białą brodą nad Neronem, rozpraszając zarazem ruchami głowy liście róż z wieńca, który mu nałożono na czaszkę.

— Biada ci, morderco! przebrana jest twoja miara i czas twój zbliża się!...

Tu wyteżył się raz jeszcze; zdawało się przez chwilę, że oderwie dłoń od krzyża i wyciągnie ją groźnie nad Cezarem, lecz nagle wychudłe jego ramiona wydłużyły się jeszcze bardziej, ciało obsunęło się ku dołowi, głowa opadła mu na piersi — i skonał.

Wśród lasu krzyżowego słabsi poczęli też już zasypiać snem wiecznym.

* * *

— Panie — mówił teraz Chilon — morze jest takie spokojne, że zdaje się spać. Jedźmy do Grecyi. Tam czeka cię sława, będziesz grał i śpiewał, lud zasypie cię wieńcami, będzie cię ubóstwiał, tu zaś, panie...

I przerwał, albowiem dolna warga zaczęła mu się trząść tak silnie, że jego słowa przeszły w niezrozumiałe dźwięki.

— Pojedziemy po skończonych igrzyskach — odrzekł Neron. — Wiem, że i tak już niektórzy nazywają chrześcijan „niewinnymi ofiarami.“ Gdybym odjechał, zaczęliby to powtarzać wszyscy. Czego ty się boisz, zmurszała bedlko?

To rzekłszy, zmarszczył brwi, lecz począł patrzeć pytająco na Chilona, bo udawał tylko, że się nie boi. Na ostatniem przedstawieniu sam zląkł się słów Kryspa i wróciwszy do domu, nie mógł zasnąć z wściekłości i wstydu, ale zarazem ze strachu.

Wtem ktoś odezwał się z boku:

— Słuchaj, panie, tego starca. W tych chrześcijanach jest coś dziwnego... Ich Bóstwo daje im śmierć lekką, ale może być mściwe.

— Na to Neron rzekł prędko:

— To nie ja urządzam igrzyska. To Tigellin.

— Tak jest! to ja — odpowiedział Tigellin, który dosłyszał odpowiedź Cezara. — To ja — i drwię sobie ze wszystkich bogów chrześcijańskich.

— To dobrze — rzekł Neron — ale każ odtąd chrześcijanom obcinać języki, albo kneblować usta.

— Zaknebluje im je ogień! — odrzekł Tigellin.

— Biada mi! — jęknął Chilon.

Lecz Cezar, któremu pewność siebie Tigellina dodała otuchy, począł się śmiać i rzekł, wskazując na starego Greka:

— Patrzcie, jak on wygląda.

Rzeczywiście Chilon wyglądał strasznie. Resztki włosów na czaszce pobielaly mu zupełnie, w twarzy zakrzepł mu wyraz jakiegoś niezmiernego niepokoju, strachu i pogńębienia. Wydawał się też chwilami jakby nieprzytomny. Często nie odpowiadał na pytania, czasem znów wpadał w gniew.

Taka chwila przyszła na niego i teraz.

— Róbcie ze mną co chcecie, a ja na igrzyska więcej nie pójdę! — zawołał rozpaczliwie.

Neron popatrzył na niego przez chwilę i zwróciwszy się do Tigellina, rzekł:

— Dopilnujesz, by w ogrodach był blisko mnie. Chcę widzieć, czy podobają mu się nasze pochodnie.

Chilon zląkł się jednak groźby, drgającej w głosie Cezara.

— Panie — rzekł — nic nie zobaczę, albowiem nie widzę w nocy.

A Cezar odpowiedział ze strasznym uśmiechem:

— Noc będzie jasna jak dzień.

Poczem zwrócił się do innych.

A Chilon pozostał chwilę w niemem osłupieniu, poczem zaczął szybko mówić, stłumionym głosem, jakby sam do siebie:

— Ja nie myślałem, że ich tak skarżą.

— Czy ci ich żal? — zapytał stojący obok Westinus.

— Poco wy rozlewacie tyle krwi? Słyszałeś, co tamten mówił z krzyża? Biada nam!

— Słyszałem — odpowiedział Westinus — ale to są podpalacze!

— Nieprawda!

— I nieprzyjaciele rodu ludzkiego!

— Nieprawda!

— I zatruwacze wód.

— Nieprawda!

— I mordercy dzieci.

— Nieprawda!

— Jakże? — zapytał ze zdziwieniem Westinus. — Tyś sam to mówił i wydałeś ich w ręce Tigellina.

— To też otoczyła mnie noc i śmierć idzie ku mnie... Czasem zdaje mi się, że już umarł i wy także.

— Nie! to oni mrą, a my jesteśmy żywi. Ale powiedz mi, co oni widzą, umierając?

— Chrystusa...

— To ich Bóg? czy to można Bóg?

Lecz Chilon odpowiedział również pytaniem:

— Co to za pochodnie mają się palić w ogrodach? Słyszałeś, co mówił Cezar?

— Słyszałem i wiem. Przybiorą ich w szaty napojone żywicą, przywiążą do słupów i podpala. Byłe tylko ich Bóg nie pomścił się za to i nie spuścił na miasto jakich klęsk. To straszna kaźń.

— Wolę to, bo nie będzie krwi — odpowiedział Chilon.

Inni rozmawiali przez ten czas także o chrześcijanach. Niektórzy drwili z nich. — Mnóstwo ich takie, mówili, że mogliby wojnę rozpocząć — i pamiętacie, iż obawiano się nawet, czy nie zechcą się bronić. A oni umierają, jak owce.

— Niechby spróbowali inaczej! — rzekł Tigellinus.

Na to odezwał się Petroniusz:

— Mylicie się. Oni się bronią.

— A to jakim sposobem?

— Cierpliwością.

— To nowy sposób.

— Zapewne. Ale czy możecie powiedzieć, że oni umierają tak, jak pospolici zbrodniarze? Nie. Oni umierają tak, jakby zbrodniami byli ci, którzy ich na śmierć skazują, to jest my i cały lud rzymski.

— Co za głupstwa! — zawołał Tigellinus.

Lecz inni, uderzeni trafnością jego uwagi, poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem i powtarzać:

— Prawda! jest coś odmiennego i osobliwego w ich śmierci.

— Mówię wam, że oni widzą swoje Bóstwo! — zawołał Westinus.

Wówczas kilku zwróciło się do Chilona.

— Hej, stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą?

— Zmartwychwstanie!... — odrzekł Grek i począł się trząść tak, że siedzący bliżej wybuchnęli głośnym śmiechem...

Od kilku dni Winiciusz spędzał noc za domem. Petroniuszowi przychodziło do głowy, że on może znów ułożył jakiś nowy plan i pracuje nad uwolnieniem Ligii, nie chciał go już jednak o nic pytać, by nie popsuć roboty.

Nie liczył zresztą i teraz na dobry wynik zabiegów Winiciusza. Więzienie, do którego przeniesiono Ligię, urządzone na prędce z piwnic domów, które zburzono dla położenia tamy pożarowi, nie było wprawdzie tak straszne jak pierwsze, ale było natomiast stokroć bardziej strzeżone. Petroniusz rozumiał doskonale, że przeniesiono ją tam tylko dlatego, by nie umarła i nie uniknęła męki, łatwo mu więc było domyśleć się, że właśnie

z tego powodu musza jej pilnować, jak oka w głowie.

— Widocznie — mówił sobie — Cezar wraz z Tigellinem przeznaczają ją na jakieś osobne, straszniejsze od wszystkich widowisko i Winiciusz prędzej sam zginie, niż zdoła ją wydobyć.

Winiciusz jednak stracił także nadzieję, czy potrafi ją wydobyć. Obecnie mógł to uczynić tylko Chrystus. Młodemu żołnierzowi chodziło już tylko o to, by mógł ją widywać w więzieniu.

Od niejakiego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że Nazariusz dostał się jednak do więzienia, jako najemnik do wynoszenia trupów — postanowił więc spróbować tej drogi.

Przekupiony za ogromną sumę dozorca „Cuchnących dołów“ przyjął go wreszcie do swojej czeladzi, która co noc wysyłał po trupy do więzień. Niebezpieczeństwo, by Winiciusz mógł być poznany, było małe. Chroniły od tego: noc, niewolniczy ubiór i złe oświetlenie więzień. Komu zresztą mogło przyjść do głowy, by on, bogaty i możny pan, mógł się znaleźć między czeladzią grabarską, narażoną na wyziewy więzień i „Cuchnących dołów“ — i jał się pracy, do której zmuszała ludzi tylko niewola lub niedza.

Lecz on, gdy nadszedł upragniony wieczór, z radością okręcił głowę szmatą, napojoną terpentyną i z bijącym sercem udał się wraz z gromadą do więzienia.

Straże nie czyniły im trudności, wszyscy bowiem zaopatrzeni byli w odpowiednie znaki, które setnik oglądał przy świetle latarni. Po chwili wielkie drzwi żelazne otworzyły się przed nimi i weszli.

Winiciusz ujrzał przed sobą obszerną, sklepioną piwnicę, z której przechodziło się do szeregu innych. Młde kaganki oświecały wnętrze, napełnione ludźmi. Niektórzy z nich leżeli pod ścianami, pogrążeni w śnie, lub może umarli. Inni otaczali wielkie naczynie z wodą, stojące w pośrodku, z którego pili, jak ludzie, trawieni gorączką, inni siedzieli na ziemi z łokciami, wspartymi o kolana i z głowami w dłoniach, gdzieś tam gdzieś spali, poprzytulane do matek. Naokół słychać było: to jęki i głośny, przyspieszony oddech chorych, to płacz, to szepty modlitwy, to pieśni nucone półgłosem, to przekleństwa dozorców. W podziemiu panował trupi zaduch i tłok. W mrocznych głębinach roily się ciemne postacie, bliżej zaś przy migotliwych płomykach widać było twarze wybladłe, przeżalone, zapadnięte i głodne, z oczyma zgaszłymi, albo płonącymi gorączką, ze zsinia-

łemi usty, ze strugami potu na czołach i pozlepianym włosiem. Po kątach majaczyli głośno chorzy, inni wołali o wodę, inni, by ich wieść na śmierć. A było to jednak więzienie mniej straszne od innych.

Pod Winiciuszem nogi zachwiały się na ten widok i w piersi zbrakło mu oddechu. Na myśl, że Ligia znajduje się wśród tej nędzy i niedoli, włosy powstały mu na głowie, a w piersiach zamarł krzyk rozpacz. Cyrk, kły dzikich zwierząt, krzyże — wszystko było lepsze od tych straszliwych, pełnych trupiego zaduchu podziemi, w których błagalne głosy ludzkie powtarzały ze wszystkich kątów:

— Prowadźcie nas na śmierć!

Wtem, tuż obok, odezwał się głos dozorca cuchnących dołów:

— A ile macie dziś trupów?

— Będzie z tuzin — odpowiedział strażnik więzienny — ale do rana będzie więcej, bo tam już niektórzy rzeżą pod ścianami.

I począł narzekać na kobiety, że ukrywają zmarłe dzieci, dlatego, by dłużej je mieć przy sobie i nie oddawać, póki można, do „Cuchnących dołów.“ Trzeba trupy poznawać dopiero po zapachu, przez co powietrze i tak straszne, psuje się jeszcze bardziej. Dozorca „dołów“ pocieszał go, mówiąc, że i jego służba nie jest lepsza. Przez ten czas Winiciuszowi

wróciło poczucie rzeczywistości i począł rozglądać się w podziemiu, w którem jednak napróżno szukał Ligii, myśląc przytem, że może jej wcale nie zobaczyć, dopóki będzie żywa.

Piwnic było kilkanaście, połączonych ze sobą świeżymi przekopami, czeladź zaś grabarska wchodziła tylko do tych, z których trzeba było zabierać ciała zmarłych, zdjął go więc strach, że to, co kosztowało tyle trudów, może mu na nic nie posłużyć.

Na szczęście dozorca przyszedł mu z pomocą.

— Ciała trzeba zaraz wynosić — rzekł — bo zaraza najbardziej szerzy się przez trupy. Inaczej pomrzecie i wy i więźniowie.

— Na wszystkie piwnice jest nas dziesięciu — odrzekł strażnik — i musimy przecie spać.

— To ja ci zostawię czterech moich ludzi, którzy w nocy będą chodzili po piwnicach i patrzyli, czy kto nie umarł.

Poczem wyznaczył czterech ludzi, a między nimi Winiciusza, z pozostałymi zaś zabrał się do wkładania trupów na nosze.

Winiciusz odetchnął. Był pewien przynajmniej tego, że teraz odnajdzie Ligię.

I najprzód począł przeglądać pierwsze podziemie. Zajrzał do wszystkich ciemnych kątów, do których prawie nie dochodził blask kaganka, obejrzał postacie, śpiące pod ścianami,

pod przykryciem płacht, obejrzał najcieżej chorych, których pozaciągano w kąć osobny, Ligii jednak nie mógł nigdzie odnaleźć. W drugiej i trzeciej piwnicy poszukiwania jego pozostały również bez skutku.

Tymczasem godzina uczyniła się późna; ciała powynoszono. Strażnicy, ułożywszy się w kurytarzach, łączących piwnice, posnęli, dzieci, znużone płaczem, umilkły, w podziemiach słychać było tylko oddech strudzonych piersi i gdzieniegdzie jeszcze szept modlitw.

Winiciusz wszedł z kagankiem do czwartej z kolei piwnicy, znacznie mniejszej i podniósłszy światło w górę, począł się po niej rozglądać.

I nagle drgnął, zdawało mu się bowiem, że pod zakratowanym otworem w ścianie widzi olbrzymią postać Ursusa. Więc zdmuchnąwszy w tej chwili kaganek, zbliżył się do niej.

— Ursusie, czy to ty? — spytał.

Olbrzym odwrócił głowę.

— Ktoś ty jest?

— Nie poznajesz mnie? — zapytał.

— Zgasiłeś kaganek, jakże mogę cię poznać?

— Lecz Winiciusz dojrzał w tej chwili Ligię, leżącą na płaszczu przy ścianie, przeto nie mówiąc nic więcej, klęknął przy niej.

Ursus zaś poznał go i rzekł:

— Chwała Chrystusowi! ale nie budź jej, panie.

Winiciusz pochylony, wpatrywał się w nią przez łyż. Mimo mroku mógł odróżnić jej twarz, która wydała mu się błądą jak ściana i wychudzone ręce. Uczucie niezmiernej liłości go ogarnęło.

Ursus przez długi czas patrzył na niego w milczeniu, nakoniec jednak pociągnął go za ubranie.

— Panie — spytał — jak się tu dostałeś i czy przychodzisz ją ocalić?

Winiciusz podniósł się i przez chwilę jeszcze milczał.

— Daj mi sposób! — rzekł.

— Myślałem, że ty go znajdziesz, panie. Mnie jeden tylko przychodzi do głowy...

Tu zwrócił oczy ku okratowanemu otworowi, poczem jakby odpowiadając sam sobie, odezwał się:

— Tak!... Ale tam są żołnierze...

— Cała setnia — odpowiedział Winiciusz.

— Więc... nie przejdziemy!

— Nie!

Lig potarł czoło ręką i zapytał powtórnie:

— Jak tu wszedłeś?

— Mam znak od dozórce „Cuchnących dołów.“

I nagle urwał, jakby jakaś myśl błysnęła mu w głowie.

— Na Mękę Zbawiciela! — zaczął mówić prędkim głosem. — Ja tu zostanę, a ona niech weźmie mój znak, niech owinie głowę szmatą, okryje ramiona płaszczem i wyjdzie.

— Wśród niewolników grabarskich jest kilku niedorosłych pacholków, więc żołnierze nie poznają jej, a gdy raz dostanie się do domu Petroniusza, ten ją ocali.

Lecz Ursus opuścił głowę na piersi i odrzekł:

— Ona nie zgodziłaby się na to, albowiem miłuje cię, a przytem jest chora i o własnej mocy stać nie może.

Po chwili zaś dodał:

— Jeśli ty, panie i szlachetny Petroniusz nie mogliście jej z więzienia ocalić, to któż zdoła ją ocalić?

— Jeden Chrystus!...

Poczem umilkli obaj. Ursus w prostaczej swej głowie myślał sobie:

— Onby mógł przeciw wszystkim ocalić, ale skoro tego nie czyni, to widać przyszedł czas mąk i śmierci.

I zgadzał się na nią dla siebie, ale żał mu było do głębi duszy tego dziecka, które wyrosło na jego ręku i które kochał nad życie.

Winiciusz pochylił się znów nad Ligią. Przez zakratowany otwór wkradło się do więzienia światło księżyca i oświecało je lepiej od jedyne go kaganka, który migotał jeszcze nad drzwiami.

Wtem Ligia otworzyła oczy i położywszy swe rozpalone dłonie na rękach Winiciusza, rzekła:

— Widzę cię i wiedziałam, że przyjdiesz. Chora jestem, Winiciuszu i czy tu, czy na arenie — muszę umrzeć... Ale modliłam się, bym cię mogła przedtem zobaczyć — i przyszłeś: Chrystus mnie wysłuchał!

A gdy Winiciusz z żalu i litości słowa przemówić nie mógł, ona ciągnęła dalej:

— Widywałam cię przez okno — i wiedziałam, żeś chciał przyjść. A teraz Zbawiciel dał mi chwilę przytomności, abyśmy się mogli pożegnać. Ja idę już do Niego...

Winiciusz przemógł się, zdusił w sobie ból i zaczął mówić głosem, który starał się uczynić spokojnym:

— Nie, droga. Ty nie umrzesz. Apostoł kazał mi wierzyć i przyrzekł modlić się za ciebie, a on Chrystusa znał, Chrystus go miłował i niczego mu nie odmówi... Gdybyś miała umrzeć, Piotr nie kazałby mi ufać, a on mi rzekł: „Ufaj!“ Nie, Ligio! Chrystus zmiłuje się nade mną... On nie chce twojej

śmierci, On jej nie dopuści. Przysięgam ci, że Piotr modli się za ciebie!

Nastala cisza. Jedyne kaganek wiszący nad drzwiami zgasł, ale za to światło księżyca wchodziło całym otworem. W przeciwnym kącie piwnicy zakwiliło dziecko i — ucichło. Z zewnątrz tylko dochodziły głosy żołnierzy.

— O Winiciuszu — odrzekła Ligia — Chrystus sam wołał do Ojca: „oddal ode Mnie ten kielich goryczy“ — a jednak go spełnił — Chrystus sam umarł na krzyżu — a teraz giną za Niego tysiące, więc dlaczegoż mnie jedną miałby oszczędzać? Któż ja jestem? Słyszałam, jak Piotr mówił, że i on umrze umęczon, a któż ja jestem wobec niego? Gdy przyszli do nas żołnierze, bałam się śmierci i męki, ale teraz się już nie boję. Patrz, jakie to straszne więzienie, a ja idę do Nieba. Pomyśl, że tu jest Cezar okrutny, a tam jest Zbawiciel dobry i miłosierny. I niema śmierci. Pomyśl, jaka ja będę szczęśliwa.

Tu umilkła, by nabrać tchu w swą chorą pierś, po chwili znów mówić zaczęła:

— Nie płacz za mną i pamiętaj, że ty tam przyjdiesz do mnie. Krótko żyłam, ale Bóg dał mi dla Wiary świętej zdobyć duszę twoją. Więc chcę powiedzieć Chrystusowi, że choć umarłam i choć patrzyłeś na śmierć

moją i choć zostałeś w żalu, jednak nie bluźniłeś przeciw Jego woli i miłujesz Go zawsze i czcisz za wszystko, cokolwiek zesłać Mu się podoba. Przrzecz mi to, Winiciuszu, bo wówczas Bóg nas połączy i już tylko wieczna radość i wieczne szczęście czekać nas będzie...

— Tu znów zabrakło jej oddechu i ledwie dosłyszalnym głosem skończyła:

— Przrzecz mi!

— Na twoją duszę świętą przrzekam! — odrzekł Winiciusz drżącym głosem.

Wówczas w smutnym świetle księżyca rozjaśniła się jej twarz. Za murem wszczęli żołnierze jakąś głośniejszą sprzeczkę, lecz oni nie słyszeli nic, zapomnieli o więzieniu, o strażach, o ziemi całej, dusze przepełnione miłością Chrystusa wnieśli ku Niebu i poczęli się modlić...

Przez trzy dni, a raczej trzy noce, nie maćilo im spokoju. Gdy zwykle zajęcia więzienne, polegające na oddzielaniu zmarłych od żywych i ciężko chorych od zdrowszych, zostały ukończone i gdy zmienieni strażnicy pokładli się spać na kurytarzach, Winiciusz wchodził do podziemia, w którym była Ligia i pozostawał w niem dopóty, dopóki brzask nie zajrzał przez kraty okna. I oboje, w rozmowach długich, odrywali się coraz bardziej od ziemi, zapominali o wszystkich bólach i cier-

pieniach, a duchem ulatywali ku Niebu, zatopieni w miłości Chrystusa, zapatrzeni w tę słoneczną przyszłość, która im się ukazywała za grobem. Chwilami jeszcze ogarniał Winiciusza ból, ale tłumiała go wnet Ligia słowami wiary i ufności w miłosierdzie Boże. Teraz przestała ich nawet przerażać groza mąk, poczęli myśleć o nich, jako o czemś, przez co można przejść jakby w zamyśleniu, z oczami utkwionemi w Boga. Dusze stały się w nich czyste, jak łyzy. Pod grozą śmierci, wśród nędzy, cierpień, na barłogu więziennym, poczęło się dla nich Niebo.

A Petroniusz zdumiewał się, widząc w twarzy Winiciusza coraz większy spokój i jakieś dziwne blaski, których nie widział dawniej. Chwilami nawet rodziły się w jego umyśle przypuszczenia, że Winiciusz znalazł jakąś drogę ratunku — i było mu przykro, że go w swe nadzieje nie wtajemnicza.

Wreszcie nie mogąc wytrzymać, rzekł mu:

— Teraz ty wyglądasz inaczej, więc nie czyń przede mną tajemnicy, bo chcę i mogę ci być pomocnym: czy ułożyłeś co?

— Ułożyłem — odpowiedział Winiciusz — ale ty nie możesz mi być pomocnym. Oto, po jej śmierci, wyznam, że jestem chrześcijaninem — i pójdę za nią.

— Więc nie masz nadziei?

— Owszem, mam: Chrystus odda mi ją po śmierci i nie rozłączę się z nią już nigdy — odrzekł Winiciusz.

Petroniusz począł chodzić z wyrazem smutku i zniecierpliwienia na twarzy, poczem rzekł:

— Czy wiesz, że chrześcijanami mają jutro oświecić ogrody Cezara?

— Jutro? — powtórzył Winiciusz.

I wobec blizkiej, strasznej rzeczywistości — serce zadrgało w nim jednak bólem i przerażeniem. Pomyślał, że to może ostatnia noc, którą będzie mógł spędzić z Ligią, więc pożegnawszy Petroniusza, udał się śpiesznie do dozorca „Cuchnących dołów“ po swój znak.

Lecz tu czekał go zawód; dozorca bowiem nie chciał mu dać znaku.

— Wybacz, panie — rzekł. Uczyniłem dla ciebie, com mógł, ale nie mogę narażać życia. Dziś w nocy mają wyprowadzić chrześcijan do ogrodów Cezara. W więzieniu pełno będzie żołnierzy i urzędników. Gdyby cię poznano, zginąłbym ja — i moje dzieci.

Winiciusz zrozumiał, że próżno byłoby nalegać. Błysnęła mu jednak nadzieja, że żołnierze, którzy widywali go poprzednio, puszcza go może i bez znaku, więc za nadejściem nocy, przebrawszy się jak zwykle, udał się do bram więzienia.

Lecz dnia tego sprawdzano znaki z większą jeszcze ścisłością, niż zwykle, a co większa, setnik, srogi i oddany duszą i ciałem Cezarowi żołnierz, poznał Winiciusza. Ale widocznie w jego okutej w żelazo piersi tliły się jakieś iskry litości dla niedoli ludzkiej, bo odwiódł Winiciusza na bok i rzekł mu:

— Panie, wracaj do siebie. Poznałem cię, ale będę milczał, nie chcąc cię gubić. Puścić cię nie mogę, ale wracaj i niech bogowie ci zesłają ukojenie.

— Puścić mnie nie możesz — rzekł Winiciusz — ale pozwól mi tu zostać i widzieć tych, których będą wyprowadzali.

— Dobrze, zostań, panie — odpowiedział setnik.

Winiciusz stanął przed bramą i czekał, póki nie poczną wyprowadzać skazańców. Wreszcie około północy rozwarły się szeroko bramy więzienia i ukazały się całe szeregi więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci, otoczone zbrojnemi szeregami żołnierzy. Noc była jasna bardzo i pełnia, tak że można było odróżnić nie tylko postacie, ale i twarze nieszczęśliwych. Szli parami, długim, posępnym korowodem i wśród ciszy, przerywanej tylko brzękiem żołnierskich zbroi, prowadzono ich tyłu, że zdawało się, iż wszystkie piwnice pozostały próżne. Przy końcu orszaku Winiciusz

dostrzegł wyraźnie Glauka-lekarza, lecz ani Ursusa, ani Ligii nie było między skazanymi.

XIV.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy, przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe, wspaniałe widowisko. Widywano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tigellin, chcąc skończyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżniać wszystkie podziemia, tak, że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy, po przebyciu bram ogrodowych, onie miały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletków obsianych kwieciami, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb po wyniosłościach i nizinach tak daleko, jak okiem sięgnąć. Ilość

ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara.

Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedynczymi słupami, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytanie: „Żali mogło być tylu winnych“, albo „jak mogły podpalić Rzym dzieci, zdolne za ledwo chodzić o własnej mocy?“ I zdumienie przechodziło zwolna w niepokój.

Tymczasem zapadł zmrok i na Niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonąca pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodów na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

Ukryta pod kwiatami i polana smołą słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami bólesci. Niektóre ofiary jednak, podniósłszy oczy ku gwiazdzystemu Niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych słupów rozdzierające dziecinne głosy

poczęły wołać: „Mamo! mamó!“ — i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzykrzywianych bólem, lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżniewały drżące liście na drzewach i uczyniło się widno, jak w dzień. Śwąd spalonych ciał napełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać kadzidła w przygotowane umyślnie między słupami naczynia. Między tłumem odezwały się tu i owdzie okrzyki, niewiadomo czy litości i żalu, czy radości — i wzmagaly się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącem tchnieniem włosy na ich głowach i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na chwałę temu potworowi, który kazał go rozniecić.

Lecz jeszcze na początku widowiska zjawiał się wśród ludu Cezar na wspaniałym wozie, zaprzężonym w cztery białe konie, którymi sam kierował. Za nim szły inne wozy, pełne dworzan w bogatych strojach, z wieńcami na głowach i dzbanami wina w ręku. Cały ten świetny orszak posuwał się naj-

szerszą ogrodową drogą, wśród dymów i wśród ludzkich pochodni.

Cezar, mając przy sobie Tigellina i Chiloną, którego przerażeniem chciał się zabawić, jadąc nogą za nogą, spoglądał na palące się ciała i słuchał okrzyków ludu. Chwilami zatrzymywał się, by przypatrzeć się lepiej której z ofiar. Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ściągał złote lejce i rozmawiał z Tigellinem. Nakoniec dojechawszy do obszernego odkrytego miejsca, pośrodku którego tryskała woda olbrzymią fontanną, wysiadł i skinawszy na towarzyszków, zmieszał się z tłumem.

Przywitano go krzykiem i oklaskami. Dworzanie otoczyli go kołem, on zaś, mając po jednej stronie Tigellina, a po drugiej Chiloną, obchodził plac, naokół którego płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarami, lub drwiąc ze starożytnego Greka, w którego twarzy widać było bezbrzeżną rozpacz.

Nakoniec stanęli przed wysokim słupem, przybranym w mirty i okręconym w powój. Czerwone języki ognia dochodziły tu już do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu rozpoznać, gdyż świeże, płonące gałązki przysłoniły ją dymem. Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwał dymy — i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilon zwinął się nagle w kłęb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do ryku, niż do ludzkiego głosu podobny:

— Glaukos! Glaukos!...

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos-lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zbolalą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w Imię Chrystusa odpuszczonem, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Czy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilon widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z łożu i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go z nadludzką siłą przy tym słupie. I skamieniał. Czuł tylko, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenna, straszna i czarna pustka,

w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś strasznego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się i wyciągnawszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem:

— Glauku! w Imię Chrystusa! — przebacz!

Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka słupa podobny do jęku głos:

— Przebaczam!...

— Chilon rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierz i nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły koronę mirtową na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał cały wielkiem, jaskrawem światłem.

Lecz Chilon podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż wszystkim zdawało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu



Glauku! w Imię Chrystusa! — przebacz!

niezwykłym blaskiem, ze zmarszczonego czoła było uniesienie.

— Co z nim jest? — Oszalał! — odezwowało się kilka głosów.

On zaś odwrócił się ku tłumom i wyciągnawszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nietylko dworzanie, ale i tłuszcza mogła głos jego dołyszeć:

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!

I wskazał palcem na Nerona.

Nastała chwila ciszy. Dworzanie zdrętwieli. Chilon stał ciągle z wyciągniętym, drżącym ramieniem i palcem zwróconym ku Cezarowi. Nagle uczyniło się zamieszanie. Lud nakształt fali, pchniętej nagłym wichrem, rzucił się ku starcowi, chcąc mu się lepiej przypatrzeć. Tu i owdzie odezwały się krzyki: „Trzymaj!” — gdzieindziej: „Biada nam!” — W tłumie rozległ się świst i wrzaski: „Matkobójca! Podpalacz!” Bezład wzrastał z każdą chwilą. Ślepa, stłoczona fala ludu porwała Chilona i uniosła go w głąb ogrodu.

Wszędzie też słupy poczęły przepalać się i padać w poprzek ulic, napelniając aleje dymem, skrami, śwędem drzewa i śwędem tłuszczu ludzkiego. Gaśły światła dalsze i bliższe.

W ogrodach pociemniało. Tłumy zaniepokojone, posępne i trwożne cisnęły się do bram. Wieść o tem, co zaszło, przechodziła z ust do ust, zmieniona i powiększona. Jedni opowiadali, że Cezar zemdłał, drudzy, że sam wyznał, iż kazał podpalić Rzym, trzeci, że zachorował ciężko, inni wreszcie, że wywieziono go jak martwego na wozie.

Tu i owdzie odzywały się głosy spóeczucia dla chrześcijan: „Nie oni spalili Rzym, poco więc tyle krwi, mąk i niesprawiedliwości?” Kobiety litowały się głośno nad dziećmi, których tyle rzucono dzikim zwierzętom, poprzybijano na krzyże, lub spalono w tych przeklętych ogrodach! I wreszcie politowanie zmieniło się w złorzeczenia Cezarowi i Tigellinowi. Lecz byli i tacy, którzy zatrzymując się nagle, zadawali sobie lub innym pytanie: „Cóż to jest za Bóstwo, które daje taką siłę wobec mąk i śmierci?” I powracali do domów w zamysleniu...

Chilon błakał się jeszcze po ogrodach, nie wiedząc dokąd iść i gdzie się obrócić. Teraz uczuł się znów bezsilnym, niedołącznym i chorym starcem. Chwilami potykał się o niedopalone ciała, potraçał głownie, z których posypywały się roje iskier, chwilami siadał, spoglądając naokół bezprzytomnym wzrokiem. Ogrody stały się już prawie całkiem ciemne;

między drzewami poruszał się tylko blady księżyc, rozświecając niepewnym światłem aleje, szerniałe, leżące w poprzek słupy i zmienione w bezkształtne bryły niedogarki ofiar. — Lecz staremu Grekowi wydawało się, że w księżycu widzi twarz Glauka i że oczy jego patrza nań jeszcze ciągle — i chował się przed światłem. Wreszcie jednak wyszedł z cienia i mimowoli, jakby party jakąś nieznaną siłą, poczał kierować się ku placowi, przy którym oddał ducha Glaukos.

Wtem jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Starzec odwrócił się i widząc przed sobą nieznaną postać, zawołał z przerażeniem:

— Kto tam! Ktoś ty jest?

— Apostoł — Paweł z Tarsu.

— Jam przeklęty!... Czego chcesz?

A Apostoł odrzekł:

— Chcę cię zbawić.

Chilon oparł się o drzewo. Nogi chwiały się pod nim i ramiona zwisły wzdłuż ciała.

— Dla mnie nie masz zbawienia! — rzekł głucho.

— Żali słyszałeś, że Bóg przebaczył za-lującymu łotrowi na krzyżu? — zapytał Paweł.

— Żali wiesz, com ja uczynił?

— Widziałem boleść twoją i słyszałem, jakoś dał świadectwo prawdzie.

— O Panie!...

— I gdy sługa Chrystusów przebaczył ci w godzinie męki i śmierci, jakżeby ci Chrystus nie miał przebaczyć?

A Chilon chwycił rękoma głowę, jak w o-błąkaniu:

— Przebaczenie! dla mnie — przeba-czenie!

— Bóg nasz, to Bóg miłosierdzia — odpo-wiedział Apostoł.

— Dla mnie!? — powtórzył Chilon.

I poczał jęczeć, jak człowiek, któremu zbra-kło sił, by mógł opanować ból i mękę.

Paweł zaś rzekł:

— Oprzyj się na mnie i pójdz ze mną.

I wzięwszy go, siedł z nim ku krzyżują-cym się ulicom.

— Bóg nasz, to Bóg miłosierdzia — po-wtórzył Apostoł. — Gdybyś stanął nad morzem i rzucił w nie kamienie, czybyś mógł zarzucić nimi głębiny morską? A ja ci mówię, że mi-łosierdzie Chrystusa jest jako morze i że grze-chy i winy ludzkie potoną w niem jako ka-mienie w otchłani. — I mówię ci, że jest jako Niebo, które pokrywa góry, lądy i mo-rza, albowiem jest wszędzie i nie masz Mu granicy ni końca. — Tyś cierpiał u słupa Glauka i Chrystus widział twoje cierpienie. Tyś rzekł, nie baczac na to, co cię jutro

spotkać może: „Ten jest podpalaczem!“ — i Chrystus spamiętał słowa twoje. Bowiem minęła twoja złość i kłamstwo, a w sercu został się jeno żal nieprzebrany... Chodź ze mną i słuchaj, co ci powiadam: otom ja także nienawidził Go i prześladował Jego wybranych...

— Jam Go nie chciał i nie wierzył w Niego — mówił dalej Apostoł — póki mi się nie ukazał i nie powołał mnie. I odtąd On jest miłością moją. A teraz ciebie nawiedził zgryzota, trwogą i boleścią, aby cię powołać ku Sobie. Tyś Go nienawidził, a On kochał cię. — Tyś wydawał na męki Jego wyznawców, a On chce ci przebaczyć i zbawić cię.

Piersią nędzarza poczęło wstrząsać łkanie ogromne, od którego rozdzierała się w nim dusza do dna, a Paweł ogarniał go, opanowywał i wiódł, jak żołnierz wiedzie jeńca.

I po chwili znów mówić począł:

— Pójdź za mną, a ja cię powiodę do Niego. Dla jakiegżo innej przyczyny przychodziłbym do ciebie? Ale oto On rozkazał mi zbierać dusze ludzkie w imię miłości, więc spełniam służbę Jego. — Ty mniemasz, żeś przeklęty, a ja ci mówię: uwierz w Niego, a czeka cię zbawienie. Ty myślisz, żeś nienawidzon — a ja ci powtarzam, że On miłuje cię. Patrz na mnie! Gdyż Jego nie

miał, nie miałem krom złości, która mieszkała w sercu mojem — a teraz Jego miłość starczy mi za ojca i matkę, za bogactwa i królowanie. W Nim jednym ucieczka, On jeden policzy twój żal, wejrzy na nędzę twoją, zdejmie z ciebie trwogę i podniesie cię do Siebie.

Tak mówiąc, przywiódł go do fontanny, której srebrny strumień połyskiwał zdala w miesięcznem świetle. Naokół była cisza i pustka, albowiem służba niewolnicza uprzątnęła już zwęglone słupy i ciała męczenników.

Chilon rzucił się z jękiem na kolana i ukrywając twarz w dłoniach, pozostał bez ruchu. Paweł zaś podniósł twarz ku gwiazdom i począł się modlić:

— Panie, spojrzij na tego nędzarza, na żal jego, na łzy i mękę! Panie Miłosierdzia, któryś przelał krew za winy nasze, przez śmierć i zmartwychwstanie, odpuść mu!

Poczem umilkł, lecz długo jeszcze patrzył w gwiazdy i modlił się.

A wtem z pod jego stóp odezwało się podobne do jęku wołanie:

— Chryste!... Chryste!... odpuść mi!

Naówczas Paweł zbliżył się do fontanny i nabrawszy wody w dłonie, wrócił do klęczącego nędzarza.

— Chilonie! — oto cię chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha! Amen!

Chilon podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecił pełnym światłem jego zbielałe włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub wykutą z kamienia twarz. Chwile płynęły jedna za drugą; z wielkich ptaszarni, umieszczonych w ogrodach, poczęło dochodzić pianie kogutów, a on klęczał jeszcze, podobny do nagrobnego posagu.

Wreszcie ocknął się, wstał i zwróciwszy się do Apostoła, zapytał:

— Co mam czynić przed śmiercią, panie?

Paweł również obudził się z zadumy nad tą niezmierną potęgą, której nie mogły się oprzeć nawet takie duchy, jak tego Greka i odrzekł:

— Ufaj — i daj świadectwo prawdzie!

Poczem razem wyszli. U bram ogrodu Apostoł pobłogosławił raz jeszcze starca — i rozstali się, albowiem wymagał tego sam Chilon, przewidując, że po tem, co zaszło, Cezar i Tigellinus każą go ścigać.

Jakoż nie mylił się. Wróciwszy do siebie, zastał już dom otoczony przez żołnierzy, którzy porwali go i zawiedli do pałacu Cezara.

Cezar udał się już był na spoczynek, lecz Tigellin czekał i ujrzawszy nieszczęsnego Greka, powitał go z twarzą spokojną, ale złowrogą.

— Popełniłeś zbrodnię obrazy majestatu — rzekł mu — i kara cię nie minie. Lecz jeśli jutro oświadczysz w cyrku, żeś był pijany i szalony — i że sprawcami pożaru są chrześcijanie, kara twoja skończy się na chłóście i wygnaniu.

— Nie mogę, panie! — odpowiedział cicho Chilon.

A Tigellin zbliżył się do niego krokiem powolnym i głosem również przyciszonym, ale strasznym, zapytał:

— Jakto, nie możesz, psie grecki? Żaliś nie był pijany i żali nie rozumiesz, co cię czeka? Spojrz tam!

I to rzekłszy, wskazał na kąt komnaty w którym obok długiej ławy drewnianej stało w mroku czterech nieruchomych niewolników z powrozami i obcęgami w ręku.

A Chilon odrzekł:

— Nie mogę, panie!

Tigellina poczęła ogarniać wściekłość, lecz pohamował się jeszcze.

— Widziałeś — jak umierają chrześcijanie? Czy chcesz tak umrzeć?

Starzec wzniósł w górę wybladłą twarz; czas jakiś wargi jego poruszały się cicho, poczem odrzekł:

— I ja wierzę w Chrystusa!...

Tigellin spojrział na niego ze zdumieniem:

— Psie, tyś oszalał naprawdę!

I nagle nagromadzona w jego piersi wściekłość zerwała tamę. Skoczywszy do Chilon, chwycił go obiema rękoma za brodę, zwałił na ziemię i począł deptać, powtarzając z pianą na ustach:

— Odwołasz! odwołasz!

— Nie mogę! — odpowiedział mu z ziemi Chilon.

— Na męki z nim!

Usłyszawszy ów rozkaz, niewolnicy porwali starca i położyli go na ławę, poczem przytwardziwszy go do niej za pomocą sznurów, poczęli cęgami ścisnąć jego wychudłe piszczele. Lecz on, w czasie gdy go przywiązywali, całował z pokorą ich ręce, następnie zaś przymknął oczy i wydawał się jak umarły.

Żył jednak, gdy bowiem Tigellin pochylił się nad nim i raz jeszcze zapytał:

— Odwołasz?

... zbieleła jego wargi poruszyły się lekko i wyszedł z nich zaledwie dosłyszalny szept:

— Nie mogę!...

Tigellin kazał przerwać męki i jął chodzić z twarzą zmienioną przez gniew, lecz zarazem bezradną. Nakoniec widocznie przy-

szła mu do głowy jakaś nowa myśl, albowiem zwrócił się do niewolników i rzekł:

— Wyrwać mu język!...

* * *

Nazajutrz miało być znów dane wielkie widowisko, podczas którego niedźwiedź rozszarpywał niewolnika. Zwykle niedźwiedziem bywał przebrany człowiek, tym razem jednak niewolnikiem miał być chrześcijanin, a niedźwiedź miał być prawdziwy. Był to nowy pomysł Tigellina. Cezar początkowo zapowiedział, że nie przyjdzie, Tigellinus mu jednak wytłomaczył, że po tem, co zaszło w ogrodach, tembardziej powinien pokazać się ludowi — i zarazem zaręczył, że ukrzyżowany niewolnik nie zelży go tak, jak to uczynił Kryspus.

Lud był już przesycony i zmęczony rozlewem krwi, zachęcano go więc obietnicami dalszego rozdawnictwa zboża, oliwy i innych podarków.

Jakoż o zmroku cały budynek napełnił się szczelnie; dworzanie przybyli wszyscy, nityle dla samego widowiska, jak dla okazania po ostatniem zejściu Cezarowi swej wierności i porozmawiania o Chilonie, o którym mówił cały Rzym.

Opowiadano więc sobie na ucho, że Cezar, wróciwszy z ogrodów, wpadł w wściekłość i nie mógł zasnąć noc całą, że chciał jak najprędzej wyjechać z Rzymu. Inni znów mówili, że właśnie nie wyjedzie, ale tembardziej będzie igrzyska dalej urządzał i to coraz okrutniejsze. Byli wreszcie i tacy, którzy wprost z litości prosili Tigellina, by zaniechał dalszych prześladowań.

A wszyscy rozmawiali o Chilonie.

— Co mu się stało? — mówił jeden z dworzan — sam ich wydawał w ręce Cezara; z nędzarza stał się za to bogaczem, mógł dożyć spokojnie swych dni, tymczasem — nie! Naraz wolał stracić wszystko i zgubić się — doprawdy: chyba oszalał!

— Nie oszalał, ale został chrześcijaninem — rzekł Tigellin.

— Pamiętacie, co mówiłem wam niedawno? — odezwał się na to Petroniusz. — Tigellin śmiał się, gdym twierdził, że oni się bronią — dziś powiem więcej, oni zdobywają!

— Jakto? Jakto? — spytało kilka głosów.

— Tak! zdobywają! — mówił dalej Petroniusz. — Bo jeśli taki Chilon im się nie oparł, któż im się oprze! Jeśli myślicie, że po każdym widowisku nie przybywa chrześci-

jan, to nie znacie Rzymu, nie wiecie, co lud myśli i co się w mieście dzieje.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Cezara, wkrótce i oczekiwana chwila nastąpiła. Pachołcy cyrkowi wnieśli najprzód drewniany krzyż, dość niski, by niedźwiedź, wspiawszy się, mógł dosięgnąć do piersi męczennika, a następnie dwóch ludzi wprowadziło, a raczej przywlekło Chilona, albowiem sam, mając pokruszone kości u nóg, iść nie mógł. Położono go i przybito do drzewa tak prędko, że zaciekawieni dworzanie nie mogli mu się nawet dobrze przypatrzeć i dopiero po umocowaniu krzyża w przygotowanym umyślnie dole wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz mało kto mógł poznać w tym nagim starcu dawnego Chilona. Po męczarniach, które kazał mu zadać Tigellin, w twarzy nie pozostało mu ani kropli krwi i tylko na białej brodzie widać było czerwony ślad, który zostawiła krew po wyrwaniu języka. Przez przezroczystą skórę nieledwie można było dojrzeć jego kości. Wydawał się teraz daleko starszym, prawie zgrzybiałym.

Ale natomiast oczy jego dawniej rzucały pełne niepokoju i złości spojrzenia, czujne oblicze jego odbijało dawniej wieczną trwogę i niepewność, a teraz twarz miał bolesną, ale tak słodką i pogodną, jak miewają ludzie śpiący lub umarli. Może ufności dodawała mu

pamięć o łotrze na krzyżu, któremu Chrystus przebaczył i mówił sobie w duchu:

— Więc Ty, Miłosierny, nie odepchniesz i mnie w godzinę śmierci — i spokój zstąpił widocznie w jego skruszone serce.

Nikt nie śmiał się, było bowiem w tym ukrzyżowanym coś tak cichego, wydawał się tak starym, bezbronnym, słabym, tak wołającym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy zadawał sobie pytanie: Jak można męczyć i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak konają? Tłum milczał.

Mędzy dworzanami jedni powtarzali: „Patrzcie, jak oni umierają!“ inni czekali na niedźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko skończyło się jak najprędzej. — Niedźwiedź wtoczył się wreszcie na arenę i chwiejąc nisko schyloną głowę na obie strony, spoglądał naokół z podełba, jakby się nad czemś namyślał, albo czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż, a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu, podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się znów na przednie łapy i siadłszy pod krzyżem, począł mruczeć, jakby i w jego zwierzęcem sercu odezwała się litość nad szczątkiem człowieka.

Z ust służby cyrkowej odezwały się podniecające krzyki, lecz lud milczał. Chilon tymczasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas

pamięć o ł
przebaczył

— Wi
i mnie w g
widocznie w

Nikt n
ukrzyżowan
tak starym,

cym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy
zadawał sobie pytanie: Jak można męczyć
i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak
konają? Tłum milczał.

Miedzy dworzanami jedni powtarzali: „Pa-
trzcie, jak oni umierają!“ inni czekali na nie-
dźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko
skończyło się jak najprędzej. — Niedźwiedź
wtoczył się wreszcie na arenę i chwiejąc nizko
schyloną głowę na obie strony, spoglądał na-
okół z podełba, jakby się nad czemś namyślał,
albo czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż,
a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu,
podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się
znów na przednie łapy i siadłszy pod krzy-
żem, począł mruczeć, jakby i w jego zwierzę-
cem sercu odezwała się litość nad szczątkiem
człowieka.

Z ust służby cyrkowej odezwały się pod-
niecające krzyki, lecz lud milczał. Chilon tym-
czasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas

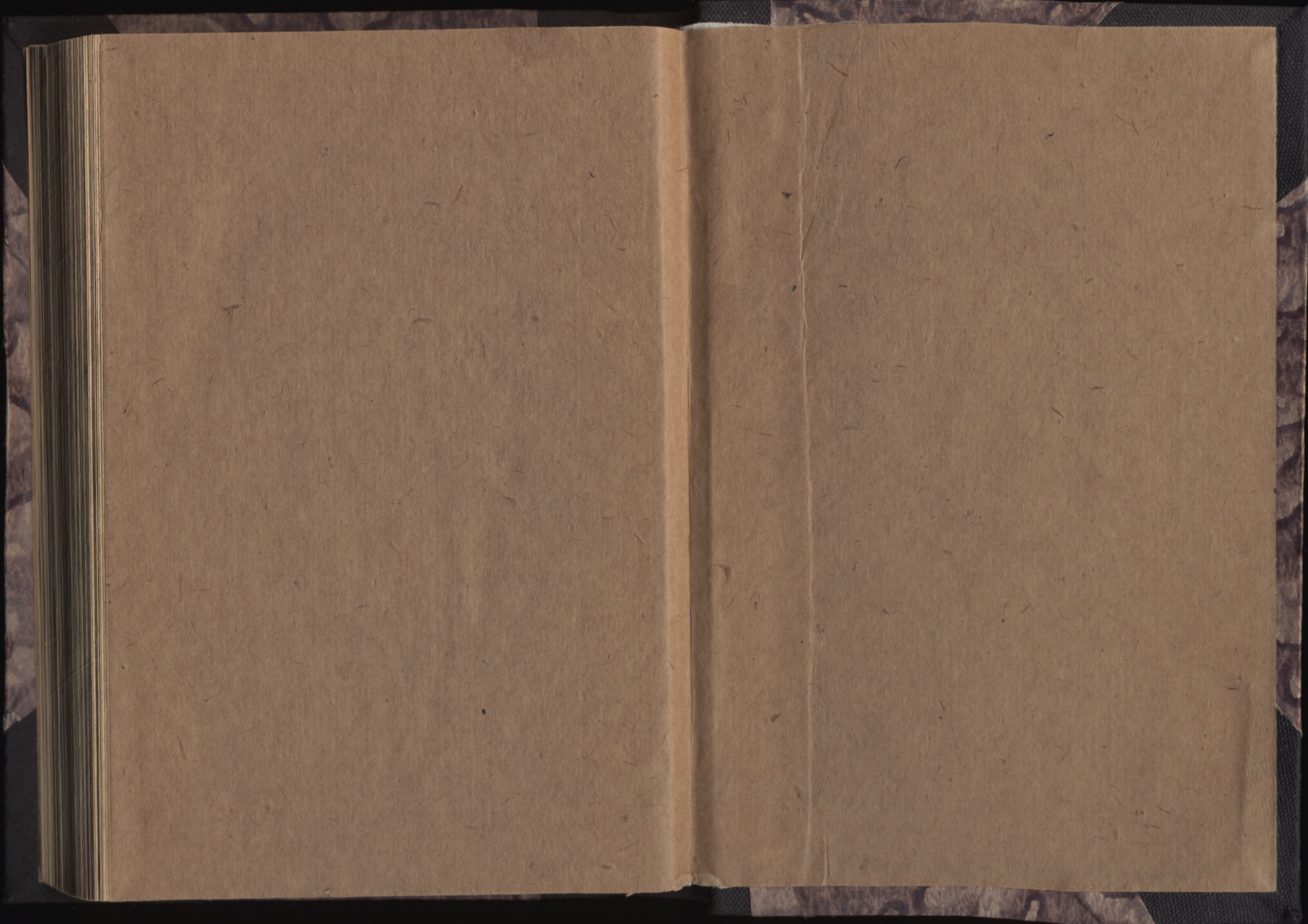
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
Im. E. Smolki w Opolu

ni inw. : 5237 S

Syg.: 5237 S

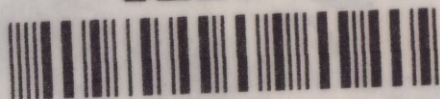
ZBIORY ŚLĄSKIE

esz



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

5237 S



001-005237-00-0